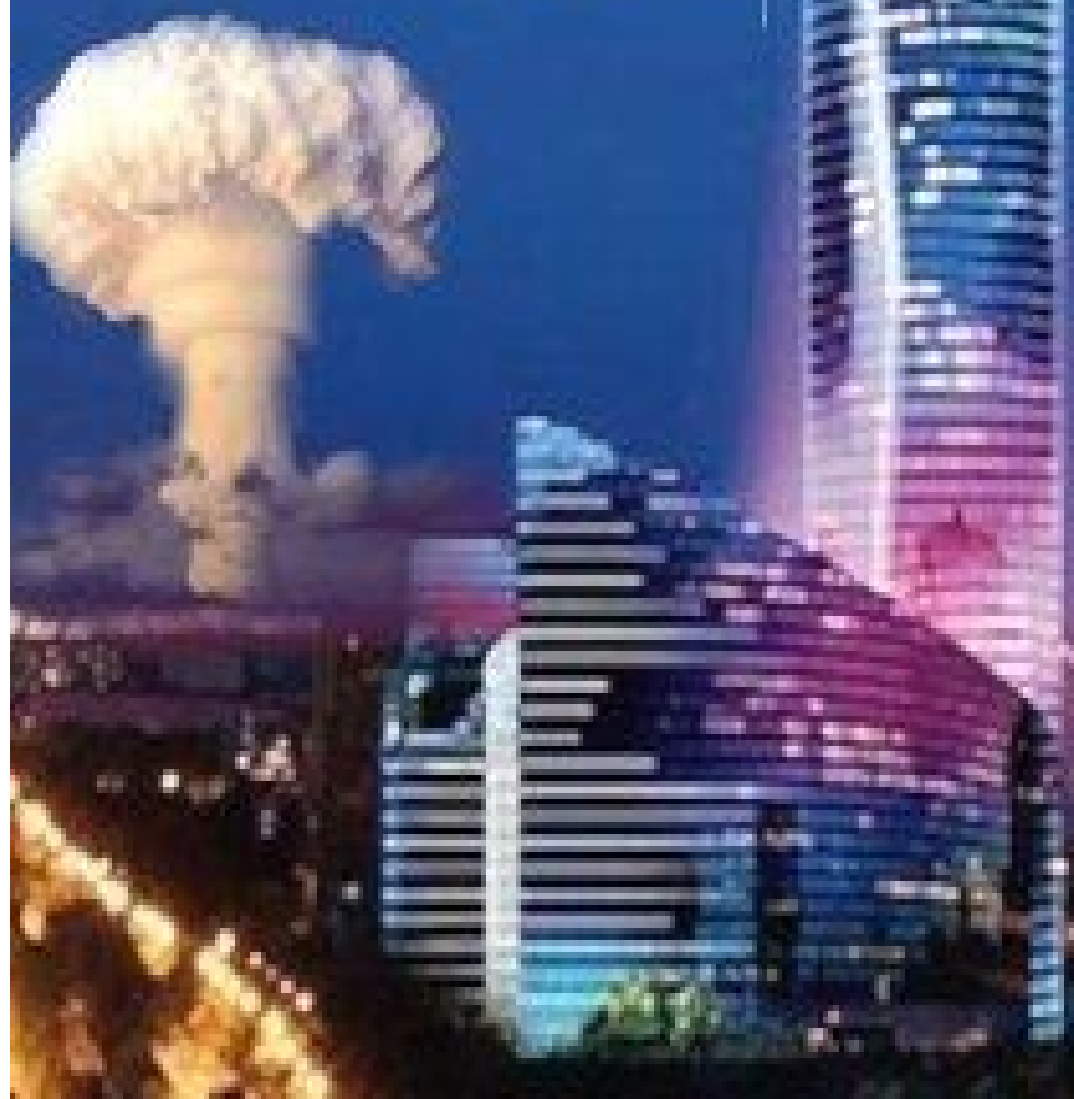


Marek Dryjer

SZKLANE MIASTO



Marek Dryjer

Szklane miasto

Książkę dedykuję żonie – Elżbiecie oraz rodzicom – Hannie i Jackowi

Ciepły sierpniowy dzień nie wskazywał żadnego zagrożenia, wręcz przeciwnie jeszcze bardziej rozleniwił mocno znużonych upałem mieszkańców Wrocławia, którzy z każdą godziną płasali coraz wolniej. Hala Ludowa i Ostrów Tumski zapępniały się ludźmi. Lekki wiatr, który rano wprawiał w orzeźwienie, teraz parzył gorącym dotykiem. Zakorkowane siedemsettyśięczne miasto, wolne od studentów, którzy zjechali do swych domów, nie potrafiło otrząsnąć się z wciąż narastającego marazmu. Dymiące auta, blokujące przestrzeń, stojące w kolejce niczym skazańcy przed uśmierceniem. Twarze kierowców, zadymione od tłęcych się niedopałków i purpurą wyścielone. Wszyscy identyczni, jakby sklonowani. Jakby tacy sami. I mężczyzna, któremu lód spłynął z wafla prosto na ziemię, roztopiony pacnął na bruk, robiąc śmiesznego kleksa. I kobieta, która krzycząc na wystraszone dziecko, za wszelką cenę próbowała wyrzucić na nim presję. Malec cały drżał ze strachu. Mokry od potu i łez, próbował coś powiedzieć. Wydawało się, że zaledwie porusza ustami, że jego spowolniony grymas, który w pełni objął twarz, nic więcej już nie ukaże. Spowolnione ruchy, taka sama mowa niczym na zwolnionym ujęciu, paraliżowały otoczenie. Pies, który już dawno temu schował się do budy, unikając najgorszego, teraz miotał się jak oszalały. Przeskakując barierki ochronne, wyskoczył z mostu. Machając łapami przypominającymi skrzydła, mocno uderzył o lustro wody. Popłynął wraz z jej nurtem, w bezruchu, pozbawiony ludzkich spojrzeń. Wspaniały, wiszący Most Grunwaldzki, osadzony na pylonach, charakteryzujący się obszernymi ramionami, których zawinięte zdobienia kształtowały znamienne przeszło, odczuwał fale gorąca i przeciążenia. Stalowy, oblicowany granitem ledwo dyszał, wchłaniając warkot silników i opary spalin zgromadzonych na nim pojazdów. Klaksony wyły jak opętane, kierowcy krzyczeli... W jednej chwili wszystko jednak ustało. Usłyszeli wtedy ciszę, zobaczyli głęboką ciemność i żar płonącego nieba. Nieduża ciężarówka zatrzymała się na środku przeprawy. Wysiadł z niej krępy mężczyzna, który z uśmiechem na ustach w ułamku sekundy zdetonował ukryty w pojeździe ładunek...

Jasne światło, którego blask wbił oczy prosto do mózgu pierwszemu, który na nie spojrział. Niczym milion słońc świecących na Ziemię naraz i ze wszystkich możliwych kierunków, niczym piekło, co żarem niewyobrażalnym spaliło całą boskość. Błysk nie do opisanania i biel jakiej nikt dotąd nie znał, po chwili zalana żółcią zamordowanych. Kolor polnych kwiatów, słonecznych, otaczał biel zewsząd. Rozszerzając się bezustannie, pochłonił ją ostatecznie. Pojawił się punkt, też biały na środku, jasnością oślepił, pod lazurową mgiełką schronił. Bezchmurne dotąd niebo beczące głucho z brezentowych obłoków baranich, ciasno wciśnięte w falujące płyty nieznanych nikomu antracytowych chmur. Mgiełka coraz bardziej rozszerzająca swe jaśniejące macki, nachodząca bezustannie na siebie, niosąca śmierć, a pod nią jasny grzyb, jak tamte światło, powyżej zaś kolejna chmura niczym gradowy obłok. To taniec niczym drgawki w agonii, to koniec niczym początek nowego. Śmiercionośny grzyb niczym ludzki mózg pofałdowany w swej strukturze nacieka na siebie, unosząc się coraz wyżej, jak gaz i pył wulkaniczny, które niespodziewanie wystrzeliły w niebo z potworną siłą. Zapach mokrego kamienia. Przeróżliwy syk wiatru, jak grzmot letniej burzy, tylko okropniejszy i ten błyszczący pierścień, który ciągle się powiększa, zbliżając coraz bardziej, a wtedy grzyb ciemnieje. Zapada się, jakby zwińając. O zgrozo, toż to piekło, to siła nieczysta, to utrapienie...

Uderzenie jest miażdżące, a fala, która je wywołała zabójcza. To tętent nadchodzącej śmierci, co wywołał trzęsienie ziemi, to zgrzyt pękających kości. Światło, co zabija widokiem i temperatura, co pali na popiół niewyobrażalnym żarem i ta dudniąca fala, ognisty podmuch, niemy krzyk przesiąkniętych trwogą mieszkańców. Grzyb cały czas rośnie i ciemnieje. Szerniały, traci świetlistą barwę, obłożony smolistą sadzą, napromieniowaną do granic ludzkiego lęku, ledwo się w środku tli, nikiącym bladym płomieniem lichego przeznaczenia. W tej właśnie chwili, gdy zawył okrutnie, życie straciło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Żniwiarz dopiero wyruszył na łowy, wszak plony miały być obszerne. Wyrósł wspaniale w całej okazałości, pręcąc swój atomowy grzbiet. Targany zawieszonym powietrzem, świszczący zdradliwie, otoczył się zewsząd czernią, jakby przy tym skrył. Białe smugi światła ponad nim i niebieskie tło dookoła, to czyste niebo, co na powrót powstało... to nadzieja, co i tak zaraz umrze, ale teraz wydała swój ostateczny głos. Grzyb spopieleny.

Stał i patrzył, gdzieś daleko przed siebie. Zamyślił się i trwał w tym przez chwilę. Nigdy mu

to się dotąd nie zdarzyło. Nigdy, aż do dziś. Uniósł głowę, porażony słońcem, instynktownie przymknął oczy. Powieki ciężko opadły, ledwo mogło przebić się przez nie światło. To ciepło, było niesamowite. Usłyszał odgłosy miasta, ryk silników poprzedzony piskiem opon. Cisza w tym miejscu była zaledwie marzeniem, którego spełnienie miało nadejść później. Poczul miły zapach, aromat konwalii przemknął prawie niezauważenie. Prawie, ale on go w porę wyłapał. Odwrócił się w jej kierunku, nie spojrzal jednak na nią, nie zdążył... Głos skrzeczącego ochryple ptaka, zmącił nastrój. Co to za dźwięk, co odwraca uwagę, pomyślał. Skupienie już nie wróciło. Ruszył przed siebie. Zobaczył innych, podobnych do niego samego. Pokiwał na boki głową, uśmiech pojawił się dopiero na sam koniec.

Najpierw cisza, krótka, głęboka i to przeczucie, że zaraz coś się wydarzy. Ciekawe skąd ludzie to wiedzą, czy jest to zapisane w genach? Może mózg jest o stokroć mądrzejszy niż wszyscy myślą, tylko nie pracuje na pełnych obrotach? Z pewnością tak jest, bo po chwili o wszystkim zapomina, ale nie w tym momencie, który był inny od wszystkich wcześniejszych. Uderzenie było zatrważające. Jak stutonowy gład spadający na człowieka z dziesiątek metrów, taki pozostawiła porządek w umyśle innych. Grzmot, czy wybuch? On myślał, a inni krzyczeli. Wiele gardeł wydało swój ostatni dźwięk. Jasne światło, które się pojawiło, przypomniało mu coś. Tak bardzo chciał się mylić. Stał czas, wskazówki zegarków wyskoczyły z orbit. Dziwne mrowienie przeszło po skórze. Chwilę potem był już pewien. Dostrzegł człowieka, który spalił się w jednej chwili, oddalony od niego może o sto metrów. Stał i patrzył, aż spłonął ostatecznie. Tuż po wybuchu, od razu po tym, jak błysk położył setki nieżywych na ziemi, on schował swój wzrok w ostatniej chwili. Zadrżało podłoże. Zakotyłsało nim na boki. Nie upadł, utrzymał równowagę. Kostka brukowa zaczęła falować. Wybiła się w górę i spadała poniżej. Cudem uchronił się od ciężkiego odłamka. Odskoczył w ostatniej chwili. Dostrzegł dziewczynę, która zamarła. Z rozwartymi ustami i z zamkniętymi oczami oczekiwała na coś, czego nie znała. Prawie umarła ze strachu, jej serce było jak oszalałe. W ostatniej chwili przewrócił ją na ziemię, uderzyła łokciami o grunt. Nawet nie krzyknęła. Upadł tuż obok, instynktownie osłaniając głowę. Jeśli to nie jest koniec świata, to ból tych ludzi jest nadaremny, zrozumiał od razu. Fala termiczna i rozbłysk świetlny, siały prawdziwe spustoszenie. Nie mógł patrzeć, ale widział, nie chciał pamiętać, ale musiał... palonych i rozrywanych na strzępy ludzi, nie można tak zwyczajnie zapomnieć. I ten grzyb wylaniający się w oddali niczym zielone drzewo, kształtujący swą koronę, która obszernie rozpychała się na boki. On już wiedział, a świadomość tego daru potęgowała narastające wciąż przygnębienie. Ta wiedza była zabójcza. Łzy spłynęły mu po policzkach, gorycz dotarła aż do ust...

– Twarzą do ziemi, rozumiesz!? – wykrzyknął.

– Dlaczego?

– Połóż głowę na bruku, jeśli chcesz żyć!

– Tak, dobrze?

– Tak. Nogami w stronę wybuchu, łokcie za głowę i na boki. I zasłoń uszy, mocno dociskając palcami, żeby ci bębenków nie rozsadziło. Nie możesz się poruszyć, choćby nie wiem co, dopóki ci na to nie pozwolę. Powiedz, że rozumiesz?

– Rozumiem – odparła, po czym zrobiła to, co jej nakazał.

– I rozchyl delikatnie usta, bo ci płuca spali...

Ciała rozerwane na strzępy wyleciały prosto w powietrze. Jakaś monstualna siła rzucała nimi niczym szmacianymi lalkami. W powietrzu unosił się zapach śmierci. W ciężarówce ukryta była dziesięciokilotonowa bomba atomowa, której eksplozja zrobiła krater wielkości siedemdziesięciu pięciu boisk piłkarskich. Ponieważ wybuchła na moście, który rozerwała na kawałki, wzburzyła płynącą pod nim rzekę. Powstała ogromna ściana wody, której dwudziestometrowe fale natychmiast wkroczyły do miasta. W promieniu czterystu metrów wyparowało prawie wszystko, do półtora kilometra zginęło chwilę potem. Ci, co stali i patrzyli, już więcej nie zobaczą. Ci, co pomyśleli, że ocaleją, nie przeżyli. Wiara była w nich ogromna, ale zwyczajnie nie mieli szans. Za blisko byli wybuchu, strefa zero pochłonęła ich niczym gąbka resztki wilgoci na zabryzganym zlewie...

Leżeli z twarzami przyklejonymi do ziemi, brud wchodził im prosto do ust. Wilgoć, która

pojawiła się zaraz potem, rozmazała go, tworząc zmyślne rysunki. Ciało napięte jak struna, mięśnie twarde jak stal. Ile trzeba mieć w sobie siły, aby nie zwariować? Ile zaparcia, by walczyć w sytuacji i tak przegranej? Minęło już trochę czasu; trochę, jak najbardziej względne, bo on przecież stanął, zatrzymał się wraz z nimi. Było to jednak tylko złudzenie, bo po wybuchu przetoczyła się ponad nimi fala uderzeniowa. Zdarła skórę do kości, rozebrała stalowe konstrukcje i betonowe zapory, dokonała wyroku. Ale oni poczuli zaledwie jej łaskotanie, te pieścizny były subtelne. Dlaczego ich ominęła, dlaczego ocalała? Po co każe wic się jak robakowi w amoku? Mięli szczęście, znajdowali się około trzech kilometrów od epicentrum wybuchu i leżeli na środku obszernego placu. Żadnych budynków w pobliżu, dachów i innych ciężkich elementów, ocalili także głowy. Niczym nie oberwali, nic ich też nie przygniotło, tylko kilka fragmentów folii, które zaczęły się o ich wystające łokcie. Jakies kartonowe pudełko po mleku, które walało się obok i nieduża gałąź z pobliskiego parku, wysuszona na wiór, pozbawiona przy tym wszystkich, delikatnych liści...

– Jesteś cała?

– Chyba tak – odparła bez przekonania.

– Wstajemy!

– Już? – zaskoczyło ją to jeszcze bardziej.

– Natychmiast! Mamy tylko dwadzieścia minut, żeby uciec przed opadem radioaktywnym.

– Uciec? Dokąd? – spojrzała z niedowierzaniem.

– Nie wiem, musimy znaleźć samochód. Musimy zdążyć odnaleźć schronienie.

– Jesteś pewien?

– Tak, zaufaj mi.

– Będę musiała, nie mam innego wyboru.

– Tak, zakryj skórę. Naciągnij też rękawy.

– A oni, pomożemy im? – wskazała w stronę wybuchu.

– Niestety nie, dla nich nie ma już ratunku.

– Jak to?

– Musimy uciekać, biegnij!

– Znajdą nas?

– Tak, satelity zarejestrowały wybuch.

– Kiedy nas odnajdą? – spytała zasapana.

– Nie wiem.

– Tam jest jakiś samochód! – niemal zawróciła.

– Zostaw go, on już nie pojedzie – powstrzymał ją.

– Dlaczego?

– Impuls elektromagnetyczny spalił go od środka.

– Co takiego!?! – krzyknęła.

– Bierz plecak, biegniemy. Tu liczą się naprawdę sekundy!

Złapał ją za ramię, krzyknęła z bólu. Łokieć krwawił okazale, czerwona maź wsiąkała głęboko w mankiet. Pchnął ją przed siebie, wprost w stronę zaparkowanego nieopodal auta.

Trzydzieści kroków, bo nie było ich więcej, zrobili błyskawicznie. Nie było czasu do zastanowienia, zresztą nie było już się nad czym głowić. Przerabiał to kiedyś wielokrotnie, teraz na szczęście mógł z tej wiedzy skorzystać. Może ich jeszcze ocali? Choć sam ledwo w to wierzył, wiedział, że musi spróbować. Dostrzegł w oddali pieklący się kłęb dymu i sadzy. Parujący śmiertelnym gazem bufon straszyl swym widokiem. Teraz buzujący jeszcze niczym podwodny gejzer we własnych wnętrznościach, tlił się ostatkiem bladego światła. Dogorywał, zapowiadając dla szczęśliwie ocalonych śmierć w męczarniach...

Pobiegli w drugą stronę, byle dalej, byle zdążyć. Dopadli do Forda, był to zadbane Mustang z lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku. Jasne, skórzane siedzenia nie wskazywały, aby ktoś nim ostatnio jechał. Był zamknięty, mężczyzna zbił szybę kamieniem. Szkło rozprysło się na boki, odrobinę wpadło także do środka. Wymiótł je od razu ręką na zewnątrz. Otworzył dziewczynie drugie drzwi, wsiadła bez zastanowienia. Nadal się trzęsąc, dygotała rozpaczliwie. Oczy jej nijak nie przypominały oczu, białka były czerwone, a źrenice większe niż całe oczodoły. Nikt nie

wiedział jak one się w nich trzymały, że nie wypadły z hukiem. Dlaczego cały czas chciały wiedzieć? Krwawiła z powiek, nie wyglądało to dobrze. Położył się na ziemi, próbował odgadnąć kierunek wiatru, ale ten kręcił tylko na boki. Nie wiedział, w którą stronę wyruszyć, powinien prostopadle do wiatru, ale nie mógł określić jego kierunku. Sekundy uciekały, a wraz z nimi bezcenne życie. Rozglądał się dosłownie wszędzie, wodził wzrokiem po dachach umęczonego molocha. Dostrzegł wreszcie wybawienie. W chwili, gdy wydawało się, że zaryzykuje, odgadł zagadkę. Wysoko ponad nimi powiewała białą czerwoną flagą, to ona zdradziła im ten ściśle chroniony sekret. Od razu wskoczył do auta, przeszukał schowki, ale kluczyków nie znalazł. Odpalił na krótko, silnik zastukał rytmicznie. Zamknęli okna. Włączył wentylację, ale tylko taką, która wykorzystywała obieg powietrza zgromadzonego w środku pojazdu. Ruszył z piskiem opon...

– Uważaj! – krzyknęła.

– Widziałem – odparł, odbijając w lewo kierownicą. Pojazd przez chwilę jechał na jednym boku.

– O mały włos...

– Tak, mieliśmy szczęście – uśmiechnął się.

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiem, przed siebie, byle dalej od wybuchu.

– Umrzemy? – spojrzała mu prosto w oczy.

– Pewnie tak, ale może jeszcze nie teraz...

– Czego zatem szukamy?

– Bezpiecznej kryjówki, do której dotrzemy w kilka minut. Jakiegoś wytrzymałego budynku.

– Skręć tu! – złapała za kierownicę.

– Dlaczego?

– Spójrz przed siebie, widzisz?

– Tak, jesteś genialna – odparł bez namysłu, zadzierając do góry głowę.

Zrobił ostry skręt, koła zapiszczały niczym przejechany beżpański pies. Dodał jeszcze gazu i pomknął prosto w kierunku celu, była to jedyna szansa na ocalenie. Ona chciała wiedzieć, a on nie potrafił jej na to odpowiedzieć. Wiele pytań, zbitka myśli wykrzyczanych w takiej właśnie chwili. Żar emocji i jego głuche na to wszystko uszy. Zsunęła mu się obręczka, upadła bezszelestnie. Zerknął ukradkiem w jej kierunku, żal dopadł wtedy jego serce. Wpatrzony w umierającą przestrzeń, unikał spadających odłamków. Najpierw tuż obok potężny kawałek dachu rozgniótł na miazgę człapiącego staruszka. Krew bryznęła prosto na szybę. Uruchomił wycieraczki, te zrobiły tylko piekielne smugi. Zakręcił obok ronda, pojechał pod prąd i po trawniku. Skosił po drodze kilka krzewów, kwiaty zdeptał, pozostawiając głębokie wyrwy na pięknie przystrzyżonych trawnikach. Ostatki przyrody, które i tak zwiędną, jak ludzie, pomyślał. Po chwili o mało co nie przejechał wyskakującego wprost pod koła człowieka. Z piskiem opon obrócił pojazd o sto osiemdziesiąt stopni, unikając uderzenia. Desperat zahaczył o lusterko, pociągnął je nieświadomie i wyrwał, upadając z hukiem na ziemię. Samochód zakręcił się wokół własnej osi i, ciągle przyspieszając, wyrwał do przodu. Mężczyzna czuł jak dopada go fala beznadziei. Obrazy męki i bólu były zbyt wyraźne. Wspomniał rodzinę, łzy stanęły mu w oczach. Kolejny uskok, byli już bardzo blisko celu. Czy silnik wytrzyma, czy auto nie zawiedzie? Opadające na ziemię fragmenty murów, szybujące w przestworzach ostre jak skalpel chirurga szkło. Blacha powyginana niesymetrycznie, której wzory tworzyły kubiczne obrazy i ludzie biegnący bez celu, umierający na ich oczach. Zobaczył jak jakiś facet okłada pięścią po twarzy kobietę, jak wybija jej ostatnie zęby. Po co, dlaczego? Dalej jacyś młodzi ludzie okradali stację benzynową, słychać było strzały i krzyk umierających. Wielu biegło wprost do kotła śmierci, zdążali tam, gdzie fala uderzeniowa zmiotła świat. Nie wiedzieli, że tony radioaktywnego pyłu, który robi z nich potwory, nadejdą właśnie stamtąd. Jakiś klecha nawoływał do walki o życie, modląc się za wszystkich. Nie zdążył uciec, potężny konar starego drzewa przygniótł go do ziemi. Jeszcze coś krzyczał, zanim zamilkł na zawsze. Rodzice z dziećmi, starzy i niedorosłki, którzy jak puszczony samopas w wielkim akwarium karaluchy, rozproszyli się ostatecznie. Nigdy tego nie zapomni. Nigdy, jeśli przeżyje...

Za nimi umierało życie, widział to dobrze w lusterku, przed sobą mogli znaleźć jeszcze ocalenie. Niebo, co konturów już nie miało i chmury, które zlewały się z nim i z ziemią jednocześnie. Dziwnie to wszystko wyglądało, nigdy także nie widział niczego choć w połowie podobnego. Ciemność ich goniła, wiedział o tym. To, co jasne szarzało pospiesznie w oczach. Zatrzymał na moment swój wzrok na pewnym człowieku, który przykucnął. Zastygł wraz z nim, w ułamku sekundy poczuł jego śmierć. Mężczyzna ten pochylił się i przystawiając do skroni rewolwer, wypalił sobie prosto w łeb. Zwalił się na ziemię, a jego białą koszulę natychmiast pokryła gęsta krew. Elegancki garnitur splamił się od razu ziemią i brudem, a bordowy krawat śmiesznie przy tym zawinął na czole...

Nie zważając na nic, pędzili prosto do celu. Potężny budynek był już w ich zasięgu. Nowoczesny kompleks z dwustumetrową wieżą do nieba, wyrastał z tego molocha niczym dzieciak z za małych na siebie spodni. Sky Tower swym widokiem przytłaczał wszystko wokół. Był żyjącym mitem, legendą o szklanych domach ponad chmurami. Był dumą nie tylko miasta, ale i całego kraju. Docisnął pedał i gwałtownie zahamował, siłą rozpędu o mało co nie wjechał razem z grubą szybą prosto do środka. Uderzył tylko zderzakiem, który natychmiast odpadł, o to nowoczesne, pancerne szkło. Pasażerka nie mogła otworzyć drzwi, które się zaklinowały. Jednym kopnięciem wybił je na zewnątrz, jego noga przeleciała wtedy tuż obok głowy dziewczyny. Nawet się nie poruszyła, nawet nie zdążyła się jeszcze bardziej wystraszyć. Była blada niczym śmierć, wyglądała jak umykający z ludzi strach. On, przerażony widmem atomowej apokalipsy, szukał już tylko bezpiecznego miejsca. Jeżeli ona nie jest śladem boskiego życia, to wiara nic już tutaj nie da, pomyślał. Dziewczyna była teraz jego ostatnią nadzieją, pragnieniem ocalenia. Wyskoczyli wreszcie z pojazdu, bez namysłu pognali w kierunku najbliższych drzwi...

– Co robisz? – zapytała.

– Daj mi torebkę – wysypał jej zawartość.

– Zwariowałaś!?

– Potrzebuję tego...

– Po co?

– Musimy oznaczyć to miejsce!

– Oznaczyć? Nie rozumiem?

– Będą nas szukać, muszą wiedzieć, że tu jesteśmy – odpowiedział jednym tchem.

– A będą?

– Powinni...

– Kiedy?

Popatrzył na nią z wyrzutem.

– Jakież dwie, trzy godziny po wybuchu.

– Przeżyjemy?

– Może nam się uda, musimy się przygotować. Ile tu może być pięter?

– Pięćdziesiąt – krzyknęła bez zastanowienia, nie uniknęła przy tym jego mętnego wzroku.

Teraz to on patrzył jej prosto w oczy, nie wytrzymała tego spojrzenia, spuściła powieki.

– Musimy dostać się na górę.

– Jak wysoko? – dopytywała.

– Prawie pod dach, dwa piętra poniżej...

– Dlaczego?

– Unikniemy radiacji. Którędy do windy?

– Tędy, za mną! – krzyknęła, rozpoczynając bieg.

– Do tej? – nie był pewny.

– Nie, do tamtej. Jest szybkobieżna i dobrze zabezpieczona...

– Pojedzie?

– Myślę, że tak – odparła zadowolona.

Było to dosyć ryzykowne posunięcie, ale ilość pięter nie dawała wyboru. Nie zdążyliby w porę, nie uratowaliby swoich marnych skór. Ta obłądna kalkulacja nie zabrała mu więcej niż kilka sekund, po których pędzili już w kierunku nieba z prędkością pięciu metrów na sekundę. Czuł

zawroty głowy, dziwne bębnienie w uszach. Ona natomiast prawie niczego nie odczuła, wyglądało na to, że nie pierwszy już raz jedzie tak nowoczesną windą. Oparł się o ścianę, która, miał wrażenie, że faluje, choć winda poruszała się w linii prostej. Dotarli gdzieś wysoko, następnie zmienili windę i jeszcze wyżej pognali z podobną prędkością. Potem już wolniej w kolejnej i na koniec jeszcze bieg po schodach. Wszystko razem w zaledwie kilka minut, których już chyba także nie mieli...

– Co dalej? – trzęsła się niesłychanie.

– Poczekaj, daj pomyśleć! – warknęła na nią, penetrując wzrokiem wszystkie dostępne pomieszczenia.

– Dlaczego to ty masz decydować o moim życiu!? – zaparła się.

– Nie teraz, nie mamy czasu...

– Właśnie, przez ciebie umrzemy! – rozpląkała się.

– Przestań! – próbował ją objąć.

Wyrwała mu się.

– Mogliśmy jechać dalej, może by nam się udało!?

– Udało, co? Nie żartuj – zakpił z niej.

Spojrzała niepewnie, po czym nieśmiało zagadnęła.

– Kim ty właściwie jesteś?

– To będzie dobre miejsce – odparł, nie odpowiadając na jej pytanie.

– Dobre? Do czego, do cholery!?

– Rozbieraj się! – krzyknął na nią.

– Co ty, oszalałeś?

– Rób, co mówię, musimy przejść dekontaminację.

– Co takiego? – szeroko rozdziawiła usta.

– Musimy pozbyć się z siebie pyłu, rozumiesz?

Otworzyła szeroko oczy, na tyle mocno, że w końcu dostrzegł jej źrenice.

– Nie zrobię tego – powiedziała pewnym głosem.

– Zrobisz.

– Zostaw mnie – krzyknęła, kiedy zdierał z niej bluzkę. Nie miała na sobie stanika. Nie nosiła go, bo nie lubiła, jak uwierał ją w ciało.

Jego wzrok nawet nie drgnął, nie zlustrował jej w ten sposób, jak to robiła większość z jego rodzaju. Miał ochotę, ale nie zrobił tego. Cały czas spoglądał w jej oczy, dopiero teraz dostrzegając ich ciemny kolor. Jak popiół, pomyślał. Tylko o stokroć ładniejszy, pomieszany z hebanową czernią. Zdjęli resztę ubrań, zostawili tylko dół od bielizny. Weszli pod prysznic, który wydawało się, że niedawno był używany. Na brodziku widoczne jeszcze były krople porannego orzeźwienia. Ciepła woda spłynęła im prosto po głowie. Kabina była wąska, musieli się więc do siebie zbliżyć. Jeszcze niedawno się nie znali, może nigdy także nie spotkaliby się, a teraz stali prawie nadzy i przytulali się do siebie. Zastaniając plecami kołyszące się lekko jędrne piersi, które dostrzegł w szybie po drugiej stronie pomieszczenia, płukała swoje długie ramiona. Wyłapywał łapczywie swoim ciałem wszystkie te kropelki wody, które jej gdzieś przez nieuwagę umykały. Dotknął nieoczekiwanie swoim zarosniętym torsem jej jedwabście gładkich pleców. Nie chcący, chciał przeprosić, ale ona nie uciekała już przed tym kontaktem. Wyczuwał, że już się go nie boi. Chciał ją pogładzić po skórze, dotknąć tych cudownie wypukłych pośladków, cofnął jednak rękę. Po chwili ubierali się już, odwrócenieni do siebie twarzami...

– Co ty robisz? – zapytała łagodnie.

– Maski dla nas, uchronią nas przed pyłem.

– Przecież to tylko jakieś stare ręczniki i worki na śmieci...

Uniósł głowę.

– Tak, ale to nas może uratować, wycinaj otwory...

– Na oczy? – upewniała się jeszcze.

– Tak, zakleimy je folią i wzmocnimy taśmą klejącą oraz zszywkami.

– Zrobione – oznajmiła.

Pasowały jak ulał, pochwalił ją natychmiast.

- Teraz załóż, delikatnie, żeby nie rozerwać.
- Niewiele widać – próbowała jakoś się z tym oswoić.
- Wiem, ale tak trzeba. Musimy teraz poszukać jedzenia i wody.
- Wiem, gdzie będzie – oznajmiła, ale on już wiedział wcześniej, że ona to wie.

Kilka następnych zakrętów, kilkanaście szerokich schodów niczym wygodne, regulowane podesty, same prowadziły gdzieś w nieznane. Jakaś wnęka, ciemno, ubita żarówka, która nie działała już od jakiegoś czasu. Zagłębili się w tym oczekiwanym mroku, nie ujrzeni zupełnie nic. Dziewczyna macała ręką po ścianach, jak ociemniała, klepała rozpostartą dłońią na wszystkie strony. Nic i znowu tyle samo, pomyślała. Aż tyle, bo przecież jeszcze żyła, zaczynała wreszcie wszystko rozumieć. Mężczyzna szedł tuż za nią, deptając jej po piętach bezustannie, przypominało jej to trochę zaczepki ze szczenięcych lat. Choć tego nie lubiła, schlebiało jej, że chłopaki interesują się jej osobą. Była pazerna na komplementy, potrafiła się także odwzajemnić. Stukot butów był dobrze wyczuwalny, słyszeli go oboje. Klinkierowe podłoże iskrzyło od metalowych okuć. Duża szafa stanęła jej na drodze, nie uderzyła się jednak, nie wpadła na nią. Doskonale wiedziała, że ona tam będzie, tak jak walczący o życie na sztormowym morzu kuter. Zaufała własnej intuicji. Wyjęła z kieszeni kilka monet, spróbowała je wrzucić do środka. Niepotrzebnie jednak, chłopak ją powstrzymał i zrobił użytek z gaśnicy, która wisiała tuż obok. Rozbił szkło i wypatroszyli maszynę. Kiedy zbierała z ziemi batoniki, które rozsypały się niczym ziarenka piachu, uświadomiła sobie, że jej życie było dotąd identyczne. Też bez barw i bez przyszłości. I co z tego, że to ona projektowała ten budynek, który w blasku fleszy rozświetlił niebo w jednej chwili. Gratulacje, bankiety, hipokryzja. Praca pochłonęła ją do tego stopnia, że zapomniała o reszcie. Zatraciła się całkowicie. Kariera, pieniądze, prestiż, i co z tego uratuje ją teraz przed najgorszym? Nic, a najokrutniejsze, że zaniedbała wtedy to, co mogłoby ją teraz uspokoić i pozwolić swobodnie odejść. Jej życie osobiste, było przeciwieństwem tego cudu myśli architektonicznej, który przecież zaprojektowała. Było pogrzebaną za życia rudera, najgorszym wspomnieniem, którego tak naprawdę jednak w ogóle chyba nie było...

- Bierz wodę!
 - Ile? – zawahała się.
 - Ile zdołasz unieść...
 - Wracamy?
 - Tak, musimy się zabezpieczyć – odparł, siłując się z zapasami.
- Zaskoczyło ją to, co powiedział.
- A nie jesteśmy bezpieczni?
 - Te mury uchronią nas zaledwie przed pyłem, nic nie poradzą natomiast na

promieniowanie gamma.

– Żartujesz sobie? – otworzyła usta ze zdziwienia. Kompletnie nie wiedziała, o czym do niej mówi.

- Nie, jest zabójcze. Ci, co nie zdążą się przed nim schronić, umrą w męczarniach...
- Nadal nie odrywała od niego wzroku.
- Skąd ty to wszystko wiesz? Co to za promieniowanie?
 - To coś podobnego do rentgena, tylko o stokroć mocniejsze...
 - I wytrzymamy to? – chciała wiedzieć więcej.
 - Musimy, minimum trzy dni, rozumiesz? – mówił z przekonaniem.
 - Nie – odrzekła.

Pokręcił tylko głową na boki, aż kości ukryte pod skórą szyi zazgrzytały nieprzyjemnie.

– Za trzy dni radiacja spadnie o dziewięćdziesiąt procent, ale nadal będzie zabójcza – zakończył.

Chciała mu wierzyć, ale nie umiała. Pragnęła obudzić się z tego koszmaru i zaparzyć poranną kawę. Chciała przejrzeć prasę, odpowiedzieć na maile, zadzwonić do biura. Wzięła do ręki telefon, nie działał, wyrzuciła go. Komputery, na które się po drodze natknęli także. Nic nie działało, tylko jakoś dziwnie ludzi nie było. Ani jednej osoby, jakby wszyscy wyparowali. Budynek dzielnie oparł się jednak wybuchowi. Od Mostu Grunwaldzkiego dzieliło go kilka kilometrów.

Zachował całą swoją strukturę, doskonale wcześniej wykonany. Niewiele zgubił także szkła, odporny na kataklizmy, stworzony z myślą o wytrzymaniu najgorszego. Ale czy któremuś z budowniczych choć przez myśl przeszło, że doświadczy ataku niekonwencjonalnego? Wiedziała, że nie. Czasami miała takie właśnie sny, gdzie widziała jak obłok śmierci po uderzeniu o grunt wznosi się i roztacza wszędzie. Czuła wtedy ten zapach, poczuła także i smak, aromat ludzkiej agonii. Bała się tego snu, który prześladował ją do momentu, aż ukończyła to swoje dzieło. Wydawało jej się wtedy, że wytrzyma nawet i to, i nie myliła się, przewidując to doskonale...

Za dużo cennego czasu zeszło im na szukaniu jedzenia, za mało poświęcili przy tym na higienę. Ale może wystarczy, może się uda. Znowu zaczęła płakać, uspokajał ją, ale po chwili zrezygnował. Usiadła i już nie wstała, przeciągnął ją mocno po ziemi. Dalej w środkowym pomieszczeniu bez okien, utworzył dodatkowe ścianki, które były niczym korytarze labiryntu, co rusz gdzieś zakręcające. Wiedział, że promieniowanie gamma nie zakręca, a ta wiedza była teraz cenniejsza od złota i rubinów. Zawsze lubił to powiedzenie, mimo tego, że brylanty wydawały się okazalsze. Ścianki wewnętrznego labiryntu tworzącego namiastkę bunkra, wykonał z dużej ilości książek, które poustawiał na sobie, i z nieokreślonej ilości ryz papieru. Dodatkowe biurka, metalowe szafki, regały i półki, którymi wymościli te prowizoryczne działówki, wzmocniły jeszcze bardziej konstrukcję. Natychmiast schronili się w samym jej środku...

– Jesteśmy bezpieczni? – pierwsza się odezwała.

– Nie wiem.

– Co zrobimy?

– Będziemy czekać – odparł.

– Na co?

– Na ocalenie.

Zadziwił ją od samego początku, od kiedy tylko się poznali.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – przydusiła go spojrzeniem.

Nie wahał się, natychmiast odparł:

– Jestem naukowcem...

– Kim?

– Wykładowcą akademickim, i członkiem Krajowej Rady Fizyki Jądrowej – ledwo wymówił tę przydługą nazwę, za którą zresztą nie przepadał.

– Wiedziała, od razu też mi się wydawało, że musisz mieć coś z tym wspólnego – odrzekła, po czym od razu rozsunęła na boki kąciki swoich niezwykle przy tym pełnych ust.

Zobaczył wtedy jej uśmiech, po raz pierwszy dostrzegł jej nietuzinkową urodę. Była raczej drobna, jakieś sto sześćdziesiąt kilka centymetrów wzrostu, w żadnym razie więcej. Jej oczami zdążył się już zachłysnąć, skupił więc teraz całą swoją uwagę na twarzy. Ciemne i krótkie włosy, których grzywka opadała na oczy, wystawały spod maski przeciwpyłowej. Dostrzegł też aparat na zębach... Poprawił maskę za uszami, aby jej się nie poluzowała, poczuła wtedy jego palce. Ich miękkie poduszeczki łagodziły swym jedwabistym dotykiem, czule łaskocząc jej nieprzeciętnie delikatną skórę...

– To twoje dzieło? – wskazał palcem na ściany i sufit. Kiwnęła tylko głową, nadal nie mogła nic powiedzieć. – Taka drobna istota zbudowała taki gigantyczny budynek? Ile on ma metrów?

– Dwieście dwanaście, ale miało być jeszcze więcej...

– I po co?

– Nie wiem, ale miało być...

– Ile tu jest budynków? – zapytał.

– Trzy. Trzypiętrowy podest z galerią, dziewiętnastopiętrowy budynek w kształcie żagla i ta ogromna wieża...

– Pięćdziesiąt pięter do nieba – zaśmiał się, rozbawiony tym jej tworem, który był odzwierciedleniem ludzkich zapędów i kompleksów.

– Dwadzieścia pięć tysięcy ton stali i cztery hektary szkła – dodała nieprzerwanym głosem. Przelknął tylko ślinę.

– Napijmy się... Musimy pić. Nie podnoś się także zbyt wysoko...

Sky Tower był „inteligentnym” budynkiem, który wyprzedzał o dekady swoje czasy. Trzydzieści osiem wind, z czego sześć szybkobieżnych. Panoramiczne okna, zmyślnie mechanizmy, automatycznie przysmykające szyby podczas zmiennej pogody. Żaluzje, które regulowały dostęp światła i procesor odpowiedzialny za wilgotność i temperaturę w pomieszczeniach. Nie mało ich tam było, z grubsza kilkaset, w tym ponad dwieście najwyższej klasy apartamentów i wszystko to na stu siedemdziesięciu tysiącach metrów kwadratowych powierzchni. Istne miasto w mieście, samowystarczalny trzon pnący się w górę ludzkich potrzeb i fantazji. Fanaberia wielkiego biznesu i myśl prawdziwego geniuszu...

– Ile czasu już minęło? – nieśmiało go zapytała.

– Nie wiem, zegarki nie działają.

– Ale już nas szukają, prawda?

Wzruszył tylko ramionami.

– Akcja ratunkowa na pewno już się zaczęła, ale zniszczenia są rozległe, a doświadczenie w takich sytuacjach znikome...

– Jak to? – nie zrozumiała jego słów.

– Musimy im pomóc nas odnaleźć...

– W jaki sposób?

– Musimy iść na dach – powiedział wprost.

– Żartujesz? Ja się stąd nie ruszę!

– Niestety, przykro mi, ale będziemy musieli im się jakoś pokazać.

Te słowa wywołały u niej niepohamowane reakcje. Zapiękliała się jak cholera.

– Jakoś? Na dachu pod tą chmurą? To jakieś parszywe świństwo, a ty chcesz mnie tam wysłać!

Nie zrobiło to na nim najmniejszego nawet wrażenia, odparł bez emocji.

– Poczekamy jeszcze kilka godzin i ruszamy. Musisz mi pomóc, sam nie dam rady.

Zagryzła wargi.

– Dlaczego mi to robisz? Już cię nawet zaczynałam lubić...

Oparli się o siebie plecami. Spuścili głowy, przymknęli też oczy. Zanim to się stało, zdążyła zauważyć jeszcze jego obszerną sylwetkę, nie był gruby. Teraz wyczuwała swoim delikatnym ciałem jego mocne ramiona, których zakończenia tworzyły żelazne bicepsy. Tak jakoś sobie to wyobraziła, zafascynowana jego osobą. Broniła się przed tym, pamiętając obrączkę, którą dostrzegła wcześniej. Teraz już jej jednak nie miał, a może była to tylko iluzja? Prawie dwa metry wzrostu, blond czupryna i zarośnięta twarz kupidyna, tak by go mogła opisać. Ale wołała w inny sposób spojrzeć na tę ich, jakże dziwną znajomość. Jeszcze mocniej docisnęła swoje ramiona do jego barków, wyprostowała też głowę. Poczowała jego naturalny zapach, ale nie potrafiła go zdefiniować. Spodobał jej się i chciała więcej. Szalone myśli pojawiły się w jej głowie. Otrząsnęła się z tego natychmiast. Grynszpanowe maski, które mieli na twarzach, zasłaniały mniej niż powinny, ale w ich sytuacji i tak były prawdziwym cudem. Szklista mgiełka nieznanego, unosiła się już wewnątrz pomieszczenia...

– Myślisz, że to promieniowanie gamma? – nie mogła się powstrzymać, żeby nie zapytać.

– Nie sądzę, ono jest niewidoczne...

– To co to jest?

Zastanowił się przez chwilę.

– Jakieś opary, klimatyzacja albo spiętrzony pył...

– Wierzysz w to, że przeżyjemy, prawda? – zapytała łamiącym się głosem.

– Chcę w to wierzyć, i chcę także, żebyś i ty uwierzyła...

– A nie wierzę? – zdziwiła się.

– Myślę, że dopiero zaczniesz wierzyć.

Złapała się za głowę, maska nie pozwoliła na bliższy kontakt z twarzą.

– Masz rodzinę? – zagadnęła.

– Miałem, do dziś...

Kiedy to mówił, był zimniejszy od stali, ona zaś spieszyła się tym niewłaściwym pytaniem.

– Zginęli? – nie mogła się wycofać z tego, co już rozpoczęła.

Popatrzył na nią spod byka, tak jej się przynajmniej wtedy wydawało.

– Nie wiem, ale tam, gdzie mieszkaliśmy najprawdopodobniej nic nie ocalało...

Spuściła głowę.

– Przykro mi...

– Mnie też – odparł.

Odwróciła się do niego bokiem, jeszcze bardziej przysunęła też swoją głowę. Wtedy jej twarz, jak nigdy wcześniej, była blisko jego...

Dwa wybałuszone ślepia wpatrzone w próżnię, która pożarła ich świat. Bez błysku, pozbawione też blasku, okrutnie wyblakłe, jaskry świeciły spojrzeniem. Dalej jej oczy, piękne i okrągłe, które odżyły na nowo. Teraz wpatrywały się w siebie wzajemnie. Co mówiły, skoro cisza szeptem nie przzerwana nadal trwała w swej potędze? Widziała wtedy jego duszę, źrenice zwięzały się i rozszerzały, myląc swój obraz ostatecznie. Zacisnął pięści, aż strzyknęły stawy, aż kości zazgrzytały, skrzył się jeszcze w bólu. Jej małe piąstki były tuż obok, gładziły go potem, niosąc ukojenie. Nie chciał już płakać, ale to robił. Łzy obficie spływały na ziemię, wysychały też w oka mgnieniu. Jej twarz, którą skrywała maska, mokra od jego łęków i przesiąknięta własnymi słabościami. Chciała go pocałować, musnąć ustami, zaledwie zetknąć je ze sobą choć na chwilę. Te dwa foliowe worki, w których tak się przecież dusili. Nie mogła, odpuściła, odsuwając się na bok. Puściła też jego rękę, znikając w mroku...

Miasto, które na co dzień wspaniale świeciło swym promiennym blaskiem, teraz ostatni już raz zaiskrzyło i skryło się w czeluściach mrocznych na wieki. Niebo coraz bardziej bledło, pokryte pyłem piaskowym i antracytowymi chmurami śmierci, zaklinało deszcz. Latające wysoko helikoptery, dawały poczucie ocalenia. Nadzieja paliła się w ludziach. Skryci pod ziemią, w zawilgoconych kanałach, czy też bunkrach, w budynkach i na ulicy, wszędzie tam oczekiwali wybawienia. Rany ich paliły, pył zatykał i dusił. Charczeli, pluli krwią, po czym odchodzili. Umierali w męczarniach i z twarzą przy ziemi. Ciała ich, drgając w konwulsjach, miotały się niczym w zemście okrutnej. Łapały się innych, szarpiąc i raniąc boleśnie, zabierały ze sobą na wieki. Skóra spalona, czerwona jak papryczki chilli, tak samo zdradziecko szczypiąca. Oko, które zwisało z oczodołu, na cienkiej nitce dyndając, jeszcze wisiało. Ta żyłka, była jak ci, co ocaleli, cienka i niepewna, pozbawiona głębszego spojrzenia. Stada trupów niemrawo płaśły po ulicach w kolorze marengo, oblepione tym, co na nie z góry opadło. Szczęśliwi ci, co natychmiast odeszli, takie śmiałe myśli ogarnęły wtedy pozostałych. Nawet ratownicy uczestniczący w tej misji, sprowadzeni z najdalszych zakątków kraju, doskonale wiedzieli, że wielu z nich odda swoje życie nadaremnie. Czymże jest pomoc bliźnim, jeśli nie łaską samego Boga, którego głos objawił się właśnie teraz, myśleli. Ich czyny nie były jednak nieśmiertelne, odchodziły natychmiast wraz z nimi...

– Słyszysz szmery?

– Nie – odpowiedział, rozglądając się dookoła.

– Jakby coś się do nas zbliżało – przyciszyła głos.

– Gdzie? Nic nie słyszę...

– Teraz jakby stanęło – dodała.

– Tylko cisza, słyszę jej huk – podniósł głowę i głos także.

Podążyła za jego wzrokiem.

– I warkot wentylatorów. O, teraz, słyszałeś? Jakby z drugiej strony?

– Teraz tak – odparł.

– I tam, trochę dalej – nakierowała go.

– Tak, słyszę. Dźwięk ten rozchodzi się z kilku stron naraz. Jakby stukot bosych stóp!?

Zamarła z przerażenia.

– Boję się, a ty?

– Ja też – oznajmił.

– Gdzie się zatem wszyscy podziali? Dlaczego tutaj nikogo oprócz nas nie ma?

Przyłożył palec do jej maski, do miejsca, w którym powinny znajdować się jej usta.

Nakazując milczenie, powiedział:

– Nie wiem, ale to coś ciągle się do nas przybliża...

Ślimaki powoli pełzające do przodu i czas, który kompletnie dla nich nie istniał. Skorupy, które były ich domem, niosły na sobie. Wolne od cierpienia, pozbawione miłości, czy jednak aż tak nierozważne? Pełzające w grupie w poszukiwaniu pożywienia, nie tak jak człowiek, co domu nigdzie nie miał i w pojedynkę szarpał się z życiem. Teraz ich domem był już tylko Sky Tower, ogromna skorupa, pełna ciepła i cierpienia, którą nie sposób było zatargać gdziekolwiek...

Znienacka krzyknęła:

– Biegnij, teraz!

– Nic nie widzę...

– Trzymaj mi rękę na ramieniu i za nic się nie zatrzymuj...

– Nie mogę – ledwo łąpał powietrze do płuc.

– Zaufaj mi, znam to miejsce doskonale...

Wiele myśli przemknęło wtedy przez jego wymęczony umysł.

– Coś tu jest. Czujesz jego obecność?

Nie zatrzymała się jednak.

– Tak, uważaj, będą schody...

– Gdzie? – wystraszył się, że upadnie.

– Zaraz, na trzy i do góry...

Wskoczyli na nie w biegu.

– Och, udało się. Ile pięter w dół? – pytał, nadal sapiąc.

– Trzy, musimy dostać się na czterdzieste piąte, biegiem...

Chciał przystanąć, chociaż na chwilę, nie pozwoliła jednak na to.

– Dlaczego akurat tam? – zapragnął wiedzieć.

– Zobaczysz, biegnij...

Kaszlał, ale nadal nie przestawał się przemieszczać.

– Nie dotknął cię żaden z nich? – zapytał.

– Chyba nie, uważaj zakręt! – w porę go uprzedziła, ale czy aby nie za późno?

Potknął się wtedy.

– Puściłem cię, gdzie jesteś!? – wołał.

– Tu, słyszysz mnie?

– Gdzie? Nie słyszę! Nie zostawiaj mnie tutaj samego...

Nie odpowiedziała, bo znowu ich wyczuła, byli bliżej nich, niż wtedy. Tuż obok. Dotknęła plecami zimnej ściany, z której krople wilgoci spłynęły jej za bluzkę. Jakaś maź, której obrzydliwa lepkość wywołała w niej niepewność, po chwili całkowicie zniknęła. Roztarła jeszcze plecy o granitowy filar, który był tam, gdzie przypuszczała. Wyczuła ich, kim byli, tego nie wiedziała. Zastanawiała się tylko, gdzie podział się jej partner? Próbowała zamienić się z nim rolami, by ustalić jego położenie, ale to i tak było niedorzeczne. Przecież on nie znał budynku. To gdzie teraz jest, czy jeszcze żyje? To coś cicho przemieszczało się pomiędzy regałami, jakby szukając pożywienia, jakby polując na ofiarę. Wciągało powietrze nosem, bardziej niuchało niż oddychało, może przez takie same jak ich maski? Dlaczego nie mieli butów? Nie chcieli hałasować, zastanawiała się. Obeszła filar i zaszła ich od tyłu, była teraz zaledwie metr od nich. Poczwała wtedy ten niestrawny odór, był to zapach zapaskudzonego nieczystościami zwierzęcia. Nie zwlekając już ani chwili dłużej, umknęła stamtąd pospiesznie...

– Słyszysz mnie? – spytała, ale nikt nie odpowiedział.

Cisza momentami przerywana dźwiękiem, który przypominał zgrzytanie zębami, tylko tyle wtedy do niej docierało...

– Wiem, że tu jesteś, powiedz coś... – ponowiła.

Znowu zderzyła się z ciszą, kiedy już miała się jednak poruszyć, dotarły do jej uszu czyjeś słowa:

– Powiedz coś... – usłyszała kilkakrotnie, ale nie był to głos jej towarzysza. Serce o mało jej nie stanęło, wycofała się.

Ktoś powłóczył nogą, ślizgał nią po podłodze i podpierał się kulą. Sunął w jej stronę. Wiedziała, że nie może tam zostać. Bez ustanku i niewyraźnie powtarzał jej słowa: „powiedz coś”, które to usłyszała stokroć razy. Oczy jego wylupione nawet nie błyskały w ciemności, kto mu to zrobił i dlaczego? Może sam to uczynił, żeby nikt go nie zobaczył? Tu i tak inne zmysły były ważniejsze, słuch wydawał się najistotniejszy. Zasłoniła na chwilę szybki w masce, dzięki czemu uniknęła rozpoznania. Zakamuflowana niczym żołnierz podczas walk na terenie wroga, realizowała własną misję szpiegowską. Duży pręt, mosiężny, wisiał na jednej ze ścian, a pod nim strażacki topór, tam prowadziły ją teraz nogi. Usłyszała głos, jakby ludzki, taki co od dawna niczego nie powiedział. Potem drugi i kolejne, bardziej przypominające szmery. Ta rozmowa była tylko piekielnym paplaniem, źle wyartykułowanych zwrotów. Na pewno nie były to wyrazy i ten smród... ledwo można było to wytrzymać. Odnalazła zawieszony przedmiot, odbezpieczyła zamknięcia. Obszerny wąż strażacki delikatnie zsunął się z koła, ten szmer zdradził jej pozycję. Zobaczyła wtedy oko snajpera, tę wąską źrenicę wpatrzoną prosto w nią. Potem kolejne spojrzenia, które utworzyły wokół niej koło. Zawęzowały je coraz bardziej. Stała tak bez ruchu i czekając nie wiedząc na co, ostatkiem sił uniosła do góry potężny topór.

Czas, co nie miał już znaczenia, co ciągnął się i dłużył, teraz stanął i wyciągnął po nią swoje łapy. Widziała te wielkie, rubinowe wskazówki, które zakończone szponami, pragnęły już tylko jej mięsa. Wzięła zamach, uderzyła, lecz cios przeszył tylko powietrze. Przecięła go na pół, okazało się to dopiero po chwili. Ostrze miękko zagłębiło się w coś, co ludzkie być nie mogło. Tego dźwięku, który potem usłyszała, nie zapomni już nigdy. Po raz pierwszy żałowała, że przeżyła wybuch, że ocalała. Odrzuciła narzędzie, jego głuchy stukot niczym wyrabianie podkowy natychmiast zagłuszył te bestie. Udało jej się także skryć. Wiedziała, że tam nie mogą jej już odnaleźć...

Podstęp, co tak bliski był człowiekowi i całkowicie inny od postępu, który nigdy nie nadszedł. Zacofanie i przygnębienie idące w parze, parszywy los, nędza i utrapienie. Ona doskonale to wiedziała, przeżyła wiele, obserwując swoje własne przerażenie, teraz i wcześniej. Czy w końcu odejdzie? Szukała go, choć nie powinna. Przynajmniej tak dotąd myślała. Mężczyzn niszczyła błyskawicznie, jej życie było pasmem cierpienia, które zawdzięczała ojcu. Tak bardzo go nienawidziła. Pomimo tego, że nie żył już przeszło dziesięć lat, to nadal go w myślach przeklinała. Była okrutna, ale nie mniej niż on sam, była przecież jego córką. Dobrze знаła rozkład budynku, kobaltowy Sky Tower nie miał przed nią żadnych tajemnic. To tu, gdzie teraz się schroniła, był jej azyl. Znała wszystkie sekretne miejsca, sama je przecież zaprojektowała. Przeszło dwieście apartamentów, biura w niezliczonej ilości, centrum handlowe i całą odnowę biologiczną. Bóg wie, co jeszcze kryło się w tym miejscu. Właśnie, o nim na śmierć przecież zapomniiała. Zaczęła się więc modlić, po raz pierwszy od bardzo dawna...

Przemknęła po cichu tuż obok nich. Krwiożercze potwory o ludzkich ciałach, które ukradkiem ujrzała, poszukiwały właśnie jej. Skryła się szczęśliwie przed nimi za stalowymi drzwiami. Ciemność nie ustępowała, była blada, i ona też, ale wiedziała, że to zaraz minie. Kody zadziały, zasuwę zatrzeszczała, a drzwi uchyliły się. Była ocalona. Pot strugami płynął po jej ciele, opadła na kolana. Skryła twarz w dłoniach i zapłakała. Paznokcie jej cięży skórzane obicie sofy, szarpała się z nią, unosząc z kolan. Nigdy więcej! Krzyczała. Usłyszała w odpowiedzi głuchy odgłos. Stała i patrzyła, o czym myślała, kiedy zaświeciło światło? Zamarła z przerażenia, plecami przylgnęła do kanapy. Rozglądała się wtedy niepewnie, gwałtownie poruszając głową. Apartament posiadał salon, w którym teraz była, także dwie łazienki, pokój dzienny i aneks kuchenny. Na rogu, tuż obok ogromnej szyby, stała azjatycka ława, sprowadzona na zamówienie za górę forszy. Na niej stał wazon, był w odcieniach brązu i w kształcie kobiecych bioder. Jego zakończenie ukazało jej dwie nagie kobiece piersi, które prężnie stercząc, zachęcały do wsadzenia tam jakiegoś kwiatu...

Pomieszczenia specjalne, do których zaliczał się ten apartament, były całkowicie zautomatyzowane. Nawet kanapa jeździła na boki, do góry i w tył. Swoją wygodą, doskonale umilała czas. Obficie zaopatrzone barek, który na odpowiednio wymodulowany głos podjeżdżał i otwierał swe podwoje. Telewizor zawieszony na ścianie, sto czterdzieści cali, dawał niesamowitą rozrywkę. Tysiąc kanałów nadających non stop, istne medialne szaleństwo, pomieszanie z poplątaniem. I dywany z Indii, złotą nicią wyszywane. Włoskie meble i łazienka, błękitną glazurą

połyskująca niczym gwiazda najjaśniejsza, marzenie tysięcy, niedostępne większości. I co z tego, że to stworzyła? Targała tylko swoje włosy z obrzydzenia. Płacz nic tu nie da, dotarło do niej wreszcie. Zamknęła oczy, by zapomnieć. Pragnęła wyłączyć emocje, opanować myśli. Zmyliła tym strach, co ją pożerał, tryumfowała ostatecznie. Cisza ogarnęła jej umysł. Pomyślała o matce, której tak naprawdę nie pamiętała. Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech, potem niepokój opanował już serce. Otworzyła oczy, dyskretnie spojrzała w kierunku oszklonej ściany. Na ławie nie było już wazonu, który wcześniej przykuł jej uwagę. Z miejsca oniemiała. Niemożliwe, by ktoś tu jeszcze był. Przecież tylko ona знаła to miejsce. Jakiś szelest w łazience i kroki w odległym pokoju. Jak stukot małych, bosych stóp. Dlaczego jednak takich? Pukanie w ściany, co zaraz milkło i znów uderzało metry dalej. Kręciła tylko głową, nie wiedząc, skąd teraz nadejdzie. Gdzie się podział ten parszywy wazon!? Gdzie on jest, do cholery!? Wszystko się ostatecznie skurwiło, nawet ona nie była już sobą. Złapała się mocno za włosy i pociągnęła, ból uderzył natychmiast. Zaczęła wyrwać je z głowy. Drzeć na strzępy, krew tryskała wtedy na boki. To dżdżysty taniec śmierci, pomyślała. To agonia w świetle mroku...

– Mamo, słyszysz mnie?

– Słyszę cię dziecko...

– Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Bo nie mogę...

– Jak to?

– Boję się twojego ojca...

– Dlaczego? Mamo, przecież jego już nie ma...

– Jest, cały czas widzę jego oczy, którymi bez przerwy za mną wodzi...

– Mamo, słyszysz mnie, mamo? Mamusi!

Nikt nie odpowiedział, nikt także dotąd z nią nie rozmawiał. Stała na wprost dużego lustra, na które pluła własną krwią. Kolejne wykrzywane słowa odbiciem swym nie przypominały wypowiedzianych wyrazów. Zamilkła na moment, nie poruszyła się ani o milimetr. Jej lustrzane odbicie natomiast jakby zaiskrzyło, a wybałuszone oczy połyskiwały złowrogo. Próbowwała jakoś nad tym zapanować, ale nie mogła. Nie potrafiła się od tego uwolnić, ta siła wykręcała jej oczy na drugą stronę. Ona, która z przerażenia ucichła i jej twarz, a na niej jakaś inna skóra, którą najchętniej by z siebie zerwała. Złapała dłonią za lewe ucho, pociągnęła. Potem poniżej, uciskając fałd skóry, wbiła w nią swoje ostre paznokcie. W lustrze zobaczyła twarz matki, ale nie w jej włosach, tylko w swoich. Jej skołtunione odrosty otaczały tamtą twarz, poniżej jednak znowu jej szyja, która zakręciła się jeszcze dookoła ciała. Głowa w jedną stronę, szyja w drugą, a korpus tam, gdzie i głowa. Upadła wykończona, próbowała się jeszcze podnieść, ale znów runęła. Zawirowało jej w głowie...

– Obudź się, żyjesz? – polał jej głowę whisky. Pół butelki na to przeznaczył, resztę sącył teraz przez zęby.

– Oszalałeś! Co ty tu robisz? Jak mnie znalazłeś?

– Wstawaj, musimy biec na dach...

– Nie mogłeś użyć wody?

– Jest skażona...

– Uważaj, tutaj ktoś jeszcze jest! – próbowała go ostrzec.

– Nie ma, sprawdziłem dokładnie. No podnoś się, pomogę ci...

Ledwo zwlekła się z podłogi.

– Nie chcę tam iść...

– Musisz, wiele poświęciłem, żeby cię odnaleźć. Teraz sam tam nie pójde!

– Będziesz musiał, bo ja tu zostaję – odparła z przekonaniem, po czym odwróciła się do niego plecami.

– Rusz się! Chcesz żyć, czy nie?

Poruszyła tylko głowę.

– Ja już nie wiem, czy to wszystko jest prawdą, czy też nie? Czy żyję jeszcze, czy dawno temu umarłam, rozumiesz?

Odrzekł gwałtownie:

– Rozumiem, wierz mi, kurwa, że to rozumiem...

Droga na dach była niezwykle uciążliwa. Przez ciemność co jakiś czas przebijało delikatne światło, które wydobywało się z ubitych jarzeniówek. Błyskając, rzucało na ściany koszarne cienie. Słyszeli jakieś gwałtowne ruchy, uderzenia ciężkim przedmiotem i zgrzyt pękających czaszek. Potem nastąpiła cisza, co okrutnie karciała i cichy płacz dziecka, który następnie do nich dobiegł. Jego delikatny przy tym głos, szarpał i łagodził wszystkie jej zmysły naraz...

– Musimy je odnaleźć! – oznajmiła.

– Nie możemy...

– Musimy, rozumiesz? Okrutny jesteś!

Wcale go to nie zdziwiło.

– Chcę nas uratować – jasno sprecyzował cele.

– Ale to przecież tylko dziecko...

– Wiem, ale nie potrafimy mu pomóc.

Jej wyraz twarzy był odbiciem jego myśli.

– Dlaczego? Powiedz coś, żebym ci uwierzyła...

– Co takiego? – Co chciała jeszcze usłyszeć, zastanawiał się.

– Nie wiem, przekonaj mnie, że się mylę...

Naprężył tak czoło, że aż wszystkie zmarszczki natychmiast zniknęły.

– Nie mylisz się, niczym cię nie przejednam, nie potrafię...

– Jesteś okropny!

– Nie ja, to życie takie właśnie jest. Rozumiem jednak twój ból – oświadczył.

O mało nie zerwała z siebie tej szeleszczącej maski, w porę ją jednak powstrzymał.

Krzyknęła:

– Idź precz, rozumiesz!? Odejdź!

Zawahał się.

– Bez ciebie nie odejdę – odparł, spuszczając głowę. – Ty to ja, jutra może nie być, a dziś jeszcze trwa. Każda chwila dzięki tobie daje mi nadzieję na to, że może ten dzień jednak nadejdzie. Rozumiesz to, do diabła!?

Szarpała się z nim, upadła. Poderwała natychmiast, skoczyła mu do oczu. Zobaczyła w nim ojca. Złość narosła jak wrzód, cicho i błyskawicznie. Teraz krwawiąc z rozwartego pęknięcia, pochłaniała jej wiarę błyskawicznie. Chciała mu je dosłownie wydrapać, ledwo się przed tym uchronił. Uderzył ją w twarz, straciła na moment przytomność. Nie pozwolił jej jednak upaść, złapał ją w ostatniej chwili. Nogi rozjechały im się na boki, jej od ciosu, który przyjęła, a jemu od ciężaru, którym go przytłoczyła. Nie chciał tego zrobić, ale stało się, zapewne nigdy mu tego nie wybaczy. Przerzucił ją sobie przez ramię i ociężałe zaczął się wspinać po marmurowych schodach. Odgłosy dziecięcego błagania pozostawił daleko za sobą. Serce bolało, a umysł wyklinał bez końca, ale on był głuchy na biadolenie, zapragnął jednego. Za wszelką cenę chciał ją uratować. To, że cudem ocalał i ominęły go te krwiożercze stwory nocy, dodało mu tylko odwagi. Szukał jej wtedy w ciemnicach i lochach nieznanym mu korytarzy, co niosły ze sobą tylko ból i cierpienie. Odkrył drzwi za drzwiami i następne za nimi, wszystkie przy tym sprytnie schowane, stworzone znakomitą myślą architekta. Wplecione w biel ściany, która, choć niewidoczna, jemu odkryła swoją tajemnicę. Obszedł zabezpieczenia, które po impulsie elektromagnetycznym nie były już niedostępne. Wiedział, że ona tam będzie, wyczuwał ją wtedy całym swoim ciałem. Ten dotyk pod prysznicem, choć krótki, tak ważny jednocześnie, idealnie teraz ugładził wszystkie jego wewnętrzne nierówności. Wskazywał także kierunek. Gnał ile sił w nogach do góry. Mozolnie czynił to, co niemożliwe. Zsunęła mu się przez nieuwagę, nie opadła jednak. Zobaczył po drodze powyżej srebrzystych balustrad, jasne ściany, które pięły się przed siebie. Zawijając swe końce, tworzyły elipsy, po czym umykały gdzieś w nieznane. Tam, dokąd zmierzał, prowadziły go bezsprzecznie. Poczł się tak jak kiedyś, jak mały chłopiec, który zaciągnął na sam szczyt plecak z linami. Stał tam wtedy niedościgniony i patrzył wstecz. Daleko w tyle zobaczył swoją przyszlą żonę, która dysząc złowieszczo, ślamazarnie gramoliła się do góry. Była piękna, jej krucze włosy zlewały się z taki

samymi oczami. Jej twarz niczym magnes przyciągała wszystkie te metaliczne, męskie spojrzenia. Zabierała je im na zawsze. Rozkochali się w sobie, urodziła mu dziecko, dla którego stracił rozum. Był jej wierny, unikając koszmarnych pokus. Kierował się miłością. Przeklął tylko w duchu, a gniew wstąpił w niego natychmiast. Następne piętro, czterdzieste dziewiąte, odczytał. Przystanął, zaczął się rozglądać. Jego oczy wtedy otworzyły się jeszcze bardziej...

Wiedział dobrze, że poddasze mogło być tak samo niebezpieczne, jak sam dach. Wszedł do dużego biura, rozgarnął na boki sterty papieru, które zalegały na biurku. Przewrócił plastikowy kubek. Kawa niczym czarna rzeka rozlała się wtedy na boki. Przetarł blat rękawem, z którego krople spływały jeszcze przez chwilę. Ułożył jej ciało poziomo, wsunął pod głowę poduszkę, którą owinął kawałkiem czystej tkaniny. Obrotowe krzesło, które następnie dostrzegł, nadal się kręciło. Jakby ktoś z niego przed chwilą wstał, jakby pospiesznie stąd uciekł. W rogu pomieszczenia stał ekspres do kawy, który wciąż jeszcze działał. Sykiem, oznajmiał gotowość, dudnił i parował. Mężczyzna poczuł zapach mocnego aromatu palonych ziaren. Nie spróbował jednak, pamiętając o skażeniu i o morderczej fali. Gamma wywracała ludzkie flaki dosłownie na drugą stronę. Przełknął ślinę, gardło nieznośnie paliło, a ona kleiście przylgnęła już do języka. Ocucił dziewczynę, ta przerażona, krzyknęła:

– Zostaw mnie!

– Przestań, bo nas usłyszają...

– Nie dbam o to, odejdz...

– Jesteśmy blisko dachu, musimy tam teraz wejść...

– Po co? Jesteś taki sam jak oni wszyscy...

– Musimy wezwać pomoc, żyjemy na kredyt – wyraźnie podkreślił znaczenie tego słowa.

– Jesteś klonem faceta, wiesz?

– Czym? – nie zrozumiał jej słów. – Idziemy na górę, szybko także musimy stamtąd powrócić...

Zaśmiała mu się w twarz.

– I co tam zrobimy, skoczmy z dachu!?

– Weźmiemy ze sobą ten kosz – wskazał na burgundowy pojemnik. – Trzymaj jeszcze gazety. Mam klej, jest łatwopalny i zapalaki, te zdobyć było najtrudniej...

Nie dotarły już do niej jego słowa.

– Dotkniesz mnie jeszcze raz, to przebiję ci tchawicę. Zapamiętaj to dobrze, rozumiesz!?

Nie odpowiedział, jakoś jej wtedy nie uwierzył. Czcze gadanie, pomyślał. Siała zamęt, większy niż mogła uczynić. Podciągnął spodnie, które lekko opadły. Pasek już dawno temu wykorzystał do czegoś innego. Schudłem, pomyślał. Wcześniej jakoś nie umiałem, zaśmiał się pod nosem. Wdrapali się na samą górę. Wskazała na właz prowadzący wprost do nieba. Wiedziała jak go otworzyć, zrobiła to prawie niezauważalnie. Czyż nie dlatego mnie tu przyprowadził? Taka myśl spadła na nią znienacka, otworzyła też wreszcie oczy. Zatrzymała się niepewna dalszego losu, widmo przeznaczenia dopadło ją wtedy natychmiast. Ciśnienie na tej wysokości było nienaturalne, ciężki oddech ogarnął ich nozdrza, a potem także płuca. On, przyzwyczajony do takich warunków, holował ją półprzytomną, gdzieś w pobliżu ogromnego nadajnika. Potężny maszt, antena całego świata, jak mu się wydawało, wyłaniał się z samego jego środka. Piął się w nieznane, ponad chmurami, które przecinał swym ostrym szpicem. Był głosem ludu, pragnieniem gwiazd, pomyśleli oboje. Poprawili maski, narzucili na siebie palta z żółtych prochowców, które wygrzebali po drodze ze strażackich schowków. Głowy skryli w kapturach. Nie szło oddychać, powietrze dusiło i zatykało. Pochyleni, odwrócili się w kierunku wybuchu. To, co tam dostrzegli, niepodobne już było do niczego...

Grzyba nie było już na horyzoncie, tylko miasto umarłych, ukazało mu swe zniszczenia. Płonący kocioł, co nikał w półmroku, swym gorącym parząc na śmierć, usypiał. Szkarłatne płomienie targały całym już spopielonym centrum. Przesuwały się szybko w kierunku ich podniebnej kryjówki. W powietrzu unosił się zapach śmierci, a lęk konających w cierpieniu rozchodził na wiele mil. Usłyszeli ich głosy, które pragnęły już tylko jednego. Usłyszeli niemał ich niemal prośbę o natychmiastowe unicestwienie. Zobaczył wtedy w myślach obraz zniszczenia.

Zrozumiał także, że ten ból był silnie trujący. Kolory mrozące krew w żyłach ociekały czerwienią wyblakłą i szarością popiołu. I ich oniemiała od tego gęby, które wraz z nimi od razu zniknęły, żywcem pożarte, przez tę drapieżną lunę i poświatę nuklearnego oddechu. Tysiące istnień ziemskich zmielonych na proch, następne tysiące krzyczących i wciąganych w wir ostrzy tego miażdżącego młynka. Drastyczny obraz życia, które dech swój utraciło już chyba na zawsze, co swe piękno przekuło w skrywaną dotąd brzydotę...

Plakał jak na to patrzył, ona nie mogła tam nawet spojrzeć. Zmusił ją do tego. Kiedy rozpalili ogień, pomogła mu, jak obiecała. Z obrzydzeniem upychała tam śmierdzące fekalia, by sygnał był jeszcze bardziej widoczny. Nieświadoma niczego, zobaczyła wtedy wszystko. Kubeł dymił i strzelał ogniem na boki. Jej łzy, które ciurkiem skapywały po brodzie, rozpierchły się w przestrzeń wraz z wrzaskiem, który rozerwał jej niemal serce. Helikoptery krążyły w zasięgu ich wzroku, szukały ocalonych w miejscu, gdzie nikt taki już nie pozostał. Działali w panice, bez planu żadnego, czy wreszcie w zaskoczeniu. Czy tutaj doleczą? Czy ich zobaczą? Czy dostrzegą ten dach ponad chmurami? Wpadła mu w ramiona, ścisnęła go w pól, aż zaryczał z bólu. Uniósł ją do góry. W tym samym momencie oboje zapragnęli tego samego, ich wzrok poszybował ostro w tamtym kierunku...

– Ocal nas, Panie. Ocal, bo tu zginiemy – na klęczkach wypowiadała te słowa.

– Nie prosz, nie błagaj i tak nie usłucha...

– Nie wierzysz w Niego?

– Już nie wiem, w co wierzyć. Już nie potrafię, już nie chcę...

Spojrzała za ledwie na jego buty.

– Umrzemy, prawda?

– A skąd mi to wiedzieć? Jakże decydować – odpowiedział niewyraźnie.

– Boję się śmierci, boję się bólu strasznego. A ty? – zagadnęła.

Popatrzył na nią z góry.

– Śmierć nie boli – oznajmił. – Nadchodzi niespodziewanie. Ból potęguje tylko odchodzenie, to umieranie jest straszne...

Słowa te uleciały w próżnię, spadły jednak na nią po chwili niczym konające, cukrowe gołębie.

– Znam wyjście – podniosła się z kolan.

– Jakie? Oświeć mnie, bom chyba postradał już zmysły...

Uśmiechnęła się intrygująco.

– Ja także, skaczemy?

Była gotowa na wszystko, na śmierć także. Choć pragnęła żyć, ten skok mógł wreszcie wszystko zakończyć. Coraz bardziej docierało do niej, że najgorsze dopiero przed nimi. Zobaczyła to wtedy w jego oczach, które od razu także pokochała. Miłość nie istniała dla niej od dawna, może w ogóle jej nie było. Nie potrafiła przecież dotąd zgłębić jej tajemnicy. Szok, jakiego doznała w dzieciństwie, zniechęcił ją do tego typu zachowań. Była samotnikiem. Skazanym na sukces samotnym wilkiem, który nie szukał łatwego celu. Wszystko szło u niej jak po grudach, mozolnie zdobywała coraz to wyższe cele. Zamknięta w sobie, dzika i nieokielzana, szarpała pazurami to ich męskie zło. Pastwiła się nad nimi, tak bardzo przypominali jej własnego ojca. Najchętniej dosłownie zamknęłaby im usta na całe życie...

Zbiegali w gęsiego, omijając sterty śmieci, które były usypane w niesymetryczne kopce na schodach. Naturalny bałagan, pomyślał. Wszystko i nic. Papierowe kalki, co od bieli, odbijały już tylko czerń. Dygotała ze strachu, lęk i tamta wysokość. Przecież chciała skoczyć. Ile by z niej zostało tam na ziemi? To jak sprint, dwieście metrów, tylko w pionie. Wygrałaby na pewno, pokonała samego mistrza. Granica dziewiętnastu sekund, niedostępna dla ludzi, pękłaby z wielkim hukiem. Ona jednak by nie ocalała. Poręcze te same, takie metaliczne w dotyku, co drugi stopień uchwycone lewą dłonią. Zaciskała się na nich niczym stolarskie imadło, puszczając dopiero w ostatniej chwili. Noga za nogą, tu uślizg, innym razem potknięcie. Poleciała przed siebie tuż za zakrętem, wpadła na niego, upadli boleśnie. Powstali, zebrali się w sobie, na nowo pognali. Drzwi za drzwiami, korytarze co z tunelu w otwartą przestrzeń wpadały, przestrelone światłem na wylot,

dalej w mroku tonące. Trochę zatęchłej zieleni, jakieś orientalne krzewy wystające z ukruszonych donic. Obrazy, zniekształcone bohomyzy, rozmazane od ciekących zraszaczy wody i od wysokiej temperatury wybrzuszony. Prawdziwe dzieła sztuki, skąpane we krwi i pozbawione sensu. Zabłądził, przez chwilę kręcili się w kółko, dzięki niej szybko znaleźli zagubioną drogę. Przebiegli przez duży apartament, szukali łazienki. Wanny tam jednak nie było, nie znaleźli także kuchni. Przemknęli przez salę balową, złotem haftowaną. Obszerny stół zajmował znaczną jej część, jego blat grawerowanym ornamentem był ozdobiony. Parapet i okno, a za nim już nic. Niczego tam nie dostrzegli, choć zapewne pragnęliby się mylić. Świat, który niedawno jeszcze znali, od kilku dni wydawał się już nie istnieć. Po kwadransie znaleźli wreszcie schronienie. Duży, owalny gabinet, był to apartament królewskiej klasy. Zabezpieczyli jego drzwi, zamykając je na klucz od środka. Wiedzieli, że tamto lichy i tak wcześniej, czy później tu dotrze. Wiedzieli przy tym, jak liche było to ich ocalenie. Czas, który skradli, kostucha na pewno i tak odbierze. Wróci tu po nich i zemści się okrutnie...

– Musimy się umyć, zdejmuj ubranie – ponaglał ją nieprzerwanie.

– Dekantacja? – zaplątał jej się język.

Nie uśmiechnął się jednak, choć tego się spodziewała.

– Dekontaminacja, usunie z nas szkodliwe substancje – wyjaśnił.

– Myślisz, że jeszcze nas nie napromieniowało?

– Nie wiem, ale znam zasady. Wskakuj pod prysznic – wskazał jej kierunek.

Zrobiła to, zachęcając go, jak nigdy przedtem.

– Chodź do mnie, nie bój się...

– Idę, posuń się trochę. Za gorąca woda, odkręć zimną – zawstydził się.

Oparła się o niego plecami.

– Zostaw moją pupę, dlaczego mnie dotykasz? – znieruchomiała. – Nie chcę, szczypią mnie piersi...

Wyślizgiwała mu się wtedy za każdym razem.

– Więcej piany, namydłem ci plecy. Potem ty moje, i dużo wody – mówił.

– Daj, spłuczę ci twoje – zaproponowała.

– Jeszcze się boisz? – zapytał, odwracając się do niej przodem.

– Nie, to miłe. Chciałabym więcej...

– Chcesz miłości? – wyszeptał jej do ucha.

Odsunęła na bok mokre włosy.

– A ty? Przecież kogoś masz?

– Nieważne, teraz to już przecież nie ma większego znaczenia...

Skrzywiła się.

– Racja, to może być nasz ostatni raz...

Pocałował ją delikatnie w usta.

– Pragnę cię, wiesz? Widzisz, on także... – uśmiechnął się, spuszczać wzrok.

Ledwo go wtedy objęła swoją dłonią, mruzczała ponętnie.

– Widzę, porwij mnie zatem i pokaż to, czego jeszcze dotąd nie zaznałam...

Dotknął ustami jej wargi sromowe, stąd tylko krok był do wieczności, pomyślał.

– Pokażę ci znacznie więcej, a potem razem stąd odejdziemy – ten jego szept rozszedł się echem...

Jej gładkie pośladki, lekko napięte i w kształcie gruszki, płynące od linii pleców aż po uda. Nogi jej raczej krótkie, ale rzeźba ich, to klasyka urody płci pięknej i mogłaby za wzór posłużyć, pomyślał. Może tego właśnie by chciał, tak to zobaczyć, myślał, podniecony. Komplementy dla niej strumieniem płynęły wtedy z jego ust. Jej uszy jednak nie wpuszczały ich głębiej, niż jego męskości. Dociskał, a ona odpychała go od siebie. Podniósł ją do góry i twardo osadził na sobie, jęknęła radośnie. Rękoma masował pupę, jej oczy śpiewały wtedy rozkoszą. Nie chciała tego wcześniej, potem pragnęła już tylko wspaniałych doznań, niepewnie go do siebie dopuszczając. Wziął ją jak żonę dawno temu, namiętnie i z uczuciem. Wyczuła to od razu, objęła nogami i jeszcze mocniej zaciskając mięśnie, otoczyła jego męskość, wręcz wchłonęła, przyjmując do swego rajcu.

Jemu w duszy piękna melodia zagrała, znana i nieodkryta jednocześnie. Prawdziwa, czy nie!?, krzyknął w ekstazie, a ona chciała jeszcze...

Leżeli zmęczeni obok siebie. Razem, ale oddzielnie. Plecy, chronili plecami, ich twarze lustrowały puste już tylko ściany. Pijackie obrazy falowały przed jej oczami, powieki przymknięte nie zaznały spokoju. Wymioty, zgagą wyciągane, wystrzeliły z niej natychmiast. Otarła ręką brodę, resztki rzygowin przykleiły jej się do skóry. Opadła na plecy, bez ruchu się osuwając, powyżej sufit w całej okazałości zobaczyła. Wielki i jasny, wysoko piętrzył się i jakby przy tym napinał, rozchodząc na boki. Kolebiące się dziwnie lampy swoim żarem zasilał. Te światła żadnego jednak nie wydały, iskrzyły zaledwie połyskiem świetlika, ona zaś nadal wrzała miłością od środka rozpalona...

Mężczyzna podniósł się z ziemi, spojrzął na nią, ukradkiem to dostrzegła. Ten jego grymas, co uśmiechem chyba nie był, tylko dzikim zaspokojeniem żądy, która męsko do niej przemawiała. Drgała tak w konwulsjach, nadal zniewolona orgazmem, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Odwrócił się tyłem i odszedł. Jego smukła sylwetka i ogień piekielny, co tak ją rozpałił, natychmiast umknęły. Uniosła głowę, spojrzała. Chciała go przywołać, na nowo wtedy odleciała... Jego umięśnione plecy naprężyły się, a ukryte pod skórą ścięgna niczym podpory mostu o stokroć przeciążonego, obłądnie zatrzęszczały. Ukazały jej swą wielką siłę i moc miłości, która jego oddaniem nieczysto już tylko zaśpiewała...

Pierwszy helikopter dawno już wylądował na obszernym lądowisku Sky Tower, następne krążyły nieopodal, czekając na swoją kolej. Piloci sterujący maszynami, starali się utrzymywać bezpieczne odstępstwa. Mocno wzburzone niebo na wiele nie pozwalało. Ktoś wyskoczył z kokpitu i rozchylił ciężkie, stalowe drzwi. Wytoczyło się przez nie kilku uzbrojonych po zęby najemników. Ich kombinezony niczym wojskowe moro, nie wróżyły najlepiej. Nie wyglądali na ekipę ratunkową, czy przynieśli ze sobą ocalenie, wątliwe. Dziewczyna widziała ich głowy. Kamery zainstalowane w budynku były najnowocześniejsze. Potrafiły skanować twarze, przenikały przez ubranie i przedmioty. Projektując budynek śmiała się, że będzie mogła policzyć zasobność portfeli mieszkańców. Teraz wyczuwała zło, które ze sobą przynieśli i widziała strach w oczach tych, których po drodze napotkają. Mężczyzna stał tuż obok, delikatnie masując jej ramiona, rozmyślał dokładnie o tym samym.

Weszli do środka, uzbrojeni po zęby i żądni krwi. Czego szukali? Kasy, złota, klejnotów? Skąd przybyli i po co, na pewno nie była to misja ratunkowa. Mieli problemy, aby wzbic się wysoko, śmigłowce stawały dęba. Ich śmigła nierównomiernie przecinały powietrze. Załoga nieprzypięta do linek zabezpieczających, przetaczała się z jednego boku na drugi. Jeden z nich przez nieuwagę wyleciał z maszyny, bez spadochronu, nie miał żadnych szans. Pozostali odprawili go wzrokiem. Poleciał głową w dół, uderzając po drodze potylicą o metalowe nogi maszyny. Skrzywił się w bolesnym grymasie. Wieża kompleksu Sky Tower, była owalna, przypominała potężną rurę, która pięła się wprost do nieba. Na tle wspaniałego miasta, wyglądała majestatycznie i nowocześnie. Razem z drugim budynkiem, który wyglądem przypominał żagiel, i ogromnym podestem z trzema kondygnacjami handlowymi, tworzył obraz niebiańskiego statku. Jacht, który nigdy nie wypłynął, dramatycznie tonął, znikając po kawałku we mgle szarością osnutą. Opanowali poddasze, rozdzielili się, tworząc czteroosobowe zespoły. Piraci najwyższych lotów, przeczesywali zakamarki, nie omijając po drodze niczego. Zabijali bez zastanowienia. Cztery grupy, trzy w środku i jedna na dachu. Dziewięć osób, które swym widokiem paraliżowały otoczenie. Strzelby z długimi lufami, wyciągnięte przed siebie. Zabójcze pociski. Wirujące w powietrzu szkło. Krępe sylwetki, masywne grzbiety i grube karki. Muskularne torsy, które żelazną pięścią obejmowały partnera w chwili sukcesu i w momencie porażki. Mordercy doskonali.

– Zabiją nas! – krzyknęła, wpatrując się w jego oczy.

– Jeśli nas znajdą, ale może tak się nie stanie.

– Zginiemy, prawda? – płakała.

– Przecież ty to zbudowałaś! Możesz nas ocalić...

– I co dalej? Powiedziałaś, że nas uratują.

– Tak myślałem, nie wiem co się dzieje. Telefony nie działają, odbiorniki telewizyjne

także...

– Zdechniemy tu i ty o tym wiedziałeś od początku!

Odwrócił głowę.

– Jest szansa, mała, ale jest... Cały czas o nią walczyliśmy – próbował ją jakoś przekonać.

– Ja mam już dość, rozumiesz? Nie mam siły, by dalej w to brnąć!

Pogładził ją po głowie.

– Ja też, ale nadal musimy próbować. Musimy stąd uciec.

– Którędy? – zaśmiała się. – Przecież nie porwiemy śmigłowca.

– Nie mamy wyboru – odparł pewnym głosem.

– Nie mówisz poważnie, oszalałeś? Ja mam lęk wysokości!

Wstrzymał na chwilę oddech, musiał pomyśleć.

– Boisz się wysokości? Akurat ty, która zaprojektowałaś takie monstrum?!

Ostatnia kolacja w życiu, jak ją nazwali. Siedzieli na wprost siebie, wpatrywali się sobie w oczy, nie odrywając wzroku. Kilka butelek wody, które uratowali, teraz porcjowali korkami. Trochę sucharów szczelnie zapakowanych, kilka batonów energetycznych i jabłko. Jedno, świeże, ostatnie tutaj, może i w ogóle w życiu... Pachniało wspaniale, przypominało o wiosnie, która odeszła całkiem niedawno. Niezauważenie przy tym przeradzając się w lato. Rozwinęła skrzydła, tchnęła życie w niewidoczne drobinki. Piasek w piaskownicy pośrodku podwórka, naokoło budynki i skwery, trawniki zielone, wydeptane przez ludzi. Szczekające psy, biegające samopas, brudzące betonową krainę. Dzieci, co nieświadome przyszłości, głośno krzyczały i zaciekły brzdąc, który drugiemu wyrwał z rąk najlepszą łopatkę. Nie dał mu jej, nie podzielił się choć w drugiej ręce miał jeszcze inną. Takie czasy i tacy sami ludzie od małego walczący tylko o swoje. Śmiał się w duchu, kiedy to wspominał, potem płakał, a ona na to patrzyła. Najbliżsi? Już nigdy więcej ich nie zobaczy. Nigdy, bo szans nie mieli przecież żadnych. Miał tylko nadzieję, że nie cierpieli, że bezboleśnie odeszli z tego ziemskiego padółu. Spuścił głowę.

Posilili się w blasku świecy, którą znaleźli w jednym z apartamentów. W jej świetle ich twarze jakby falowały, czasami zanikając, by po chwili znowu migotać. Knot wypalił się już prawie całkowicie, ostatni płomyk nadziei dogasał. Ich źrenice niewiele więcej mogły z siebie wykrzesać. Przytulił ją mocno do siebie, ona także do niego przylgnęła. Tyle było w nich słabości, tyle ciepła jednocześnie. Skazani na unicestwienie, zapomnieli przez chwilę o swojej cielesności.

Wielkie rozsuwane drzwi, których od wielu dni nikt nie otwierał. Połamane rośliny w donicach. Pęknięty szyld, walające się po ziemi blaszane kubły na śmieci, odpady i sterty zabójczego pyłu, co zalegał na bruku. Gromada niedobitków skrytych w poszarpanych ciuchach i ten trupi odór, który ich otaczał. Maski przeciwgazowe, które szczelnie osłaniały głowę, skrywały też ich tożsamość. Nie chcieli się ujawniać, nawet wobec siebie. Poznali się w tumultach po wybuchu, uniknęli zagłady, ocaleli. Zawiazali cichą współpracę, spółkę poszukiwaczy wody i jedzenia. Chcieli przetrwać tak długo, jak to tylko będzie możliwe, wiedzieli, że nie raz zmuszeni będą do okrucieństwa. Teraz przekroczyli progi największej budowli Wrocławia. Było ich pięcioro, byli to mężczyźni. Jedna z osób odstawała od pozostałych gabarytami. W rękach trzymali długie noże i niebezpieczne rury. Minęli główny hol galerii handlowej, przeczesywali sklepy w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby im się przydać. Większość szukała jedzenia, ale nieliczni poszukiwali także broni. Każdy kolejny sektor, każda wnęka, czy też sklep, lustrowane były ostrym światłem ich latarek. Pomieszczenia nie miały okien, nazywali je blaszakami. Czy wśród nich był także sklep z bronią?

Urodzić się, żyć, rozwijać, realizować zawodowo i na płaszczyźnie rodzinnej. Starzec się w spokoju i identycznie odchodzić. Takie miał plany, tak zawsze myślał. Miał piękną żonę, w perspektywie dzieci. Kariera naukowa wydawała się realizować, chyba był szczęśliwy. Czasami marudził i zrzedził z byle powodu, narzekał na niedogodności życia. Potem wyklinał sam siebie, niedoceniając tego, co miał. Nigdy nie pomyślał, że będzie ich chował, i że tak wcześniej. Wiedział dobrze, że w jednej chwili odbył się pogrzeb wielu tysięcy ludzi. – Dlaczego nie ja! – krzyczał jak szalony i uderzał pięścią w podłogę. Jeszcze kilka następnych ciosów... Upadł, zmęczony. Ciężko oddychał, jego usta wyczuwały zimno podłogi. Chciała go podnieść, ale nie pozwolił jej na to.

Próbowała jeszcze wiele razy, ale bezskutecznie. W końcu pociągnął ją za sobą, poleciała wprost na niego. Próbowała powstać, ale nie mogła. Z całych sił pragnęła stanąć na nogi, nie umiała. Przymknęła oczy, zobaczyła niemowlę, które nie umiało stać. Małe dziecko, które ledwo unosiło do góry plecy i głowę. Jego nogi niczym trzcina na wietrze, chwiały się gasnąc w załączku. Płacz tej istoty słyszy co noc, każdego rana ma jej obraz przed oczami. Co noc, i od wielu, wielu lat... Widzi wtedy siebie, swój upór i podły koniec.

– Co się z nami stanie, jak stąd uciekniemy? – zapytała ze łzami w oczach.

– Będziemy musieli wydostać się z miasta.

– A jak nam się nie uda? – odgarnęła włosy.

– Wtedy najprawdopodobniej nie będzie to już ważne – odpowiedział, wycierając jej oczy.

– Jest jeszcze jakieś inne wyjście z tej sytuacji?

Pokiwał głową.

– Tak. Jak nie górą, to możemy spróbować głównym wyjściem.

Dało jej to do myślenia.

– Przez galerię handlową możemy wymknąć się niezauważenie.

– Na ulicy będzie jeszcze trudniej, tam trzeba uważać na chorych ludzi i sterty radioaktywnego opadu – zdusił w załączku jej dobre chęci.

– Chorych? – zdziwiła się.

– Tak, z powodu radiacji.

– Są niebezpieczni?

– Mogą być i to bardzo.

– Jak bardzo? – zaczynała się bać.

– Tego niestety nie wiem – powiedział niepewnym głosem.

– Nie wiesz? Przecież znasz się na tym!?

Zabolała go jej ostatnia uwaga. Wstrzymał się przez chwilę z odpowiedzią.

– Dotąd miałem do czynienia jedynie z teorią, rozumiesz?

Odepchnęła go od siebie, poprawiła ubranie.

– Jeszcze raz mnie dotkniesz, to wydlubię ci oczy! – krzyknęła.

Zaczęła biec. Ledwo zdążył ją dogonić. Najwyraźniej nie panowała nad sobą, pomyślał.

Teraz, gdy wszystko mocno się skomplikowało, jeszcze to... ach te kobiety. Pilnował jej, lustrował okolicę, a ona prowadziła wprost na dach. Znowu musieli tam powrócić. Tym razem jednak nie będzie łatwo, pomyśleli oboje. Minęli się z intruzami sprytnym manewrem na piętrze, gdzie windy spotykały się i rozchodziły. Jedna jechała w górę, a druga w dół. Poczekali, aż się do nich zbliżą, po czym umknęli im skrajnym dźwigiem. Filar południowy wydawał się być częściowo osłonięty i w nim upatrywali dla siebie szansę. Tamci szli na dół, a oni otwierali właz od pokrywy dachu. Te małe schodki, przeszło dwieście metrów powyżej ulicznego bruku, były teraz dla nich szczytem wyższym niż K2 i jeszcze bardziej przy tym niebezpiecznym.

– Widzisz ich?

– Tak – pokazał na migi.

– Ilu ich jest?

– Kilku, chyba trzech – odczytała znaki.

– Odwrócisz ich uwagę, a ja uprowadzę pilota.

– Jak? – zaskrzeczała, wypuściwszy powietrze. Jej policzki zmalowały wtedy o połowę.

– Nie wiem, sama coś wymyśl...

W geście radości uniosła do góry oba kciuki.

– Jesteś odważny, wiesz... i tak samo szalony jednocześnie.

– I boję się jak cholera, zapomniałaś dodać.

– Ja też się boję, wiesz o tym, prawda? – wskazała, gestykulując.

Spuścił wzrok.

– Wiem, ale uwierz mi, że to nie będzie bolało.

Te słowa były niczym zasłona na oknie, która czasami więcej pokaże niż zasłoni. Zdarła z siebie wszystkie niewidoczne dla ludzkiego oka firanki i pognęła na spotkanie ze śmiercią. Zanim

jednak wyszła z ukrycia, przypomniała sobie kobietę, którą napotkali po drodze. Wpadli na nią przypadkiem, tacy pewni, że niczego nie przeoczą i że wszystko wiedzą najlepiej. Myśleli, że nikt ich tam nie znajdzie, ale on rozwiął wszystkie tajemnice w jednej chwili. Udowodnił jej, że nie ma w tym budynku miejsca, do którego nie można by dotrzeć. Zawstydził ją, sprowadzając na ziemię. – Bujasz w chmurach – powtarzał, nie zważając na wysokość, na której byli. Nawet wtedy go lubiła, wydawał jej się taki znajomy. Napotkana kobieta miała może ze czterdzieści lat, na pewno nie więcej, choć tego nie mogli być pewni. W takiej sytuacji i przy słabym świetle, łatwo było się pomylić. Kobieta klęczała w kałuży krwi, na kolanach trzymając nieżywe, kilkuletnie dziecko. Zabiła je, a potem wbiła sobie nóż prosto w brzuch. Wnętrznosci rozlały się na boki niczym masy rozłożystego sadła. Wypłynęły z niej w jednej chwili. Ich wzrok się wtedy spotkał. Kobieta prosiła o wybaczenie, złapała ją w ułamku sekundy za rękę, wystraszyła, brudząc krwią i ciągle krzycząc, że tego nie chciała, że śmierć jest dla niej strasznym cierpieniem. Klęcząc obok niej, przejęła opadającą na ramiona dziewczynkę. Miała piękne, jasne włosy i delikatną buzię. Jej matka była równie atrakcyjna. Mała miała liszaje po prawej stronie głowy, tuż za uchem i na szyi. Jej matka miała tego znacznie więcej. Uciekając pieszo od chmury pyłu, dotarły do budynku. Schroniły się w nim, czekając na pomoc. Po kilku dniach ich ciała zaczęły rozsypywać się od środka. Dziewczyna nie upuściła dziecka, delikatnie położyła je na przesiąkniętej krwią wykładzinie i podtrzymała ręką. Była świadkiem najbardziej wstrząsającej sceny w życiu. Przeklinała je, czując śmierć całym swoim ciałem. I te słowa na koniec, że nie będzie bolało, które wypowiedziała nieświadomie, były znajome. Krzyk bólu, który ją zagłuszył, świadczył o tym, jak bardzo się myliła. Zawsze bała się śmierci, teraz nawet jeszcze bardziej. Wiedziała, że samo odchodzenie ze świata żywych jest większą katorgą od rodzenia. Bała się porodu, postanowiła, że nigdy nie będzie mieć dzieci. Po tym jak jej to zrobił, notabene własny ojciec, zadając tyle cierpienia. Gwałcił brutalnie. Zaszła w ciążę i w potwornych mękach urodziła martwe dziecko. Teraz bała się żyć, nie rozumiejąc wszystkich tych zależności. Życie było dla niej cierniem zatopionym w skórze, drzazgą, która utknęła w niej na dobre i nie sposób ją było wydobyć. Trącała ją nieświadomie i wbijała coraz głębiej, tylko po co? Krzyczała w amoku. Boże, dlaczego nas opuściłeś...

Wyszła z ukrycia. Chwiejąc się, zataczała niczym alkoholiczka. Ukrywała twarz w dłoniach skrytych w foliowe worki, kuląła dość mocno. Zwróciła na siebie ich uwagę, nawet się nie poruszyli. Obserwowali ją z daleka, w końcu za nią ruszyli. Skręciła za filarem, tam dach lekko opadał, tworząc spadającą rynną o srebrzystym kolorze. Zsunęła się po niej z gracją. Oni już tam byli, tuż za nią, dwa osiłki o małych ruchach. Pospadali zniechęceni, nie zauważając urwiska. Z hukiem zjechali na sam koniec dachu. Jeden z nich nie opanował równowagi i wyleciał poza barierkę, zawisł niczym tusza na haku po uboju. Próbował się podciągnąć, ale ciężar ekwipunku mu na to nie pozwolił. Spojrzał na towarzysza i na pożegnanie zaszalutował. Poleciał, nie wydając z siebie ani jednego dźwięku.

W tym samym czasie partner dziewczyny zaszedł pilota z drugiej strony. Aby to zrobić niezauważenie, musiał przejść blisko dziesięć metrów po spadzistej krawędzi śliskiego dachu. Każdy krok, mógł być ostatnim. Starał się nie patrzeć w dół, ale podmuchy wiatru były zbyt mocne i co chwilę tam zerkał. Asekurował się lewą ręką, trzymając metalowych mocowań. Nie było to proste. Widział swoje obłe buty, trzewiki mocno już zniszczone, zabezpieczone taśmami klejącymi, które nosiły na sobie ślady odrażających nieczystości. Prawdopodobnie wszedł w fekalia i krwistą maź, gdy przedzierał się przez nieczynne już szyby wind. To tam usłyszał jakże obce słowa. Odgłosy śmierci. Smród smażonego mięsa i spalonej z włosami skóry, dotarł do niego prawie natychmiast. Ten lekko słodkawy aromat, przypominał mu homary, które pałaszował podczas studiów w dalekich krajach. Później rozsmakował się w nich na przylądku Canaveral, gdzie praktykował przed powrotem do kraju. Jego ukochane miasto nie wyglądało już jak dawniej, dymilo i płonęło. Skryte w radioaktywnej mgłę, pogrzebane w ludzkiej rozpacz, płakało kwaśnym deszczem, który obmywa im rany i łagodził ból, by po jakimś czasie zabić bez słowa. Mężczyzna osłonięty szczelnym brezentem, cicho i bezszelestnie zbliżył się do pilota, przykładając nóż do jego pulsującej szyi...

– Nie ruszaj się! Posłuchaj przyjacielu, rób, co mówię.

Ten skinął głową na znak, że rozumiał. Nawet się nie przeląkł.

– Zabierzesz nas stąd, rozumiesz? Odlecimy natychmiast!

Potwierdził identycznie jak poprzednio.

– Odpalaj te cholerne silniki! – krzyknął na niego.

Wirnik zaryczał i zakołysał maszyną, a łopaty szerokie na wiele metrów, zatrzepotały na wietrze. Wszystko to, co znajdowało się w pobliżu, natychmiast poleciało w przestrzeń. Kawałki dachu, śmieci i resztki po ich posiłku. Pusta butelka po coli zatrzepotała w górze i wpadła pomiędzy śmigła maszyny. Błyskawicznie resztką kolorowego opakowania rozpięzchła się w przestworzach, odchodząc w zapomnienie. Czy tak samo miał wyglądać koniec mieszkańców tego niegdyś kolorowego miasta? Mężczyzna usiadł za pilotem, zawołał dziewczynę. Nie wiedział czy dała radę uciec zbirom, czy jeszcze w ogóle żyła. Wyłoniła się wreszcie z jednego z nielicznych zakamarków i ostrożnie do niego podbiegła. Wciągnął ją do środka jedną ręką, gdy już wznosili się w powietrze, o mało mu wtedy nie wypadła... Poślizgnęła się, ale on ją na szczęście mocno trzymał. Stawy głośno mu zatrzeszczały, ręka zdrząła, ale nie puścił. Po chwili była już w środku, a on rozmasowywał obolałą kończynę. Uśmiechnęła się do niego, pilota zmierzyła morderczym spojrzeniem. Jego zamaskowana twarz nie zdradzała żadnych oznak niepokoju. Śmigłowiec wzbił się w górę i prawie od razu wykonał gwałtowny zwrot. Pikował w drugą stronę, jego lewa burta niebezpiecznie się przy tym przechyliła...

– Kieruj się na południe, rozumiesz? – oznajmił z tylnego siedzenia mężczyzna.

Pilot nie usłuchał. Pokiwał głową, że rozumie, ale poleciał na wschód, prosto do strefy wybuchu.

– Dokąd lecisz, do cholery!

Nie odezwał się, ściągnął natomiast maskę.

– Zwariowałaś! Chcesz umrzeć, wiesz, co się tu dzieje? – krzyczeli do niego razem.

Tamten odwrócił się do tyłu. Oboje zamarli z obrzydzenia, widząc jego odbicie.

– Co to jest u licha! – krzyknęli, dziewczyna od razu odsunęła się do tyłu.

Jego twarz wyglądała jak zlepek krwawej papki i zwisających fragmentów skóry. Spore oparzenia, jeszcze świeże, puchły i ociekały nieznaną, białą substancją. Duże, krwawiące bąble, ropiejące strupy, które odklejały się, kiedy je przyklepywał. Uśmiechnął się do nich w bólu, nie mógł jednak niczego powiedzieć. Usta miał mocno opuchnięte, kiedy je otworzył, by zaczerpnąć powietrza, zobaczyli resztki wyżartego języka. Jedno oko miał zalane krwią, prawdopodobnie było już ślepe. Drugie ledwo widoczne, w którym źrenica wyglądała niczym ułamana zapalka, wbita wprost w spojówkę. Włosy z lewej strony głowy miały piękny, czarny kolor. Na środku były przeredzone i częściowo spalone. Po prawej stronie, nie było już po nich śladu. I te zęby, piękne i białe niczym pokryte alabastrowym kolorem. Niesamowite, że to monstrum, które kiedyś było jednym z nich, zachowało je w doskonałym stanie.

– Ląduj! – krzyknął na pilota.

Maszyna natychmiast zawróciła.

– Ląduj natychmiast! – wrzeszczał.

Zaczęli gwałtownie opadać i ponownie się wznosić, rzucało nimi na boki.

– Ląduj, do cholery! – poderwał się z siedzenia.

Dziewczyna zwymiotowała.

Pilot obniżył lot i zawisł na wysokości dziewiętnastego piętra.

– Wsiadamy, jesteś wolny – oznajmił, stojąc na nieruchomym gruncie.

Ujrzał częściowo nieczytelny napis na jego mundurze, który wystawał spod zniszczonej zewnętrznej osłony. Major Siatecki, ledwo odczytał, bo ten ponownie wzniósł się i poleciał w przestworza. Odleciał w nieznane, a oni powrócili do potężnego kompleksu. Powyżej dostrzegli następne i kolejne piętra podniebnej wieży, w której niedawno przebywali. Z tej perspektywy nie była aż taka wysoka. Widzieli jej dziwnie zrulowany kształt, który piał się zmyślnie po owalu. Odstęp między piętrami, wydawały się równe, przez co całość zlewała się w oczach. Wydawało się, że jest to jedyne miejsce, które mogło wytrzymać wybuch, w którym mieli szanse na przetrwanie. Gdyby jednak bomba wybuchła właśnie tu, to nie pomogłoby już zapewne nic. Złapał

ją za rękę. Zareagowała, cofając dłoń. Odpuściła po chwili, pozwalając mu się przytulić. Kilka pięter wyżej pojawiły się pierwsze błyski, a po nich usłyszeli wystrzały. Odłamki spadającego szkła, przeleciały tuż obok. Podniósł jeden z okruców i dostrzegł na nim ślady krwi. Dziewczyna przylgnęła do niego całym swoim ciałem.

Kilka lat temu, kiedy powstawał Sky Tower nikt nie przypuszczał, że wydarzy się tragedia. Nikt, poza panią architekt, która przewidziała taką sytuację. Pamiętała spory z inżynierami na temat kosztów budowy, które były niewyobrażalne. Chcieli oszczędzać na wszystkim, na bezpieczeństwie także. Inwestor zaufał jej wtedy całkowicie. Wymienili ekipę i prace ruszyły dalej. Została naczelnym konstruktorem budynku marzeń, czy także grobowca? To dopiero miało się okazać.

W tym samym czasie mężczyzna powrócił do kraju, założył rodzinę, realizował projekty naukowe dla jednej z większych fundacji. Jej siedziba znajdowała się na czterdziestym piątym piętrze, pachnącego świeżą farbą molocha. Codziennie mijał setki pracowników, którzy w pośpiechu przetaczali się przez windy i korytarze. Niczym mrówki w mrowisku, kłębili się i tłoczyli, popychając niezauważenie. Tak wygląda wyścig szczurów, pokazywał koledze z półpiętra, kiedy stali i obserwowali pozostałych z góry. Widmo naszych czasów, obłądny pęd nad przepaścią, źródło całkowitego wypalenia, powtarzał głośno i po wielokroć. Ogromna ilość korporacji, jakie pamiętał z World Trade Center, kiedy przebywał w Światowym Centrum Handlu. Poza częścią biurową w kompleksie Sky Tower mieściły się liczne apartamenty, w których mieszkali bogaci miejscy dygnitarze. Obwieszani złotem, przemierzali się przez hole i korytarze. Mężczyzna robił zakupy w pobliskiej galerii handlowej. Było tam dosłownie wszystko. Ciuchy najdroższych marek, nawet samochody. Od szpilki do samolotu, jak podśpiewywał, a potem nucił już tylko piosenki Nicka Cave'a. Często korzystał z odnowy biologicznej, czasami wraz z żoną po siłowni lądowali razem w saunie. Innym razem nie odpuścił sobie masażu. Centrum żyło własnym życiem, pełne kolorów i blasku. Splendor tego miejsca był tak ogromny, że przyćmił wszystko wokół. Twarze znane z pierwszych stron gazet, nie tylko krajowych, były ozdobą tego miejsca. Niebieskie tło, jak niebo, które zlewało się z zielenią roślinności i czerwienią obszernych wykładzin, było porażające. Wielkie oszklone witryny odbijały światło słoneczne, błyszczały w blasku chromowanych ram. Eleganckie zdobienia z rzadkiego, afrykańskiego drewna, wzbogacone o kryształowe sześciany, strzelały na boki świetlistymi promieniami. Niebieskie światło idealnie opływało wewnątrz tego fantastycznego gmachu. I on pośrodku głównego holu, tak jak kiedyś, w Los Alamos, samotny wśród szaleńców...

Przedzierali się przez kolejne piętra budynku. Musieli dostać się do łącznika, miejsca z którego możliwe było przemieszczanie się we wszystkich kierunkach. Serce kompleksu, było kilkanaście pięter niżej. Z dachu wydostali się od razu, drzwi prowadzące do klatek schodowych, były niezabezpieczone. Windy nie działały, musieli odnaleźć schody. Kolejne piętra w dół, umykały im spod stóp. Utrzymywali równe tempo, poruszali się dość szybko. Nie działały światła, krążyli więc po omacku. Dziewczyna dobrze czytała drogę, umiejętnie odnajdywała następne przejścia pomiędzy platformami. Co kilka pięter zmieniała się konfiguracja schodów, zaczynały się tam i kończyły szyby wind. Dotarli do mózgu Sky Tower, do głównego skrzyżowania, rozwidlenia, skąd prowadziły już tylko trzy drogi. Jedna do wieży, druga do budynku-żagla i ostatnia poprzez pasaż handlowy, prosto do wyjścia na zewnątrz. Zapragnęli wyjść poza mury budynku, ale co dalej? Nie mieli żadnego planu. Złość narosła w nich w jednej chwili.

– I dokąd teraz? – spojrzał na nią.

– Nie wiem, ty zdecyduj, ja się nie znam na tych atomach.

Spojrzał na nią.

– Nikt nie jest na tyle mądry, żeby przeżyć to dwa razy, rozumiesz?

Nie bardzo to pojmowała, ale nie zaprzeczyła.

– Tak, ale musimy coś zrobić. Idziemy na zewnątrz – oznajmiła.

– A wiesz, co tam spotkamy? – zadał krótkie pytanie.

– Nie, ty mi to powiedz.

Wstrzymał oddech.

– Śmierć, która kosi wszystko. Zobaczysz umierających w bólu, krwawiących ze wszystkich

otworów i ginących w męczarniach. Tak, drgawki i wymioty, a potem utrata przytomności i zgon... tego chcesz?

Przeraził ją tym.

– Przecież wiesz, że nie – skuliła się. – Może znajdziemy jakiś samochód, może stąd uciekniemy...

– Dokąd? Wszystkie drogi wyjazdowe z miasta, najprawdopodobniej są zniszczone.

– Jak to? – nie wierzyła.

– Te, których nie zniszczył wybuch, zdemolowało wojsko, żeby to świństwo już się dalej nie rozniosło.

Wytrzeszczyła ze zdziwienia oczy.

– Żartujesz?

– Nie, taka jest prawda!

– Ja pierdołę! – była to jedyna rzecz, która przyszła jej wtedy do głowy.

– Właśnie – rozbawiło go to. – Stąd można uciec już tylko jedną drogą, powietrzną, innej możliwości nie ma.

Zamyśliła się.

– To co zrobimy?

– Musimy wrócić po wodę i jedzenie – zaproponował.

Nie wytrzymała, gwałtownie zareagowała.

– Chcesz wrócić do wieży? Oszalałeś!?

– Nie, musimy odzyskać to, co niezbędne – odparł spokojnie.

Ten jego stoicki spokój, zawsze ją zniewalał.

– Przecież oni nas zabiją!

– Niekoniecznie, może odzyskamy transport.

– Jaki, przecież śmigłowiec odleciał – nadal się napinała.

Obdzielił ją delikatnym uśmiechem, który dostrzegła w jego oczach.

– Odleciał, ale być może wróci. Może nawet inne przylecą, to było wojsko, moja droga.

– Żołnierze? Nie żartuj... – zaskoczyło ją to.

Pokiwał głową.

– Nie wiem na pewno, ale tak mi się wydaje.

– Jesteś nienormalny, wiesz? – złapała go za rękę. Uścisk był subtelny.

– Wiem, ale ty jesteś jeszcze bardziej stuknięta ode mnie i dlatego pójdziemy tam razem...

Kopnęła go lekko w tyłek na szczęście.

– Niech będzie, kompanie, pójdziemy...

Opornie zagłębiali się tam, gdzie już byli, i gdzie nikt inny nie pragnąłby wrócić. Miejsce na wskroś strachem przesiąknięte i wywołujące dreszcze. Łącznik był potężnym skupiskiem korytarzy, większych i mniejszych dróg, które rozgałęziały się we wszystkich kierunkach. Minęli sofy w poczekalni, których brązowa skóra, oblepiona była pyłem i kurzem. Brud miał kleistą konsystencję, przyczepiał się do wszystkiego. Wiedzieli, że był niebezpieczny, dlatego nie zbliżali się blisko. Dalej obszerna lada, która była biurem i szatnią dla przybyłych gości. Brakowało tylko obsługi. Spod lady dobiegały charczące odgłosy, syk i krwisty kaszel, mieszały się z ludzkim biadoleniem. Usłyszeli kobiecy głos, była to młoda osoba. Dziewczyna chciała zareagować, chłopak nie pozwolił jej na to. – Pamiętaj, co ci mówiłem – powtarzał. – Im już nie możemy pomóc. Bolało jak cholera, może nawet jeszcze bardziej. Dobiegli do końca korytarza, po czym skręcili w lewo i wpadli wprost na duże, ruchome drzwi. Nie działały, nie obracały się w żadną stronę. Zobaczyli w nich swoje zgnuśniałe odbicie, ten widok był bolesny. Spuścili głowy, mocowali się z drzwiami przez dłuższą chwilę. Tumult, który tym wywołali, mógł sprowadzić nieszczęście. Poza zniekształconym odbiciem, zobaczyli sunące z oddali, posępne sylwetki. Wiele naraz, wszystkie w jednakowym tempie, tak samo zgarbione i pochylone w kierunku ziemi. Powłóczyły wielkimi stopami. Wydawały przy tym straszliwe odgłosy...

– Widzisz je!? – cała drżała.

– Widzę.

- To zrób coś, do diabła!
- Przecież robię.
- Co, zaraz nas dopadną!!
- Nie dopadną, spokojnie...
- Sam się uspokój i zrób coś, bo oszaleję...

Majstrował przy dźwigarach.

– Uważaj, zbliżają się – ostrzegał. – Czuję ich fetor. Znajdź ciężką rurę, albo pręt.

– Zwariowałeś, ja się stąd nie ruszę... otwieraj do cholery!

Trzęsły mu się ręce.

– Jeszcze chwilę – próbował ją uspokoić, choć wiedział, że było to bezcelowe. Widział je dokładnie, ich parszywe sylwetki i parujące strachem, rozwarłe pyski...

Podskakiwała w miejscu.

– Jaką chwilę, nie mamy nawet sekundy...

– Jeszcze trochę, zaraz skończę...

– Otwieraj! Słyszysz!?

– Już, już...

– Otwieraj, bo nas zeżrą!! – darła się jak opętana.

Zasuwa wreszcie zazgrzytała i przeskoczyła.

– Gotowe, wchodź!

Klepnęła go lekko w potylicę.

– Nienormalny wariat – rzekła, znikając za grubym szkłem.

W ostatniej chwili podważył zamek i przesunął małą witrynę w kształcie litery „S”.

Zasunęła się pospiesznie i utknęła na dobre za pancerną szybą, obramowaną niklem i platyną, na której widniała ogromna litera „T”. Razem tworzyły wspaniałe logo, tego przepelnionego przepychem, magicznego miejsca. Teraz nie wyglądało już tak pięknie, a wystarczyło do tego dosłownie kilka dni...

Dziewczyna odskoczyła na bok, a mężczyzna docisnął ramę, aż uszczelki zwarły się na dobre. Drzwi zablokowały się ostatecznie. Byli bezpieczni, ale czy ocaleni? Raczej nie, ich radość była przedwczesna. Za szybą zobaczyli zło wcielone. Wyłaniające się z ciemności, półnagie postacie, obdarte z resztek łachmanów, rzuciły się na szybę, gryząc ją i drapiąc niezwykle długimi pazurami. Kobiety i mężczyźni, kiedyś ludzie, teraz już tylko potwory nocy. Uderzali rękoma w szkło tak mocno, że pękały im kości, jak zapalki. Trzask kruszonych stawów łokciowych i kolanowych, był okropny... ich przepelnione bólem i złością wrzaski, niosły się po okolicy. Dzielili ich szyba, żeby nie ona i nie jej grube szkło, to zapewne już dawno temu obdarłyby ich ze skóry. Krwiożercze bestie, pomyślała. Mężczyzna coś do niej mówił, ale ona niczego nie słyszała. Widziała ich rozpalone oczy i cieknącą z ust, kleistą ślinę. Patrzyła na nie, a one były głowami o szkło, tłukły czaszkami o bajkowe ornamenty, aż mózgi pozostawiły na nich krwawy nalot. Padały nieżywe, a ich korpusy wdeptane w podłogę, stanowiły pomost dla pozostałych. Sterta ciał, niektóre z nich drgały jeszcze w agonii. Jakiś potężny kołtun, jak go nazwała, chwycił głowę najbliższej siebie niewiasty, o połowę mniejszej i słabszej, po czym cisnął nią o dzielącą ich przeźroczyso-szklaną zasłonę. Materia nie doznała choćby zadrapania, ofiara poza utraconym życiem, pozostawiła na niej ostatnie zęby. Ślady krwi mieszały się z resztkami włosów, które garściami wypadały. Góra zmasakrowanych ciał oblegała całą szerokość niedużego przejścia. Ci, co nie zginęli na szkle, toczyli zaciekły bój obok. Skakali sobie do oczu, wybijając je bez zastanowienia. Oślepionych pobratymców, katowali do nieprzytomności, skacząc po nich i uderzając czym popadnie... strzelanie pękających kręgów, ostatecznie kończyło sprawę. I wszystko to na oczach niemych świadków, skrytych przed ich straszliwą zemstą po drugiej stronie lustra...

– Co to było, powiedz mi, bo nadal nie wierzę? – trzęsła się jak galareta.

– Nie jestem pewien, czego tu doświadczyliśmy – odparł.

Rozejrzała się, spojrziała w otchłań mroku, który dobiegał do nich z każdej strony.

– Co u licha, kim oni byli i co najlepszego ze sobą zrobili!?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Dlaczego zabijali się i pożerali? – pytał samego siebie.
- Widziałeś to? – szarpała go.
- Tak, tego nie da się zapomnieć...
- Wiem, ale ja nie chcę tak skończyć! – przysunęła się do niego.
- I nie skończysz – obiecał, kiedy ją obejmował.
- Jak to? – zadarła do góry głowę.
- Przecież ci obiecałem – uśmiechnął się.
- Co takiego? – pogubiła się w tym wszystkim.
- Że do tego nie dopuszczę...

Nadal na niego patrzyła, oczy były już spokojniejsze.

– Kiedy? – wydukała.

– Nie pamiętasz?

Poruszyła oczami na boki.

– Obiecaj mi coś jeszcze – poprosiła.

– Co takiego?

– Że jak przyjdzie na nas czas, to się nie zawahasz...

Teraz to on podniósł głowę. Nie mógł patrzeć jej w oczy, nie mógł jej tego obiecać. Nie potrafił skłamać.

– Obiecuję, przysięgam! – zakończył, niepewnym głosem.

Czołgali się przeszło trzydzieści metrów. Dopiero ściana, która kończyła się zaporą z poręczy i wpadała przy tym na schody, powstrzymała ich i unieruchomiła. Nie pozwoliła mu się dotknąć, jeszcze długo strzepywała z siebie niewidoczny brud. Coraz mocniej łopotała nadgarstkami, aż zaczęły boleć i sinieć. Powstrzymał ją w końcu, chciała mu wtedy wydłubać oczy. To ja, do cholery!, krzyczał. Zorientowała się dopiero po chwili i zrozumiała, że nie kontroluje już swoich emocji. Wtedy dostrzegł u niej pierwsze objawy choroby popromiennej. Osłabienie było widoczne coraz bardziej. Może chodziło o brak pożywienia, może o małe racje wody, ale on dobrze potrafił odróżnić te objawy. Potem pojawiła się skaza krwotoczna, którą wcześniej przed nim ukrywała. Teraz ją dostrzegł. Krwawiła z uszu i oczu. Wiedział, że brak odporności mógł być dla niej zabójczy. Postanowił o nich zawalczyć. Sam nie był pewny, czy nie jest zainfekowany, prawdopodobieństwo było ogromne. Wtedy po raz pierwszy pomyślał, że nie wyjdą z tego cało. Nie powiedział jej o tym, nie chcąc odbierać ostatniej nadziei, która być może jeszcze się w niej tliła...

Przesuwali się wzdłuż długiej i chropowatej ściany, było ciemno i nie mogli ocenić, gdzie się znajdowali. Nawet ona całkowicie się pogubiła w tym własnym, zawiłym labiryncie. Gdzie dotarli? Mijali kolejne piętra, przeszukując pomieszczenia, których zaciemnione zakamarki, odstraszały niedostępnością. Bali się zaglądać do szafek, bo nie wiedzieli co tam znajdują. Ta niewiedza była bolesna... Kolejna otwarta i nic, niczego przydatnego w niej nie znaleźli. W następnej także, aż do tej, w której było aż nadto. W ogromnym apartamencie odkryli ludzkie zwłoki, poćwiartowane i rozstawione niczym ołtarzyk, a w tej cholernej szafce stała brakująca głowa. Z otwartymi oczami i z rozchylonymi ustami, odurzonym wzrokiem ciągle się na nich patrzyła. Dziewczyna trzasnęła drzwiczkami tak mocno, że aż się rozsypały. W czystej i zadbanej łazience, która od dawna nie widziała ludzkich stóp, podłoga lśniła blaskiem. Tak jakby ktoś ją porządnie umył. Mężczyzna odkręcił kurek z wodą, popłynęła od razu. Błado-żółta ciurkała bezustannie. Pojawiła się w niej czerwień, która zabrudziła żółć, skrzywił się. Ona w tym czasie siedziała na pralce, z nogami w górze zadzierała głowę aż pod sufit. Obserwowała ślady nacieków, które na białym tynku rysowały dziwaczne wzory. Próbowала je nazywać, ale były takie bezimienne, nie mogła się na nic zdecydować. Spuściła nogi na podłogę, dotknęła starą zelówką małego, białego dywanika. Idealnie czystego, jakby brud go omijał. Zdjęła buta, dotknęła go bosą stopą... poczuła delikatne ukłucie. Jego meszek najpierw ją pogładził, by następnie delikatnie ukąsić. Cofnęła nogę, ale zaraz spróbowała raz jeszcze, było to niezwykle miłe. Przypomniała sobie jak w dzieciństwie stąpała po skropionym poranną rosą leśnym podłożu, był to prawdziwy dywan z mchu, najdelikatniejszy, po którym dotąd chodziła. Teraz nie było już tamtego lasu, nie było także

dzieciństwa...

Najpierw pojedynczy wystrzał, potem cała seria z karabinu, poderwały ich z ziemi. Odnaleźli ukrytą wodę i jedzenie. Posilali się, łapczywie przełykając. Od dawna nie mieli niczego w ustach, ich przełyki odzwyczyły się od pochłaniania pokarmu. Mlaskali nieświadomie, ciamkali, zując resztki ryżowych wafli. Czekoladę, która odłupała się od batonów, zlizywali wprost z opakowania. Jej słodki smak, łagodził rozpacz, ale tylko przez chwilę. Rozglądali się na boki. Wszędzie panowała ciemność, tylko tutaj, gdzie teraz byli, tliło się małe światełko. Żar dogasającej świecy, odchodził wraz z nimi. Jeszcze widzieli swoje sylwetki, jeszcze dostrzegali się nawzajem. Wiedzieli, że zaraz wszystko zniknie, może nawet już na dobre... Chcieli zobaczyć jeszcze coś na sam koniec. Uniósł do góry rękę, zobaczyła wtedy znak pokoju. Potem nastąpiła ciemność, dobrze wiedzieli, co się w niej kryło. Po chwili oboje zobaczyli obraz sprzed godziny. W tej pięknej łazience, gdzie wydawało im się, że obecny świat jeszcze nie dotarł, odkryli coś niezwykłego w pralce. Myśleli, że znajdą tam co najwyżej czyste ubrania. Urządzenie jeszcze ciepłe, wskazywało na uchylone zamknięcie i obszerny bęben. Rozchylił je ostrożnie, nie zdążył wsadzić do środka ręki. Miał wrażenie, że pranie, które stamtąd wyjmie, będzie suche, że wirówka zrobiła swoje, ale się pomylił... Wirówka kręciła obroty jeszcze mocniej niż powinna, ale w środku nie było prania. Po tym jak się schylił, by tam zajrzeć, po tym jak miał nadzieję, że zaraz wyciągnie pachnącą bieliznę, oberwał po głowie czymś twardym. Wielka puszka wypadła stamtąd z hukiem. Kawał zrolowanej blachy wypłynął wprost z ogromnego otworu pralki i przetoczył się po jego głowie na podłogę. Zaskoczony, zaklął. Podniósł złom do góry i próbował potrząsnąć. Pucha była ciężka i nie w niej nie pływało. Przysunął do oczu znalezisko, ona także się nad nim pochylała. Odczytali napis, choć w tych warunkach, był on ledwie widoczny. Pomogli sobie palcami, litery były wygrawerowane. Teraz dobrze je odszyfrowali, ich kształt i znaczenie. Wyczuwali swoim ciałem nie tylko litery, które tworzyły napis, ale także zimną jak lód, pokrywą przysmaku.

– Wiesz, co znaleźliśmy? – zapytał.

– Widzę, i nie wierzę...

– Wiesz, co to jest?

– Szynka, przecież jest napisane – odparła bez emocji.

– Nie, to nie jest tylko szynka...

Nie wiedziała, o co mu chodzi.

– A co jeszcze, poza tą blachą?

– Blacha jest wybawieniem i to miejsce, gdzie ktoś ją schował także. Tu była bezpieczna, jest także bezpieczna dla nas! – wykrzyknął.

– Nie rozumiem?

– Możemy ją zjeść, jest wolna od radiacji – pogłaskał dziewczynę po głowie.

Olśniło ją wtedy.

– Zatem jest bezpieczna?

– Tak, w końcu najemy się do syta – zabrał się do otwierania.

Dalej odnaleźli duże składowisko wody pitnej, także dobrze zabezpieczonej, gdzie wszystkie butelki były należycie chronione. Kto to zrobił i skąd wiedział? Nie dawało im spokoju. Ocalił ich, może ocalił i siebie? Zjedli w milczeniu, zajęło im to sporo czasu. Nie wiedzieli, która była godzina, jego zegarek dawno już stanął. Podejrzewali, że środek nocy. Mięso było niezwykle dobre, takie jak kiedyś jadł, gdzieś w chłopskiej gospodzie. Po tym jak wrócił ze Stanów szukał prawdziwego smaku, tamto mięsiwo zbytnio mu nie służyło. Teraz wsuwał kolejną porcję. Jego wyborny smak wprowadził go w miły nastrój. Uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna...

Zasypiali okryci kocem i gazetami, które pod wpływem cyrkulacji powietrza, ciągle się z nich zsuwały. Niektóre klimatyzatory nadal jeszcze działały, inne wysiadły już dawno temu, skrzypiały tylko pod naciskiem szczurzych łap. Mężczyzna przymknął oczy. Chciałby wygodnie położyć się na łóżku, wsunąć pod ciepłą i aksamitną pościel, z kubkiem gorącej herbaty w ręce przejrzeć wiadomości, pomyślał. Szybko o tym zapomniał. Zadrzemał na moment, potem porządnie zasnął. Śniły mu się morśfyny, ich opływowe kształty i jasne brzuchy, zataczały na około niego obszerne koła. Razem nurkowali w głębinach Morza Bałtyckiego i razem wynurzali się na

powierzchnię z jego toni. Te nieduże walenie były bardzo zwrotne, szybkością nie ustępując większym kuzynom, delfinom. Ileż było w nich gracji... Te ich subtelne ruchy i te jego w odpowiedzi na nie, niezgrabne reakcje. Chciał być jednym z nich, chciałby tak samo już się nigdy więcej nie obudzić...

Ten sen trwał o wiele za krótko, wyrwała go z niego salwa z karabinu. Cyklicznie odzywały się kolejne, tak jakby ktoś wykonywał z góry zaplanowane wyroki śmierci, pomyślała dziewczyna. Nie spała. Podniosła się obolała, poczuła na plecach odcisniętą koszulę, która lekko się podwinęła. Podciągnęła prochowiec, żeby poprawić uwierający materiał. Wyczuła na skórze dziwne złuszczenie. Serce zamarło jej prawie natychmiast. Przesunęła dłonią wzdłuż wypustki, była długa jak palec i szeroka niczym blizna. Próbowwała zaczerpnąć tchu, ale nie mogła. Dusił się, kaszląc siarczyście. Wreszcie zaczęła płuć krwią. To samo było przy oddawaniu moczu, kiedy przykucnęła, wydawało jej się, że wypaliło jej wnętrzości. Mężczyzna był gotowy do dalszej drogi, pomógł wstać kobiecie. Razem i pod rękę wyruszyli dalej. Ona ledwo mogła, on już nawet nie chciał, ale ich nogi ciągle nie miały dość... Nawet wtedy, gdy mówił: – Stop, nadszedł już koniec. One drwiły z niego, rącho przebierając dalej. Tak jakby go nie słuchały, tak jakby miały nad nim jakąś władzę. Nie rozumiał tego, nie rozumieli tego oboje. Ich głowy jakby odłączone od reszty ciała, pozbawione korpusu, chciały już tylko jednego. Pragnęły, by to się nareszcie zakończyło. Nogi ich jednak, kpiąc szydlerczo z siebie nawzajem i poganiając jedna drugą, gnały na oślep, na złamanie karku... Najchętniej obciąłby je i to obydwie naraz...

Trzydzieste pierwsze piętro, dosłownie przekopali wszystkie jego pomieszczenia. Ani jednej żywej duszy. Choć uważali, zapewne zwróciliby czyjąś uwagę, nikogo takiego nie spotkali. Tylko kilka kotów, skąd się tu wzięły? Pewnie komuś uciekły. Trzydzieste trzecie, tu spędzili znacznie więcej czasu. Tu zabłądzili, pogubili się i stracili trop, który po chwili odzyskali. Zatrzymała go ręką tak jakby coś słysząc, czego on nie mógł zauważyć, tak jej się wydawało. Było to jednak niemożliwe, bo byli obok siebie, a słuch miał tak samo dobry jak ona. Odnaleźli następne ciała, kilka kobiet zatłuczonych siekierą leżało nago na środku potężnego salonu. Dookoła zaschnięta krew. Ominęli to i fetor, który się z stamtąd wydobywał. W kuchni brudne naczynia zalegały w zlewie. Uchylony piekarnik i rożen do połowy wystający, na nim kawałek zwęglonego mięsa. Bali się sprawdzić jakiego. Strasznie śmierdziało, uderzało do głowy, nozdrza zatykały się same. Walnęła się w ramię, kiedy stamtąd wybiegła. Pomyślała o matce, której nie obce były takie sceny. Może nie aż tak drastyczne, ale jednak... Kiedy była mała, to miała inny próg wytrzymałości na ból. Wtedy to, co uwierało bardzo mocno, teraz przechodziło prawie niezauważenie. Wszystko zależało od człowieka, nie od czynu, który go dotykał, pamiętała. To wtedy stało się to, co odmieniło jej życie raz na zawsze...

– Ile jeszcze pięter, ile i po co? – dopytywała.

– Nie wiem, musimy ich odnaleźć, są naszą jedyną szansą...

– A jak już zginęli? – nie odpuszczała.

– Możliwe, ale musimy mieć pewność! – podkreślił.

Czym ona była, jeśli nie jasnością, która zgasła w tym mroku, pomyślała.

– A jak rozszarpały ich te stwory, które nas zaatakowały?

– Możliwe, ale co ci mam powiedzieć? – gestykulował, kiedy do niej mówił. Potrząsał też wyraźnie dłońmi.

– Powiedz coś miłego – uśmiechnęła się.

Zaskoczyła go tym.

– Co? – oniemiał, nie spodziewając się niczego w tym rodzaju.

– Jesteś facetem, powiedz mi jakiś komplement. Kobiety tak mają, że czasem tego potrzebują...

Nosiło go straszliwie.

– Jesteś walnięta, wiesz. No dobrze, kiedyś byłaś piękna.

Zastygła od razu w bezruchu niczym wypalona, wulkaniczna lava.

– Komplement!? To miał być komplement!?

Wystraszył się jej reakcji.

- Przepraszam, jesteś odważna – polemizował. – I bez ciebie nie zaszlibyśmy tak daleko!
- Już lepiej, jeszcze coś? – oczekiwała więcej, był to dobry kierunek.
- Jesteś wzorem – dorzucił jedno krótkie słowo.
- Wzorem czego? – zapytała.

Nie zastanawiał się długo.

- Kobiety, jesteś jej wzorem, jesteś ideałem prawdziwej kobiety...

Trafił w sedno, bo się uśmiechnęła, po czym walnęła go w głowę.

- Tego było mi trzeba, a kłamać to ty nie umiesz, i wiem, że umieram...

Zdziwiło go to podwójnie. To jej zwierzenie, jako reakcja na komplement, którego do końca nie rozumiał. Nie pojmował także natury kobiecej, wszak nigdy wcześniej jej dobrze nie zgłębił. Z żoną, którą kochał, albo tak mu się zaledwie zdawało, byli zgranym duetem i niczym tandemem poruszali się na co dzień. Ale była to tylko iluzja. Tak naprawdę spierali się na każdym kroku. Kiedy urodziło się dziecko, ich różnice jeszcze bardziej się pogłębiły. Mieli kompletnie inne priorytety i tak samo różne wizje wychowywania potomstwa. Czy była to miłość, czy tylko fascynacja, która w końcu ukazała dramatyczny koniec? Dziecko nie było planowane, przydarzyło się i już, ale wiedzieli o tym, kiedy ograniczyli zabezpieczenia. Liczyli się wtedy z taką możliwością. Czy on ją kochał, czy może zaledwie pożądał i to kiedyś, bo kiedy urodziła i zbrzydła, oglądał się już tylko za innymi? Nie zdradził jej jednak nigdy, choć nieraz o tym myślał. Wyszły wszystkie różnice. Najbardziej widoczne były te, które wskazywały, że byli odmiennej płci. Wojna hormonów opanowała wszystko wokół. Skazani na porażkę, wytrwali w zgodzie. Odkrywali się przy tym na nowo. Pokochali miłością prawdziwszą od tamtej, czystą i bezinteresowną... taką, która wyzwoliła w nich uczucie do tej małej istoty, iskrząc tam, gdzie załamek dobroci rozwinął już swoje nieopierzone skrzydła. Czyż nie odkryli wtedy istoty człowieczeństwa? Zguba nadeszła tak samo szybko, jak tamto cudowne uczucie. Obaliła banały w jednej chwili. Znowu ją utracił, tym razem na zawsze...

Na czterdziestym piątym wieży postanowili odpocząć. Zapalił papierosa, którego znalazł jakiś czas temu. Podał jej, żeby się zaciągnęła. Nie chciała wziąć, choć na co dzień paliła. Nie chciała go zainfekować, on jednak zaprotestował. I tak niewiele by to pomogło. Jeśli miał się uchronić przed promieniowaniem, to tylko przez przypadek. Wiedział o tym i palił, dusząc się niemiłosiernie. Nigdy wcześniej tego nie robił, walcząc z nałogiem na każdym kroku. W końcu jednak się zdecydowała. Odchodziła błogo, nie mógł jej tego zakazać. Szmer naokoło nich coraz bardziej narastał, potęgowały wrażenie rysowania pazurem po szkle. Jakby drapieżny kot ostrzył swoje szpony o jedną z szyb, które zewsząd ich otaczały. Strach narastał w nich niewyobrażenie. Zaczęli uciekać, ktoś ruszył za nimi. Zakręt i długa prosta, biegł ile sił w nogach. Ona za nim, siedziała mu na ogonie, na plecach wyczuwając zapach śmierci. Zrobiła unik, skrzyknęła błyskawicznie, ktoś się z tyłu przewrócił... huk upadającego stworzenia, wskazywał jego obszerne gabaryty. Potknął się o ławę i zahaczył o wykładzinę. Padł, a wszystko wokół zadrżało. Kolejne osobniki przetoczyły się po nim. Szybko się ucza, pomyślała. Ten poszedł na straty, kim była królowa? Następny zakręt, gdzie minęli toalety, łazienkę i wybiegli na korytarz. Tam w lewo i prosto przed siebie. Z tyłu usłyszeli dziwne odgłosy i tumult, coś przetoczyło się przez drzwi, z których niewiele zostało. Zniknęli za najbliższym zakrętem, gdzie zaczęli się w mroku nocy...

Cisza, słyszeli ją jak nigdy wcześniej. Odchodzili od zmysłów, rwąc się do ucieczki. Coś nie pozwalało na to. Tumult, który rozpierzchnął się prawie niezauważenie. Łomot i zwały tynku, które poleciały na ziemię. Zniszczenie, a potem cisza... i odgłosy wielokrotnych oddechów. Mężczyzna zasłaniał kobiecie usta, nie chcąc, by krzyknęła. Oboje widzieli błyskające ślepią intruzów, tuzin oczu. Nosili wysoko głowy. Ich obszerne grzywy, zaczesane do tyłu, falowały na umięśnionych plecach. Nie mieli słabych punktów. Długie łapy z ostrymi szponami, przypominającymi nożyczki. O Boże, oni naprawdę je sobie przyczepili! Rozbijali w pył wszystko na swojej drodze, niszcząc bez opamiętania. Po co, czego szukały? Może ich? Przecież nic nie byli wari. Wymknęli im się niezauważenie, przechodząc obok. Odkryli wtedy, że stworzenia te, były głuche. Znowu im się udało, pomyśleli. Pędzili za życiem. Schody długie i szerokie, jak główna aleja w Nowym Jorku, bez końca i bez początku jednocześnie. Nieszczęśliwi, gramolili się po nich, podtrzymując poręczy,

które ślizgały im się w dłoniach. Spocone ręce były mniej chwytne. Czterdzieste czwarte piętro, gdzie ledwo żywi wpadli do pierwszego, napotkanego pomieszczenia, było wąskie i długie. Nie działało światło, nadaremnie pstrykali wyłącznikami. Dotykali dłońmi ścian, mężczyzna z jednej strony, a kobieta naprzeciwko. Szukali wnęk, drzwi, czegokolwiek. Usłyszeli z tyłu znajome odgłosy. Sapanie, szelesty i ich przedziwną mowę, same spółgłoski. Było to brzęczenie, a nie konwersacja. Chropowata ściana, o strukturze papieru ściernego, zacierała coraz bardziej ich marzenia o przetrwaniu. Odrobina nadziei, jak źdźbło trawy, skryte pod opadającym na ziemię liściu, zrulowanym i wysuszonym, umierała, tocząc się wraz z nimi po równi pochyłej. Spadała w otchłań niebytu, zabierając ze sobą życie, które ledwo się w nich tliło. Umierali, żyjąc w świecie, który umarł już dawno temu...

Światło, co tliło się i przygasało, pamiętała je dobrze. Kilka godzin temu, trzymała takie w swoich rękach, ten maleńki płomyczek. Kiedyś już coś takiego przeżyła, dawno temu, tamte wspomnienia powróciły na nowo. Świeca, wypalwszy knot, wystrzeliła płomykiem jeszcze raz do góry. Ten odsłonił wszystko, co dotąd skrywała. Dostrzegł to w ułamku sekundy. Zobaczył to, czego nie widział przez ostatnie lata. Świeca zgasła. Ukryci pod podłogą w stercie prześcieradeł, oczekiwali w milczeniu. Tuż ponad nimi, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów powyżej, przetoczyły się obślizgłe potwory. Czuli ich zapach, który drażnił powonienie i ciężar, pod którym ugiwała się podłoga. Co by się stało, gdyby nie wytrzymała i pękła, zastanawiał się mężczyzna? Nie mógł zebrać myśli, nie potrafił sobie tego wyobrazić. Po chwili odgłosy ucichły i znowu zapanowała cisza.

– Wiem, że umrzemy. Pogodziłam się z tym, ale boję się samego umierania – wyszeptала.

– Rozumiem, uwierz mi, że ja też się tego boję, choć ciągle mam nadzieję...

Strach nie opuszczał jej ani na moment.

– Jak to jest, jak umiera człowiek? Powinieneś wiedzieć, przecież jesteś naukowcem.

Nie zwlekał z odpowiedzią.

– Nie wiem, nikt tego nie wie. Pewnych rzeczy nie da się zmierzyć.

– Wiem, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

– Kiedyś i owszem, ale było to dawno temu.

Zainteresowało ją to.

– I do czego doszedłeś?

– Tylko do tego, że każdy z nas raz w swoim życiu zgłębi tę tajemnicę, czym ona tylko jest i dowie się wtedy także, czy jest coś jeszcze ponadto...

Parsknęła śmiechem.

– To niczego mądrego nie wymyśliłeś.

– Niestety, ale zrozumiałem wtedy, czym jest życie.

Mocno jej tym zaimponował, przyłgnęła do niego.

– Czym, oświeć mnie, bo zapomniałam już?

– Jest darem, którego nie można zmarnować.

Zamyśliła się, kiedy go słuchała. Wydał jej się taki bliski.

– Boisz się? – zagadnęła.

– Tak, czasami nawet bardzo. To takie niemęskie, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego tak mówisz? Strach nie jest zarezerwowany tylko i wyłącznie dla kobiet i dzieci.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Właśnie, masz rację. Jesteś taka silna...

Wybił ją z rytmu. Uśmiechnęła się.

– Naprawdę? Nigdy tak o sobie nie myślałam.

– A mi zawsze wydawało się, że taki właśnie jestem – odwzajemnił jej uśmiech.

Pokiwała głową na boki.

– Zobacz jak bardzo jesteśmy zamknięci w sobie, jacy przy tym nieprawdziwi.

– Dostosowani do innych? – upewniał się, czy dobrze ją zrozumiał.

– Tak, pozbawieni własnego zdania.

Analizował każde jej słowo.

– I godzimy się na to, dlaczego tak właśnie jest? – jakiej odpowiedzi oczekiwał?

– Bo jesteśmy niedoskonalni, jesteśmy też różni – oznajmiła.

Nie wystarczyło mu to, a ona doskonale o tym wiedziała.

– I żyje w nas, gdzieś głęboko schowane, drugie ja, zupełnie inny człowiek – parafrazował.

Pokiwała z zadowoleniem głową.

– Najczęściej, niestety ten gorszy...

Wspominali ukochane miasto, szepcząc sobie do ucha miłe słowa. Chichotali, jakby nic złego się nie stało. Zapomnieli o cierpieniu. Muzyka grała im w duszy, masując od środka. Wtuleni w siebie, szczelnie okryci, zasnęli, śniąc o tym, co utracili. Nie doceniali go zawczasu, narzekając. Teraz żałowali, bo tamto miało już nie wrócić...

Błękit nieba zlewał się z bielą chmur. Mieszając się wzajemnie, ukazały piękno dnia powszedniego. Słońce, które było od zawsze, odkąd pamiętał, od zarania dziejów, rozpychając na boki, bujne, baranie obłoki, stanęło w zenicie. Żółtą poświatą ogrzało zmarznięte na ziemi życie, które ledwo się tliło. Dało znak, że zostanie i słowa nie złamało, bo świeci po dziś dzień. Wypuściło jasne promienie, które ziemię płodami zasypały. Podarowało jej żar istnienia. Zielenią pachnące trawniki, wiosną do życia obudzone, w porannym deszczu wykąpane, pnące się w kierunku ciepła. Drzewa, co pięły się wysoko, rozchylonymi ramionami, zapraszały bezbronne ptaki. Tworząc im domy, osłaniając przed burzami i wszelkim niebezpieczeństwem, czule do siebie przytulały. Chroniły ich potomstwo, dając schronienie ptasim rodzinom. Wiatr, który hulał po wzgórzach i dolinach, pędem wpadał do miast i miasteczek, po chwili umykał, by zdążyć oblecieć jeszcze więcej. Śniła o tym wszystkim, delikatnie poruszając ustami. Potem jej powieki, które dotąd drżały, zastygły. Jej ręce zwiewnie falowały, jak ptasie skrzydła w locie, unosiły ją i niosły w nieznane. Była wtedy jednym z nich, tak bardzo pragnęła mieć skrzydła. Uciekłyby stąd na koniec świata. Potem nadeszła zawierucha, która przegoniła tę delikatną, letnią bryzę. Pogrążając niebo w zamęcie, zabiła słońce. Rozpętała piekło, topiąc ziemię w cierpienia odmęcie. Obudziła ją w jednej chwili, on już od dawna nie spał. Wpatrzony w nią, nie mógł znieść jej straszliwego cierpienia...

– Muszę się załatwić – błagała.

– Nie możemy jeszcze stąd wyjść – odpowiedział.

Była załamana.

– Ale ja muszę!

– To rób tutaj...

– Pod siebie?

Nie odpowiedział, wzruszył ramionami. Jakie to upokarzające, nieludzkie. Spuściła głowę, zagryzła wargi, aż pociekła z nich krew. Tak bardzo nienawidziła życie. Wyszli z ukrycia, wydostali się z pułapki, która dla nich była także schronieniem. Wyruszyli dalej. W poszukiwaniu żołnierzy, sprawdzali kolejne pomieszczenia. Potem piętra, schody i zakamarki. Żadnych głosów, oznak życia, całkowita agonia. Strach przed ciemnością, był w nich ogromny. Coraz mniej światła i coraz więcej rozpacz. Bali się wsadzając ręce w zaciemnione miejsca. Te wnęki, były niesamowicie klaustrofobiczne, czaiło się w nich zło. Było to jak marsz po polu minowym, gdzie wiadomym było tylko to, że jest naszpikowane ładunkami wybuchowymi. Nikt nie wiedział, gdzie były rozlokowane. Zakręcił w lewo, korytarz opadał lekko w dół, potem w prawo, prosto w jego paszczę. Cień nocy, nawet nie wiedzieli, że go miała. Błądzili w mroku, panicznie szukając ocalenia. Serca biły niczym zegary, waliły w piersi, kołacząc w środku. Włosy jeżyły się na głowie. Czowała jak stają jej dęba, jak się elektryzują i mocno ciągną za skórę. Wiedziała, że będzie bolało jeszcze bardziej, tylko kiedy...

Wtedy, gdy myśli spotęgowały strach, usłyszeli głos dziecka. Jego czystą barwę i ton ciepłym przepełniony. Stanęli, by ochłonąć, zanim wkroczą do niebiańskiego królestwa. Poszli za nim, popełzli tam, skąd do nich dochodził. Odnaleźli go wreszcie, miłością najprawdziwszą prowadzeni. Znaleźli dziecko, co przeżyło się w agonii. Obok stali jego rodzice, pełni żalu i nienawiści, prosili o wybawienie. Ich spojrzenia się spotkały...

– Nie róbcie nam krzywdy! – matka dziecka, płacząc, upadła na kolana.

– Nie bójcie się, nie zrobimy wam nic złego – uspokajała ją kobieta.

– Nie zabierajcie nam córki! – krzyczał ojciec.

– Ona już nie żyje – odparł mężczyzna, ale oni go nie słuchali.

– Nie zjadajcie naszego dziecka!

Zapadła cisza.

– Postradałaś zmysły, kobieto!? – powiedział mężczyzna.

– Nie zbliżajcie się do nas, wiemy co planujecie – odparł ojciec dziecka, podsycając atmosferę grozy.

– Opanuj się, chcemy wam pomóc! – złapała się za głowę kobieta.

Jakby ich nie słuchali.

– Odejdźcie precz, potwory, zostawcie nas w spokoju...

Nie zdziwiły ich takie słowa.

– Oszalała, zrób coś.

Mężczyzna dumął, ale się nie odezwał.

– Przeklinamy was, krwio pijcy! – nadal krzyczeli, rwąc włosy z głowy.

– Chodź już, zostaw ich, nie możemy im pomóc – odezwał się w końcu.

– Spróbujmy chociaż?

– Nie damy rady, ich nic już nie uratuje...

Oburzyła się.

– Nie mów tak!

– Spójrz, oni nie chcą, żeby im pomóc. Oni chcą zostać sami.

Dopiero teraz to do niej dotarło.

– Nie możemy ich tutaj zostawić – protestowała.

– Musimy.

– Nie. Na pewno jest coś, co możemy zrobić. Cokolwiek...

Łudziła się jeszcze.

– Wiesz, że nie. Nie możemy niczego zrobić wbrew ich woli... rozumiesz to, prawda?

Nie odpowiedziała, nie chciała go słuchać. Najchętniej to by ją wzięła za chabety i naprała po twarzy, byle tylko z nią poszła. Ale nic z tego, jej wizja nie szła w parze z ich wyobrażeniem o teraźniejszości. Nie mogła opanować złości, która jeszcze bardziej narosła. Patrzyli na nich, oddalając się coraz bardziej. Ten widok był porażający. Tak samo jak ich ruchy, spowolnione, jakby odwrócone, i spojrzenie, które zawisło w martwym punkcie niczym wisielec na szubienicy. Zobaczyli wtedy prawdziwą rodzinę, która do końca była jednością. Matkę, co zaganiała swoje stado do wieczornej kolacji i ojca, który do końca stał na posterunku. Jego oczy mówiły wszystko. Odwaga narosła w nim do granic absurdu. Był blisko żony i dzieci, choć jedno z nich od dawna już nie żyło. Cały czas tulili je i całowali, mówiąc do niego tak, jakby słyszało. Smród rozkładających się zwłok, zmieszał się ze stęchłą unoszącą się ponad nimi. Wentylacja od dawna nie działała, zaduch i mętne powietrze, ogarnęły wszystko. Drugie dziecko dogorywało na ich oczach, poparzone i brudne, leżało nieopodal. Jeszcze się poruszało, łapiąc powietrze do maleńkich ust. Potem wciągało je na potęgę, krztusząc się i plując krwią na boki. Zabryzgało nią twarz matki, która się tym nie przejęła.

Kiedy stąpali, nadal mając tamten obraz przed oczami, ich stopy powykrzywiane w drugą stronę, szły jakby na wspak. Szpotawe kolana od nieładu, chrzęściły boleśnie. Wreszcie patrząc po raz ostatni w tamtym kierunku, odwrócili się i uciekli. Zapamięta tego człowieka na dobre, a ona kobietę zapewne już na zawsze. Ta scena była dla nich jak kwas, żrąca i rozpuszczająca niemal wszystko jednocześnie...

– Zostaw mnie, chcę tu zdechnąć! – krzyczała.

– Nie mów tak.

– Zostaw mnie, ich zostawiłeś...

– Wiesz, że musieliśmy – próbował ją uciszyć.

Wrywała mu się.

– Mów za siebie, ja niczego nie musiałam!

– I co byś zrobiła, powiedz?
– Nie wiem, próbowałabym jakoś pomóc.
Rozpostarł szeroko ręce.
– Jakoś, jak? Powiedz, jeśli wiesz.
– Jakoś – odburknęła.
Zacisnął pięści.
– Jak, do cholery? Weź się wreszcie w garść!
Splunęła, zapominając, że miała na twarzy maskę.
– Pieprzę cię, wiesz!?
Rozbawiło go to.
– Wiem, ale nie obchodzi mnie to.
– Nie obchodzi cię to? Ty parszywy egoisto...
Nie zwrócił na to uwagi.
– Nie. Obchodzi mnie już tylko to, jak stąd uciec...
– Ja już nigdzie się stąd nie ruszę. Ja już prawie nie żyję, nie widzisz tego?
– Nie poddawaj się, tam są lekarze – odparł.
Odwróciła się plecami, po chwili jednak ponownie ujrzał jej lico.
– Gdzie tam? Skąd u diabła wiesz, że jest jeszcze jakieś tam... Skąd to wiesz?
Wodził wzrokiem, próbując przeniknąć przez otaczającą go ciemność.
– Gdzieś na pewno jest... – odrzekł.
Usłyszała odbicie własnego głosu. Jakby echo rozpierzchło się i ponownie powróciło.

Zaskoczyło ją to, utemperowało emocje.

– Nawet jeśli je znajdziemy, to skąd możemy wiedzieć, że nas ulecą?
– Musimy mieć nadzieję – tylko to przyszło mu do głowy.

Długo zbierała myśli.

– A to co? Powiedz mi, bo nie słyszałam o tym?

– Nie kpij! – wkurzył się na nią.

– Powiedz mi draniu, czy przeżyję?

Złapał się za głowę, odwrócił na pięcie.

– Nie wiem.

Nie tego oczekiwała.

– Odpowiedz! Jakie mam szanse, statystycznie? Przecież wiesz... Nie chcesz? To ja ci powiem. Żadne... i ty dobrze o tym wiesz!

Złapał ją za kurtkę, która pękła pod wpływem ucisku. Pociągnął i rozdarł. Wystraszył się, po czym puścił. Próbował to zabezpieczyć, nie było jednak czym. Próbowała go uderzyć, ale osłonił się krzesłem. Uciekła mu na schody, po których zbiegła na półpiętro. Sturlał się za nią, potknąwszy się wcześniej. Złapał ją w locie, kiedy wpadł na nią z całym impetem. Podniósł i próbował wciągnąć do góry. Idź do cholery, musisz, powtarzał. Ani drgnęła, zaparła się i nie puściła barierki. Oderwał jej rękę od niej, o mało przy tym nie połamał. Pójdziesz, ja ci to mówię, powtarzał. I nie ważne, że nie chcesz. Nie mogę cię tu zostawić. Jesteś dla mnie wszystkim... jesteś mną, a ja tobą. Jesteś mi potrzebna. Bez ciebie nie ma mnie... Ostatnie zdanie zastopowało całą jej agresję. Rzuciła mu się na szyję, zdarła maskę, ucałowała. Jej usta przylgnęły do jego warg, po czym się zespoliły. Płakała, ocierała ręką te gorzkie łzy. Dotarło do nich, że byli obserwowani...

Mieli mało czasu do zastanowienia, ona miała go jeszcze mniej. Zdecydowała się na to w jednej chwili, wtedy i ostatecznie. Zaufała mu, wreszcie zaufała mężczyźnie... Nadzieja powróciła, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pociągnęła go za sobą, a one ruszyły za nimi. Mieli jakieś dziesięć metrów przewagi i lepsze rozeznanie w terenie. Lepiej także słyszeli, ale one doskonale widziały w mroku. Wyścig do bram zwycięstwa. Kto wie, gdzie ono jest? Kto, zastanawiali się, mijając następne piętro. Przebiegli przez aleję pootwieranych apartamentów, przelecieli przez nie niczym wiatr, potrafiący przewietrzyć wszystko w jednej chwili. Wiele pokoi w każdym i tyle samo aneksów kuchennych, mnogo zaułków i jeszcze więcej sypialni. Kilkanaście, może kilkadziesiąt i wszystko w jednej linii, jak pas startowy na miejskim lotnisku. Sił już nie mieli

prawie wcale, one na szczęście także. Może od dawna nic nie jadły, może także nie piły? Bała się o tym myśleć, ten lęk, był dla niej nie do wyobrażenia. Mężczyzna liczył drzwi. Siedemnaste, trzasnął nimi i zablokował komodą. Po chwili już w nie dudniły, rozbijając coraz bardziej z każdym kolejnym kopnięciem. Zakręt, prosta... znów zakręt, tym razem w drugą stronę, potem obszerny aneks. Za nim apartament z wielkim salonem. O cholera, nie ma drzwi, zakłęli niemal równocześnie. Nie było ich, to ślepa uliczka. Odosobniony lokal, końcowe miejsce, jak mogła o nim zapomnieć? Zastanawiał się przez chwilę. Światło działało, ale jak? Dobre pytanie... Odnalazł bezpieczniki, odłączył je jednym dotknięciem palca.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał szeptem.

– Tak.

– Co to za miejsce?

– Sekretny apartament – odpowiedziała.

Próbował cokolwiek dostrzec w ciemnościach.

– Sekretny?

– Tak, ukryty...

– Po co?

– Na wypadek tragedii podobnej do tej.

– Żartujesz? – dało się usłyszeć w jego głosie lekką ironię.

– Nie. Zapomniałam o nim wcześniej.

Coś mu nie dawało spokoju.

– To jest to magiczne, czterdzieste piąte piętro i jego niespodzianka?

– Dokładnie... to tu.

Jeden wyraz, a tyle miał znaczeń, pomyślał. Głównie poważnych, wręcz nudnych. W jej ustach zabrzmiał żartobliwie, niczym jak się masz kochanie?

– Jest stąd jakieś wyjście? – zapytał.

– Tylko tamto, przez które weszliśmy – wskazała, wodząc ręką przed jego nosem.

– Tamto, przez które za moment tu wejdziesz?

– Niestety, innego nie ma.

Jak ona to zaprojektowała, żeby zrobić coś takiego? Dumał, nie mogąc tego pojąć.

– A okna? – wypalił.

– Odpada, za nimi nie ma parapetów. Tylko szkło i to śliskie jak cholera...

Zaśmiał się.

– Jest w tym pokoju coś więcej? Coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Nie wiem, o czym ponadto powinnam ci powiedzieć? – wzruszyła ramionami.

– Na przykład broń, jest tutaj?

– Nie. Zaczekaj, na ścianie po drugiej stronie, jakieś siedem metrów w głąb pomieszczenia, wiszą miecze.

Wyobraził sobie ciężkie klingi i rycerskie zbroje... i dwa nagie miecze na koniec.

– Jakie to miecze? – zapytał z szacunkiem.

– Japońskie, stare i bardzo ostre. Dekoracja w stylu kraju kwitnącej wiśni, czy jakoś tak...

Odwrócił głowę.

– Coś jeszcze?

– Jest tu jedzenie i woda – dodała.

– Dobrze, gdzie?

– Pod nami...

– Znowu!? – burknął, nie mając ochoty na ponowne zagłębianie się pod podłogę.

– I łączność, zapomniałabym...

– Krótkofalówki?

– Lepiej, telefon – była z siebie dumna.

Próbował zebrać myśli.

– Nie zadziała, nie po wybuchu – oznajmił.

– To jest wyjątkowy egzemplarz, satelitarny. Taki, jakim posługują się premier i prezydent!

Zagryzł wargi, potrząsnął głową.

– Może jednak zadziała, do cholery! Może nam się uda... Gdzie on jest?

– W sejfie – odparła lakonicznie.

– A sejf pewnie zabezpieczony jest zamkiem szyfrującym? – zbierał informacje.

– Dokładnie.

Znów to określenie, czy ona innego nie знаła, zastanawiał się?

– No to lipa.

– Niezupełnie...

– Jak to? – zaskoczyła go taką odpowiedzią.

– Bo znam klucz dostępu.

Nie była najgłupsza, prawie jej to powiedział.

– Módl się, oby tak właśnie było, księżniczko – uśmiechnął się do niej.

– Zapomniałam już jak to się robi.

Wspomniał wtedy kościół, szybko uwalniając się od takich skojarzeń.

– Gdzie on jest?

– Za twoimi plecami – wskazała kierunek.

Cisza skończyła się w tym samym momencie.

– Nadchodzą?

– Tak, słyszę ich...

Objął ją, kiedy próbowała jeszcze coś powiedzieć.

– Jest ich wielu, prawda?

– Na pewno i nie są pokojowo nastawieni...

– Wiem. Boisz się? – chciała znać jego uczucia.

– Tak. Od dawna.

Zastygła w bezruchu.

– Można się przyzwyczaić? – zagadnęła.

– Do wszystkiego można przywyknąć – odparł, wyczuwając zapach jej ciała.

Oparła się mocno o jego ramiona.

– Szukają nas, prawda?

– Chyba tak.

– Zabijają, jak nas złapią?

– Możliwe.

– Są głodni, czuję to – płakała.

– Tak – odczuwał podobnie.

– Głodni i źli, że nie mogą nas dopaść.

– Chyba tak.

– Coraz lepiej ich słyszać – nie przestawała mówić.

– Są blisko – potwierdził.

– Są już przed drzwiami – przyłożyła palec do ust, wskazując ciszę.

– Musimy się rozdzielić, ukryj się gdzieś – nakazał.

– A ty? – bała się.

Pogładził ją po ramieniu, potem po głowie. Wszędzie tylko kombinezon, pomyślał.

– Zaufaj mi – rzekł pewnym głosem.

Zniknął bez śladu, cicho i bezszelestnie. Wcześniej dotknął sejfu, żeby sprawdzić, czy istnieje. Był, potężny i ciężki, z grubymi ścianami. Skrywał w sobie wielką tajemnicę, wielką szansę na ocalenie. Szelesty wzmogły się natychmiast. Wkroczyły tam, rozpierzchły w pomieszczeniu, rozpluwając w ciemności. Dziewczyna ukryła się pod dużym i szerokim łóżkiem, z którego zwisała pościel. Leżała głucho z głową przy ziemi, odbierając całym swoim ciałem każdy ich krok, który wywoływał nieprawdopodobne emocje. Czuła ich ciężar, zapach i siłę, z lekkością rozrywały ludzkie mięso na strzępy. Czuła się niczym warchlak uciekający przed wygłodniałym wilkiem... a one rozpoczęły już żer. Węszyły z głowami w górze, poszukując skrywającego się przed nimi zapachu. Język wywalony na zewnątrz pyska i ślina kapiąca bezustannie, prawdziwe

żerowisko. Odbijały się od siebie, co chwilę trącając. Mężczyzna stał pod najdłuższą ścianą, najmniej osłoniętą jednocześnie. Wystawił im się, ale czy na pewno? Założył, że myślą, i że w miejscu oczywistym, nie będą go szukały. Nie mylił się. Stał wyprostowany niczym z kijem włożonym pod koszulę, usztywniony oczekiwał na atak, który nie nadchodził. Nadal tam buszowały, pomyślał. Przez dłuższą chwilę wydawało się, że zniknęły, ale one ciągle tam były. Odnalazły kobietę. Wdarły się pod materac, rozbijając ramę łóżka i wyciągnęły ją stamtąd, obracając w perz miękką wykładzinę. Huk, który zniszczył jej nadzieję. Krzyczała jak ją nieśli, płakała jak ohydnie mlaskali. Czowała ich łapy na swoim ciele. Długie pazury obszernych paluchów, penetrowały jej ciało. Najpierw nogi, potem ręce, na koniec piersi. Zawyla ostatecznie. Unieśli ją wysoko ponad sobą, gdzie dotknęła ciałem zdobień sufitu w pokoju. Falując w poziomie wraz z ich marszem, dosłownie wypływała na zewnątrz. Strach, który wy dobył z niej najgłębsze pokłady nienawiści, zniknął w jednej chwili. To, co było dotąd nocą, stało się i dniem. Życie zmieszane ze śmiercią, odgrodziło się od nich na chwilę, by powrócić i zabrać od razu niemal wszystko. Krew, która uleciała, otworzyła jeno rany wszechmocnego zła, którym one były. Tryskała niczym ze strażackiej sikawki. Zabryzgała jej oczy. Stwory nocy były przeraźliwe, ludzie-nieludzie, monstra wydobyte z czeluści samych piekieł. Kim były, że nie sposób jest to odgadnąć, kim są, że zabijają za nic? Ciemność rozświetlona miłością i nadzieją goniącą za nią bezustannie. Jak wielka w nich była wiara... Ciał mieczem nie jak popadło, na oślep, przez mgłę ciemnością osnutą. Prostymi ruchami wyprowadzał precyzyjne ciosy. Widział, choć obrazów żadnych nie było. Żył, bo zabijał. Walczył także o nią. Sam nie wiedział, że to potrafi...

Uważaj, jestem tu, krzyknęła, choć jej głos, był zaledwie wyciszonym odgłosem rozpaczy. Skuliła się, leżąc na zimnej posadzce. Przeczłoła między ich koślawymi nogami, popęzła w stronę szklanej ławy. Skryła się pod nią, choć po chwili ze szkła, którego dotykała palcami, pozostała już tylko rozproszona materia. Co czuła, kiedy obok niej potwornie ostra broń wirując, odbierała czyjeś życie? Te myśli, były zabójstwem dla lęku, który odszedł na zawsze. Uwierzyła, że jest nieśmiertelna... przez moment, krótką chwilę świat był dla niej zupełnie inny. Adrenalina rozsadzała jej ciało, parowała z oddechem, było to niewiarygodne. Zaliczyła największy w swoim życiu odlot, i to wszystko dzięki niemu, uświadomiła to sobie ostatecznie. Jeszcze bardziej był jej bliski, może nawet mogłaby go pokochać...

– Jesteś tu? – zapytał.

– Jestem – odparła cicho.

– Żyjesz?

Cała drżała.

– Nie wiem, chyba tak...

– Jesteś ranna?

Bała się mówić.

– Nie czuję.

– Dotknij nóg, sprawdź czy są na miejscu? – zagadywał.

– Są – odetchnęła po chwili z ulgą.

– Możesz nimi poruszać?

Zastanawiała się przez kilka sekund.

– Chyba tak.

– A ręce? Obydwie sprawdzały nogi?

– Tak, są w porządku. Wszystko jest ok.

– To dobrze.

Walcząc z nimi zatracił się w tym ostatecznie. Myśli o śmierci odsunęły się na bok. Zapomniał o strachu, błyskawicznie reagował. Przyjął pozycję, w obu rękach dzierżąc kataną. Przypomniawszy sobie płatnerza, który przez wiele dni wykuwał ostrze. Kiedyś poznał go osobiście, potem nauczył się posługiwać mieczem. Jego unikatowa stal, produkowana z żelaza wypłukiwanego pod postacią czarnego piasku prosto z górskich, japońskich strumieni, była majestatyczna. Miecz był cudem, był oryginalny, skąd się tu wziął? Pewnie był to jej pomysł, odgadnął. Kiedy płynnie ciał i bezszelestnie się poruszał, klinga tańczyła w ręku niczym baletnica.

Widział tylko jeden obraz. Widział piękną krainę, pełną wspaniałych pejzaży i ludzi dziwnie spokojnych, a dookoła setki drzew i tysiące kwiatów kwitnącej wiśni. Bał się, żeby jej nie zabić. Wiedział, że było to prawdopodobne, nie miał jednak wyboru. Jak przez mgłę zobaczył jej buzię, piękną jakby niedzisiejszą, zobaczył też, gdzie stała. Wyczuwał swoim ciałem jej osobę, umiejętnie omijając to miejsce. Raz tylko niebezpiecznie blisko się zamachnął. Świst miecza i dźwięk przeciętego na pół papieru dotarł do jego uszu. Czyż nie było to wspaniałe? Całkowicie się rozkojarzył, było już jednak za późno...

– Gdzie jesteś? – nawoływał.

– Tutaj, widzisz mnie?

Rozglądał się, ale niczego nie dostrzegł.

– Nie, ale idę za twoim głosem...

– Gdzie one są? – chciała wiedzieć.

– Chyba nie żyją!?

– Wszystkie?

– Nie wiem, reszta uciekła – oznajmił.

– Nie ma ich tu?

– Chyba nie.

– To dobrze – odetchnęła z ulgą. – Kim one były?

Wstrzymał się przez chwilę z odpowiedzią.

– Nie wiem, może odbiciem naszych lęków?

Przemyślała to, co powiedział.

– To duchy, które prześladują nas od zawsze. Kiedyś we śnie, teraz już także na jawie.

– Nie ma ich już – pocieszał ją.

Coś jej jednak nie dawało spokoju.

– Może odeszły już na zawsze?

– Może. Pamiętasz o łączności i jedzeniu? – zapytał.

Coś ją unieruchomiło.

– Tak, no wreszcie...

Poderwał się do góry.

– Co takiego?

– W końcu odnalazłam ten cholerny wyłącznik!

– Jaki wyłącznik?

– Teraz powinno już zadziałać...

– Co takiego? – głowił się w nieskończoność.

Szorowała rękoma po ścianie.

– No światło, awaryjne, zaraz je włączę...

Zapanowała cisza.

– Nie! Nie rób tego! – nie zdążył zareagować. Nie potrafił jej przed tym powstrzymać.

Pamiętał, idąc kiedyś ulicą, jak minął po drodze śmierć. Jakoś ją wtedy wyczuł. Otarła się delikatnie o niego, otulając subtelnym aromatem. Zwróciła przez chwilę na siebie uwagę. Ominął ją, ale zapamiętał, teraz tamto powróciło. Mijał w drodze do pracy wiele różnych sklepów i zakładów, jeden był zgoła odmienny. Był to Zakład Pogrzebowy. Przesiąknięty czernią, naznaczony ostateczną drogą trupi raj, który niezwykle przerażał. Przed nim zaparkował czarny karawan, z którego wysiadł potężnych chłop. Wyjął z tyłu pojazdu jasną, sosnową trumnę, pustą w środku, i niósł ją samodzielnie, jak odkupiciel. Zdziwiło go to wtedy, że tamten i w dodatku samotnie, przecież musiała być ciężka... Wtedy, gdy przecinały się ich drogi, ów drewniany dom lepszych czasów i innego życia, utracił swe nieodkryte wieko. Trumna w przechyle, uchyliła mu wrota, ukazując wnętrze, jakby zapraszając. Ten obraz był inny od codziennych, prawdziwszy... Poczul zapach kostuchy, poczul ją w pełni... aromat świeżego drewna, ogarnął jego zmysły całkowicie. Na chwilę rozkojarzył, wybijając z rytmu. Pogubił się myślowo. Zawsze kojarzył to jednoznacznie, a tu wyobraźnia spletała mu figla. Okrutna śmierć pachniała także życiem... Drzewo, które stanowi o ludzkim byciu, daje nadzieję, zachwyca, rośnie i dotlenia. Jest z nami

także po drugiej stronie. Prowadzi krętymi drogami, pozwalając zakosztować niezwykłego zapachu. Teraz tamto na nowo powróciło...

Zniknęły od razu wszelkie nadzieje, odeszły kiedy na dobre zapaliły się świetlówki. On wiedział i nie chciał tego, ona o tym jednak zapomniała. Stała przerażona, płacząc z bólu i rozpacz, pośrodku krwawego rykowiska. Niczym w rzeźni, nie w setce podobnych, złączonych w jedną, gdzie zwierzęta dostały do zabawy ludzkie ręce, a do nich wsunięto głośno ryczące, mechaniczne piły...

Patrzył na nią, a potem na obszerną ścianę z pleksi, w której ktoś zatopił prawdziwą trawę. Była zielona do granic możliwości, jakby żywa i martwa jednocześnie. Była dla niego odskocznią, odreagowaniem na wewnętrzny krzyk, który rozrywał mu serce. Dziewczyna odczuwała podobnie. Żywa trawa, która pięła się ku górze, wspinając nieudolnie po imitującym szkło, przezroczystym plastiku. Poszukiwała słońca, którego nie mogła zobaczyć. Zamknięta na zawsze w zalanej formie trumnie, pachniała strachem kolejnego bohatera, niemo zapraszając... Postanowił, że nie skorzysta. Jeszcze nie teraz, pomyślał. Jeszcze nie tym razem...

– Podaj mi rękę! – krzyknął do dziewczyny.

– Podaję, masz ją? – pytała, wyciągając się jak struna.

– Nie – badał po omacku otoczenie. – Ty krwawisz?

Poczuła wtedy ból.

– Ja krwawię? – świadomość tego wywołała u niej niepokój.

– Tak, i to obficie...

Zakrzuszyła się śliną, kiedy ją przełykała. Nie mogła zaczerpnąć powietrza.

– Co się dzieje, odpowiedz? – ledwo wydukała.

Zamarł.

– O cholera!

– Co się stało?

– Ty... – nie widział jak to powiedzieć?

– Co ja? Mów! – mdlała, wymawiając te słowa. Starał się ją przy tym mocniej uchwycić.

– Ty nie masz... dłoni.

Szafiry i rubiny, nie wiedziała, na które się zdecydować? Sprzedawca usilnie próbował sprzedać jej cokolwiek. Zauważyła to i kokieteryjnie jeszcze bardziej go prowokowała. Ostatecznie nie kupiła nic. Tuż obok, przy kolejnym stoisku, wybrała bursztyn. Cudowne kolczyki od razu zawisły na jej uszach. Odtąd nosiła je zawsze wtedy, kiedy była szczęśliwa. Dzisiaj także je na sobie miała, choć jeden z nich już na dobre stracił swój blask. Wyblakły i poobijany, mocno ucierpiał podczas ostatnich dni. Drugi natomiast atrakcyjnie prezentował się na jej szyi. Przesunęła ręką po karku, zostawiając krwawy ślad na kawałku srebrnego paciorka. Nie mogła poczuć dłoni, palców także nie odnalazła. Koszmar powrócił na nowo. Majtający w powietrzu kikut, bryzgał kroplami czerwonego deszczu na wszystkie strony. Zaczęła krzyczeć, zasłonił jej usta. Wrywała się, ale nie puścił. Drżała okropnie, wtulił się w nią całym swoim ciałem. Jego cięcie było idealne, doskonale zgrzało wszelkie naczynia i tkanki. Krew pojawiła się chwilę potem, gdy nieświadoma straty mocniej próbowała zacisnąć pięść. Dłoń, której nie było i mózg, który nadal nią poruszał. Impulsy z niego płynące wskazywały na to, że była, i że ciągle może ją chwytać. Myślała nawet, że unosi ją przedmiot, że go trzyma. Burza panująca w jej głowie nie pozwalała skupić myśli. Obłąd, pochłonął ją całkowicie...

Kiedy ją trzymał, to myślał o jednym. Płakał jej łzami, osuszając z nich swoją twarz. Dławił się własną śliną, kiedy próbował ją przekonać, że nic takiego się nie stało. Ona nie mogła mu tego wybaczyć, ciągle karciła zabójczym spojrzeniem. Ile jeszcze, ile wytrzyma? Zastanawiał się, a ona ochryple zrędziała. Lamentowała, budząc piskiem umarłych, pomyślał. Zło, które zgubili, może nawet pokonali, było teraz na nowo przywoływane. Próbował ją uspokoić, bezskutecznie. Starał się, ale na niewiele się to zdało. Chciał ją tam zostawić, w porę się jednak opamiętał. Przeczesał zabrudzone opadającym pyłem włosy i próbował coś powiedzieć. Nie pozwoliła mu na to, przebijając jego głos swoim wrzaskiem stokrotnie...

– Gdzie jest moja ręka, coś ty mi zrobił!?

– Nie krzycz.

– Odrąbałeś mi dłoń, gadzie!

Nadal nie mógł nad nią zapanować.

– Nie wiem, może – odparł delikatnie.

– Nie może, tylko na pewno. Coś ty zrobił najlepszego – machała kikutem przed jego nosem.

– Przepraszam – oznajmił.

– Przepraszasz, wiesz co? Obyś... a niech to, nieważne zresztą – atakowała go nieprzerwanie.

– Już cicho, wszystko będzie dobrze – starał się ją utrzymać w ramionach.

Wstrzymała oddech, słysząc jego słowa. Po chwili zareagowała jeszcze mocniej.

– Niech cię jasna cholera!

Jej głos dotarł na sam dół i z powrotem powrócił, pomyślał. Uspokoila się odrobinę. Mówił do niej usypiającym tonem.

– No dobrze, już się nie zbliżam. Wyobraź sobie, że bólu nie ma, że nie istnieje... Wyrzuć go z głowy, to działa.

– Jak boli – powtarzała ze łzami w oczach.

Przysłonił uszy, swoje i jej. Nie chciał ich usłyszeć... tego jak nadchodzą, skradając się do swoich ofiar. Wyszeptał:

– Bo one tu wrócą, chcesz tego?

Nie odpowiedziała, odpuściła, rozklejając się jeszcze bardziej. Pomógł jej z opatrunkiem, zatamował krwawienie, założył bandaż i zabezpieczył ciało. Przez cały czas patrzyła na niego, podglądała co robił. Nie mogła tego pojąć, nadal do niej nie docierało, że już nigdy więcej niczego nie weźmie do swojej prawej dłoni. Choć jeszcze ją wyczuwała, to sygnał, który do niej docierał, był coraz słabszy. W końcu zanikł na dobre, wtedy dopiero to pojęła... że jest bez jednej dłoni. Pozostał jej już tylko badył, jak go określiła, sterczący kikut. Pień, który utracił koronę. Machała nim na przemian w górę i w dół myśląc, że odpadnie. Najpierw lekko, potem mocniej. Minęły godziny zanim się ocknęła, mdlejąc wcześniej nieświadomie. Patrzył na nią przez cały ten czas, choć prawie nie było jej widać.

– Masz, zjedz trochę – zaproponował.

Nie odtrąciła go tym razem.

– Co to jest?

– Powąchaj – oblizał usta.

– Pachnie solą i karmelem – odparła uszczęśliwiona.

– Tak właśnie on pachnie...

Spojrzała na niego.

– On? Kim jest on i jak zachował ten wspaniały aromat?

Mężczyzna się zaśmiał.

– Baton! To tylko mały batonik, z którego ulatuje aromat...

Zrozumiała wreszcie.

– Mogę go ugryźć?

– Tak, po to ci go podsunąłem. Spróbuj.

Ugryzła kawałek, który długo przeżuwała.

– Smakuje niczym roztopiona krowka, kiedy przegryzasz orzeszek, to zmienia się w istne niebo w gębie – podkreśliła.

Spodobało mu się, to określenie.

– Widzę, że humor powrócił? – zapytał.

– Wrócił, kto powrócił? Kim ty właściwie jesteś? – jej oczy zrobiły się jakby nieobecne.

Amnezja była chwilowa, to stres, który harcował po jej umyśle, powodując zachwianie równowagi. Doszła do siebie. Odpuściła mu i sobie także, pogodziła się z tym. Łezka w jej oku pozostała, kręciła się w nim nieustannie. Wygrzebali spod ziemi zapasy, posortowali je i podzielili. Były tam oprócz batonów i wody w butelkach, także inne pokarmy oraz napoje. Dziewczyna turlała

je niezdarnie po mocno naelektryzowanej wykładzinie, trącając ledwo owiniętym kikutem. Nie mógł na to patrzeć. Przebierali i przeglądali wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Było tam dosłownie wszystko... zapasy na isticie nuklearne czasy, jak podśpiewywał pod nosem, fałszując niemiłosiernie. Ona w skupieniu próbowała nauczyć się swojej nowej roli. Początki zawsze są trudne, wiedziała o tym doskonale, walcząc dzielnie. Puszki z mięsem, duże i ciężkie. Potężne konserwy, jakby dla całego pułku. Fasola z boczkiem, warzywa w słoikach, rozmaite i kolorowe. Chleb paczkowany, wojskowe suchary. Mnóstwo zup w proszku, galaretek i wszelakich napojów energetycznych. Cały segment zgrzewek z wodą. Źródłana z gazem i bez, przeczytała po chwili. Słodycze, czekolada w dużych tabliczkach... wszystko jakby różne od codziennego, jakby nie takie same.

Jedli łączywie, kolejne kęsy resztkami spływały im po brodzie. Galareta, która szczelnie oklejała mięso, umykała uwadze, kiedy je pakowali do ust. Każdy kęs był inny, każdy następny, coraz mniej... bolesny. Furgoczące z głodu brzuchy, dawno już zamilkły. Zagrzmiały raz jeszcze, głośno i wyraźnie. Bek za bekiem, beknięcia które oznajmiały całą prawdę. Szczęśliwi, padli z wycieńczenia. W rozleniwieniu, zapominając o uwadze. Ciemność i wyobcowanie, które czaiło się nieopodal, było daleko stąd, myśleli. Nowe i nieznane, skradało się w ich stronę. Skuleni, zgięci w pół, okryci ciepłym kocem i narzutą z nierealnych marzeń, koili niechciane troski, drzemiąc i chrapiąc donośnie...

Więcej niż jeden, mniej niż kilka, może równo? Śnili tak samo, ale o czym innym. Kręcili się, zmieniając pozycje co rusz. Po kolejnej, gwałtownej zmianie położenia, unieśli bezwiednie ciała. Ten sen był bez wątpienia niespokojnym marszem w kierunku, którego od dawna już nie było. Podążali tam, gdzie nicość zawładnęła wszystkim, umysłami ludzi także. Drażyli otwór w skale, za którą była już tylko przepaść. Po chwili było już po wszystkim. Pospadali, ginąc błyskawicznie. Kiedy lecieli w dół, wpatrując się w swoje oczy, nie zamienili ani jednego słowa. Ani jeden dźwięk nie uszedł z nich nawet w momencie uderzenia. Cały czas wpatrzeni w swoje oczy, płakali miłością cudownego przeznaczenia. Lawina śniegu i lodu, która później stoczyła się tuż za nimi, pogrzebała ostatecznie ich wielką i niegasnącą nadzieję na ocalenie. Obudzili się, dosłownie w jednej chwili. Ocknęli, krzycząc donośnie. Potem całowała jego usta i oczy, on także pieścił wzrokiem jej spojrzenie. Przytulał i szeptał, zagryzając wargi. Szlochała niczym dzierlatka. Pragnęła się nie obudzić... On na odwrót, bał się właśnie snu, bo strach przed zaśnięciem na dobre, był nie do opisanania...

– Musimy otworzyć sejf!

– Wiem, ale zapomniałam jaki jest kod.

– Przecież mówiłaś, że pamiętasz? – irytował się.

– Bo pamiętałam, ale teraz umknęło mi to z głowy.

Machnął z niezadowolenia ręką.

– Spokojnie, skoncentruj się.

Nabrała powietrza do płuc, po czym je wypuściła.

– Przecież jestem spokojna, nie widać do cholery!?! – wydarła się.

Odskoczył, kiedy to usłyszał.

– Tak, właśnie widzę... Spróbuj sobie przypomnieć.

Próbowała. Przechylała na bok głowę.

– Siedemnaście, trzydzieści pięć, może czterdzieści pięć? – gderała. – A może to nie było siedemnaście, tylko siedemdziesiąt dwa? Cholera, nic nie pasuje, wszystko mi się myli...

Jej nerwowość, udzieliła mu się natychmiast.

– Odpręż się, pomasuj ci plecy. Potem kark i głowę, skronie też, może wtedy coś ci wreszcie zaskoczy...

– Nic z tego, zostaw – zaczęła płakać.

Próbował ją uspokoić.

– Nie otworzymy go?

– Niestety, chyba nie...

Myśli kłębiły mu się w głowie, jak chmury na niebie.

– Cholera, bez tego nie mamy żadnych szans! – wykrzyknął.

Wystraszył ją tym.

– My ich przecież nie mieliśmy od początku... Przestań wreszcie oszukiwać samego siebie. Nawet na nią nie spojrział.

– Psia krew, zrób coś!? Otwórz go jakoś!

Próbowała...

– Nie potrafię, wybacz...

Mocowali się bardzo długo z tym metalowym tworem ludzkiej mądrości i głupoty jednocześnie. Opuścili dopiero wtedy, gdy siły odmówiły posłuszeństwa. Skuleni, usiedli na ziemi. Wściekli, nasłuchiwali niebezpieczeństw. Co jakiś czas przemykało w pobliżu coś, o czym nie chcieli rozmawiać. Nie wiedzieli, czym to było i jakie miało zamiary? Nie chcieli zgadywać, a sprawdzać nie zamierzali na pewno. Czekali na swoją kolej, albo przeżyją jeszcze godzinę, albo nie. Nie od nich to zależało. Ciągła gonitwa, uciezka i zabawa w chowanego. Cisza, co głosem gromu do nich przemawiała i huk, który był w ich głowach bezustannie. Nie odnajdziemy tych żołnierzy, bo oni nie żyją, pomyślał. Jeśli się mylił, to wcześniej czy później na nich natrafią. Czy nie będzie za późno? Możliwe, ale niczego więcej nie potrafili uczynić. Nie wiedzieli ile godzin, czy dni przeleżeli w tym obszernym apartamencie? Spali i jedli tam, załatwiali potrzebę i wsłuchiwali się w kojącą zmysły ciszę. Kiedy sikał, to skupiony był tylko na jednym. Osłaniał szczerze przyrodzenie, tak jakby ktoś miał je mu wyszarpnąć. Bał się tego, nie zniósłby takiego bólu. Przez jakiś czas ukrywali się pod podłogą, potem wyszli na zewnątrz. Przemieszczali się po całym salonie. Korzystali z łóżka i z innych mebli. Rozgościli się całkowicie. Prawie przy tym nie rozmawiali, kiedy jednak już zaczynali, to nie potrafili skończyć. Bali się, że może to być ich ostatnia rozmowa...

Dziewczyna czuła się coraz gorzej, bez wątpienia cierpiała na chorobę popromienną, która późno dała objawy. Była jednak nadzieja, malutka szansa... Skóra schodziła z jej twarzy i z rąk, krwawienie co jakiś czas przybierało na sile. Raz straciła nawet we śnie przytomność. Myślał, że jej już nie odzyska. Powróciła. Na jawie częste zawroty głowy przyprawiały ją o wisielczy humor. Czasami mam wrażenie, że rozpadam się na maluteńkie kawałki, powtarzała mu. Nie odpowiadał, rozumiejąc ją znakomicie. Cisza była ich oblubienicą, trwała przez większość czasu. Odgłosy zaś piętnem i ciemniejszym, który zniemacka atakował. Wtedy, gdy to robił ich umysły drżały razem z ciałem. Dygotały potwornie w rytmie narastającej wciąż agonii. Potem znowu cichły i umykały w nieznaną. Zostawali wtedy sam na sam z własnymi słabościami. Pomimo tego, że byli blisko siebie, to problemy z psychiką całkowicie ich wyobcowwały. Czasami mieli ochotę zostawić tę drugą osobę na pastwę losu i uciec gdzieś daleko, albo zginać. Umrzeć, bo śmierć wydała się być jedynym ocaleniem...

Błąkali się po tym dziwnym budynku, raz w górę innym razem w dół. Bez celu i bez opamiętania. Wieża, która skrywała w sobie tak wiele tajemnic, stała się jeszcze bardziej niedostępna. Owalna na zewnątrz, obrazem sześcianu zaskakująca od środka. Podziwiał je obie. Za ideał, który sobą prezentowały. Nie powiedział jej o tym, jeszcze nie teraz, może już nigdy nie powie. Dziesiątki pomieszczeń, które musieli sprawdzić. Wszystkie tak samo ciemne i przerażające. Generatory mocy wysiadły już na dobre, na amen zgasły w jednej chwili, skojarzył. Awaryjny, działał w wybranych miejscach, których było kilka w tym potężnym kompleksie. Cały czas obcowali z ciszą, która rozprawiała z nimi niczym zgnuśniała kostucha, obdarowując niespełnionymi obietnicami. Ściany ciągle wirowały, podłoga namacana stopami, falowała wraz z każdym kolejnym krokiem. Bali się jak cholera, nie mówili już o tym, ale doskonale to wyczuwali. Cały czas pamiętali o łączności, przypominał jej o parszywym haśle. Nie było minuty, żeby o nim nie myślała. Czasami mijali jakiś ludzi opartych o ściany i leżących na podłodze. Niektórzy z nich jeszcze żyli. Ciężko oddychając, mamrotali przyciszonym głosem. Ciężko było ich zrozumieć, zatrzymać się i pomóc. Słyszeli straszne odgłosy, agresja narosła błyskawicznie. Ten drastyczny dźwięk towarzyszył im w dalszej wędrówce. Na każdym piętrze był ktoś, wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo. Umykali stamtąd bezszelestnie. Ile jeszcze i dokąd, dumał i rozprawiał. Trzy piętra do dachu, dwa i potem znów odwrót? I ten nienamacalny telefon, jedyne źródło kontaktu z

nieistniejącym już światem...

- Zostaw mnie tutaj! – poddała się.
- Nie, idziemy dalej...
- Ja nie idę – oznajmiła zrezygnowana.
- Idziesz!
- Zostaję.

– Nie możesz – prosił ją o to.

Złapała go za głowę, przytrzymała.

– Spieprzaj, rozumiesz!?

– I tak się mnie nie pozbędziesz – wyrwał jej się.

– Chcę tu zostać! Posłuchaj... znów je słyszę, czuję jak nadchodzą. Tym razem już się nie obronimy, zarzną nas...

Uderzyły go te słowa, zmusiły do refleksji.

– Nie, uciekniemy im... Na dwadzieścia dwa kroki, oddalimy się jak zwykle...

Zamilkła. Zapytała.

– Na ile?

– Co na ile?

Zobaczył wtedy jej uśmiech.

– Mam, gnojku. Dzięki tobie wreszcie to sobie uświadomiłam...

Był zdezorientowany nie tylko katastroficznym obrazem tego miejsca.

– Co takiego? – dopytywał.

– Wracamy, później ci wszystko wytłumaczę. Po drodze.

Biegła ile sił, ledwo mógł za nią nadążyć. Odzyskała zdrowie, pomyślał. Zakręty nie były już tak niebezpieczne, gnali do utraty tchu. Mężczyzna starał się spowolnić dziewczynę, ale ta nie ustępowała. Zwolnijmy, musisz na siebie uważać, powtarzał co chwilę. Nie usłuchała, nie chciała ponownie nawalić. Nie chciała go znowu zawieść. Poręcze, długie i jakby zagniecione na końcach, które łapali i puszczały po chwili... Schody, ile razy już po nich maszerowali, ile razy zbiegali nimi w dół? Znowu szmery... Znowu jakieś hałasy... Znowu ktoś umierał, żeby żyć mógł ktoś. Potem cisza... długa, trwająca kilkanaście sekund, ale w ich sytuacji, była to wieczność. Szczękanie zębami, które usłyszeli obok. Jakiś przygarbiony tors, częściowo wystający na granicy światła i cienia, który obserwował ich tajemniczo. Gdzie była głowa? O czym myślał, zastanawiali się przez moment. Wycofał się, schował od razu, ale nadal tam był. Zrezygnowali z tej drogi, wybrali inną. Inna droga, inne schody, szyby niedziałających wind i kanały wentylacyjne. Ile jeszcze, żeby ocaleć, ile żeby nie zginać? Umieram, krzyknęła. Zasłonił jej usta. Cicho, bo nas usłyszą, powiedział. Jakby nie dosłyszała, albo nie chciała pojąć. I znów przed siebie... i znów tam i z powrotem. Kolejne piętro, takie jak poprzednie, identycznie ciemne, niedostępne. Nijakie, gdzie śmierć czaiła się w każdym zaułku. Weszli tam, penetrując rękoma otoczenie. Wzrok nie działał, jakby katarakta ich oślepiła. Słuchu nie byli pewni, echo ciszy rzadko niosło ze sobą jakieś odgłosy. Cholerny zapach, smród rozkładających się ludzkich ciał. I ten delikatny głosik, co przyszedł prawie niezauważenie... Cicho, słyszysz, zagadnęła. Nie, odparł. Potem ponowiła pytanie, wreszcie potwierdził. W którą stronę?, zagadnęła. Chyba w lewo. Nie, stój! W prawo, poprawił się. Na pewno? Tak. Tak mi się wydają... Za dużo było dotąd przypadku, za dużo niejasności. Biegąc w stronę sejfu, dostrzegli po drodze małe dziecko. Przygniecione stertą kartonów, schowane tam przez rodziców, oczekiwało na lepsze czasy. Chciała do niego podejść, ale zabronił. Wyrwała mu się, podbiegając do dziewczynki.

- Zostaw ją, musimy uciekać! – krzyczał.
 - Nie zostawię, zaczekaj!
 - Co chcesz osiągnąć? – złościł się.
 - Nie wiem, chcę jej pomóc – odparła bez namysłu.
- Zatrzymał się i zapytał.
- Jej?
 - Tak, to dziewczynka.

- Nie możemy jej pomóc i tak zginie. Musimy wiać! – próbował odciągnąć ją od malej.
- To sobie wiedz, ja zostaję...
- Z nią? – upewniał się.
- Tak, nie pozwolę, żeby umarła w samotności!

Szukał usprawiedliwienia dla jej postępowania. Dotarło to do niego dopiero po chwili.

- A ty? – zagadnął, podtrzymując się popękanej ściany.
- Ja już nie żyję. Zobacz, skóra schodzi mi z całego ciała. Czego jeszcze chcesz?

Olśniło go.

- Chcę pomóc.
- Tak? Ciekawe jak? – zadrwiła. – Nie mówiłam ci dotąd, ale chyba jestem w ciąży...

Jakby oberwał obuchem w łeb.

- Skąd wiesz? – wymamrotał.
- Kobiety to wyczuwają...
- Żartujesz, prawda? – uśmiechał się prowokująco.
- Nie i wiem, że ono nigdy się nie narodzi.
- Co ty wygadujesz!? – nosiło go, rzucało na boki, ręce co rusz unosił do góry. Drapał

długimi paznokciami o ścianę.

Stała w miejscu, nie mogąc się nadziwić jego niepojętym, samczym reakcją. To była radość, zastanawiała się. To tak reagowali mężczyźni, kiedy mówiło im się, że zostaną ojcami?

– To, że będziesz ojcem, że mógłbyś nim zostać, gdyby nam się udało – poprawiła się. – Ale mi już nic się nie uda i boli mnie to jak cholera...

Zatkało go. Nie wiedział, co powiedzieć i co zrobić. Jak to w ogóle było możliwe, przecież oni tylko... Stało się i nic tego nie zmieni, a może się myliła? Może to jej pobudzona wyobraźnia płatała figle, wodząc go za nos? Ale po co? Drżenie podłóg, które po chwili ucichło. Tak jakby ktoś włączył na chwilę młot pneumatyczny. Potem znowu wrzaski i wystrzały... Następnie tętent kroków wielu nóg naraz. Coraz więcej i więcej, wszystko błyskawicznie i coraz szybciej i w ich kierunku. Pełzanie po ścianie, które zaraz zniknęło, pojawiło się kilka metrów dalej. Potem cisza. Chwilę potem, głośnie ciamkanie, jakby bezzębny staruszek pałaszował rozmoczoną w mleku piętę chleba... Oszaleję, wiesz?, rzucił w jej kierunku. Bierz dzieciaka, szybko i w nogi. Zaraz tu będą! Nie odpowiedziała, podeszła bliżej. Teraz znakomicie widziała jej cudowne, jaskrawe oczy. Nie miały żadnego konkretnego koloru, ale były śliczne. Było w nich wszystko, od próśb i płaczu po uwielbienie i zakochanie... Objęła ją w pól, przytuliła i już nie puściła. Pociągnął je wtedy za sobą, umknęli stamtąd w ostatniej chwili...

Niewinność niczym nieskazona, jak doskonałość. Marzenie wielu, oni już o tym zapomnieli. Nie było już dawnego świata, a ten, który pozostał takim mianem nazywać się nie powinien. Opowiadała jej bajki, mówiła pięknym głosem, wręcz śpiewała. Nic, mała za nic nie mogła wydobyć z siebie głosu. Może nie chciała, może nie mogła, może wreszcie nie potrafiła, nie chcąc jednocześnie? Schowali się w jednej z toalet. Kilkanaście kabin, wszystkie pootwierane i wyciemnione. To nie farba zalegała na ścianach, tylko fekalia. Smród rozsmarowanego na wielu metrach sześciennych obrzydliwego gówna, rozsadał czaszki. Rozchodził się w nich, niszczył powonienie. Zaczęli wymiotować, odwracali głowy. Zajrzeli do jednej z kabin, niczego nie było widać. Wodził ręką po ścianie, szukając włącznika. Nie znalazł. Dopiero po chwili namacał toaletę, dalej następną, coś mu się wtedy przykleiło do dłoni. Podsunął palce bliżej głowy, odrzuciło go natychmiast. Zobaczył zarys ubikacji i pisuarów. W kącie stał odkurzacz, dalej wiadro i obok niego szczotka. Zahaczył o nią nogą. Usłyszał cichy, blaszany stukot, który go unieruchomił. Zatrzymał w miejscu. Usłyszał własny oddech. Po chwili już tam były...

- Musimy ją zostawić, spowalnia nas – nalegał.
- Odwróciła się w jego kierunku, wyszczerzając kły, tak to sobie wyobraził.
- Oszalałeś, czy może chcesz być taki, jak tamte?
- O czym ty mówisz?
- O tobie, rusz ją, to wbiję ci to w szyję – zagroziła sporym nożem.
- Odsunął się od niej.

- Schowaj to, oni zraz tu będą. Nie zdążymy, rozumiesz?
- To idź, do cholery!
- Startł z malej większość odchodów.
- Bez ciebie nie idę – zaparł się.
- Ona od teraz jest częścią mnie, rozumiesz? Chcesz mi urznąć i drugą rękę?
- Wytoczyła najcięższą artylerię.
- Dlaczego mi to robisz? – próbował wyczyścić rękę.
- Robię to dla naszego dziecka, niech mi wybaczy, że się nigdy nie narodzi – zaszlochała.
- Dotknął jej ramienia.
- Myślisz, że ją uratujesz? Wydaje ci się, że mała zastąpi ci twoje dziecko?
- Rzuciła się na niego.
- Niczego nie rozumiesz!
- Odskokzył.
- Myślisz, że zabicie kogoś jest proste?
- Naprężyła się, stanęła naprzeciwko.
- Tak, do cholery! Zabiłam już kiedyś kogoś i wiem jak to jest...
- Zabiłaś, bredzisz?
- Tak... zarznęłam własnego ojca i z przyjemnością zrobiłabym to jeszcze raz!
- Nie uwierzył.
- Majaczysz?
- Mówię prawdę. Nie chciałam, żebyś o tym wiedział.
- Wycofał się, zapanowała cisza.
- Dlaczego, co takiego zrobił? – rzucił po chwili.
- Nie mogła tego z siebie wydusić.
- Gwałcił mnie wiele razy, bił i upokarzał.
- Chryste! – krzyknął.
- Jego twarz jakby skamieniała.
- Zabił moją mamę, rozumiesz!? Odebrał mi najważniejszą osobę...

Miał zaledwie kilka sekund, żeby podjąć działanie. Kiedy stwory nocy naznaczone purpurą krwi wkroczyły do zaciemnionych szaleatów, ich już tam nie było. Niszczyły wszystko wokół. Rozbijane pisuary i zlewy strzelały w ich łapach niczym kruche zapałki. Były głodne, wściekłe, zachowywały się nienormalnie. Może byli to ludzie, a może było to coś innego, zastanawiał się mężczyzna. Nie chcieliby już tego więcej spotkać. Zbiegali na dół po śliskich schodach. On pierwszy, na rękach niósł dziewczynkę. Ona tuż za nim, szczęśliwa, że go do tego przekonała. Zadziałało, zawsze działa, pomyślała. Jemu wydawało się wtedy, że niesie własne dziecko. Zapomniał. Zagubił się na moment. Zobaczył własną żonę. Trzymała się jego pleców, kiedy krążyli po stromych zboczach. Wyczuwał ją teraz doskonale, jej oddech na plecach i głos tuż obok. Zapach i smak. Ich dziecko, które znosił, bo zasłabło ze zmęczenia... nie, to nie mogła być prawda, gdzie ona teraz jest? Gdzie jesteś kochanie, zagadnął, po czym zamilkł. Półpiętra, na każdym taka sama ilość schodów. Piętra i dalej, byle przed siebie, byle stamtąd uciec... Cisza, która pochłaniała spadające zewsząd na ziemię, umarłe ćmy. One także wyginęły. Muchy i inne robactwo, prawie natychmiast. Tylko karaluchy żyły i mrówki, na które natknął się pod podłogą. Przystanęli, ustawili uszu. Wsłuchiwali się w otoczenie, ale bez skutku. Dokąd teraz? Zdecydowali się, ale ona ich powstrzymała. Choć nic nie mówiła, słuch miała idealny. Usłyszała coś, czego oni nie byli w stanie wyłapać. Wskazała im drogę. W blasku markotnego światła wpadającego przez zniszczone okiennice dostrzegli jej poparzony język. Wysuwała go do przodu niczym wąż, nie badała nim jednak okolicy, tylko chłodziła. Cały był w pęcherzach i bąblach, czerwone zacieki i częściowo zdarta skóra, wyglądały okropnie. Poza tym dziewczynka była wychudzona, brudna i odwodniona. Napoili ją, ale tylko odrobinę, żeby nie dostała wstrząsu. Gładził jej policzki, które szybko się zarumieniły. Uśmiechnęła się do niego, Boże, jaka ona była śliczna, pomyślał. Niczym anioł z nieba, który zagubił się samemu Panu Bogu. Wpadł tylko na chwilę przez nieuwagę prosto do piekielnego garnka. Usmolił się, ale strząsając popiół z piór, uniósł do góry głowę. Była namiastką

czystego dobra, jego cząstką absolutnie najważniejszą, nie skażoną, aż do wybuchu... Jeżeli Bóg kiedykolwiek istniał, to właśnie teraz i przez to dziecko przemawiał prosto do nich. Mówił im, żeby wierzyli, bo tylko wtedy mogą się jeszcze z Nim połączyć. Czynić dobro, nie prosząc o nic w zamian, to cud doskonałości sam w sobie. Poświęcając bezinteresownie życie dla innych, to oznaka człowieczeństwa, pomyślał. Ona teraz mówiła Jego głosem, a oni nie mogli się tej woli przeciwstawić...

Ciężko dyszała i kasłała, zasłaniając usta. Opadła z sił, zgięła się w pół, po czym naprężyła jeszcze mocniej. Niczym w ataku epilepsji, niczym w szale padaczkowym. Próbował ją uspokoić, ale nie mógł, nie potrafił. Tak mocno ścisnęła dziecko, że o mało co go nie udusiła. Dziewczynka dławiła się własną śliną, wypluła wszystko. Uśmiechała się dyskretnie, było jej z nimi dobrze. Kobieta długo wirowała po klepisku pokruszonych stropów i podłóg, aż upadła. Uderzyła plecami o zimny grunt, zapalczywie ją przed tym chroniąc. Była jej małą dziewczynką... taką samą jak ona kiedyś. Była dosłownie nią. Potem próbowała z nią rozmawiać, ale bez skutku. Wypracowały sobie własny język migowy, szybko doszły do porozumienia. Jakby się znały, jakby wiedziały o sobie niemal wszystko. Mężczyzna doskonale to dostrzegał. Znowu im uciekli, cieszył się, znowu... Ile jeszcze... czy będą mieli tyle szczęścia, co dotychczas? Labirynty były dla nich łatwym szlakiem. Bawili się z nimi w kotka i myszkę. Wiedzieli, że stwory w końcu także się tego nauczą. Poznają wtedy drogę, która prowadzi prosto do ludzkich serc...

– Opatrzyłeś małą? – zapytała, tuląc ją do piersi.

– Tak, zjadła też odrobinę.

– Dlaczego tylko tyle?

– Ma zniszczone od środka usta, nie może jeść – odrzekł.

– Wiem, ale musi jeść. Podałeś jej papkę?

– Tak, płakała z bólu, kiedy wlewałem ją prosto do gardła.

Kobieta skrzywiła się.

– Przeżyje?

– Nie wiem.

– A wy, wyprowadzisz ją stąd? – płakała.

– Nie wiem, bez telefonu na pewno nie. Poza tym razem stąd odlecimy! – wykrzyknął.

Chciała w to wierzyć.

– Miło, że tak mówisz, ale sam w to nie wierzysz. Nie zaprzeczaj.

Nie zaprzeczył, wiedział, że miała rację, ale ciągle miał w pamięci jej wcześniejsze słowa...

A co z dzieckiem?, zapytał wtedy. Poroniłam, odparła. Jesteś pewna? Tak, i dobrze, że tak się stało. Boże, co ja wygaduję... Jesteś pewna, powtórzył pytanie. Jestem, krwawię bez ustanku... Ale może się mylisz?, coś nie dawało mu spokoju. Nie, widziałam je... Kogo?, nie zrozumiał jej słów.

Widziałam martwy płód, odrzekła.

Znowu wbiła mu gwóźdź prosto w serce. Kiedy kucając myślała, że to tylko wydzieliną, wyskoczyło. Patrzyła na nie i za nic nie mogła oderwać smutnego wzroku. Wzięła je do ręki, ten zlepek miłości, zatopiony w gęstym śluzie. Nie widziała główki, ale ją sobie wyobraziła. Przemówiła do niego matczynym głosem. Zapłakała i przytuliła do piersi, jakby karmiąc. Chciała, by żyło, pragnęła, by i do niej zapłakało. Niestety, pochlapała się tylko własną krwią, która z jej rąk spływała obficie...

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, dlaczego ciągle coś przede mną ukrywasz!? – wyżywał się na niej.

– Myślisz, że tylko ty masz z tym problem? A ja, a co ja czuję, ty cholerny gnojku!?

– Nie mów tak, przecież wiesz, że cię rozumiem.

Nie wytrzymała, złapała go za głowę.

– Powiedzieć ci, ile rozumiesz? Chcesz tego? No to masz...

– Co to jest? – pytał, kiedy mu to wręczyła.

– To jest to całe twoje rozumowanie, to jest ten twój pieprzony telefon...

O mało go nie upuścił, tak był tym przejęty.

– Jak go wydostałaś? – zatkało go, gdy mówił.

– Nie wiem, nie pamiętam – cały czas płakała.
– Jak to nie pamiętasz? – patrzył na nią, jakby chciał jej wydłubać oczy i uściskać jednocześnie.

– Byłam tam i otworzyłam, chyba...

Wahała się. On nie.

– Nieważne, dobrze, że jest. Ciekawe, czy działa?

Spojrzała na niego, jak nigdy wcześniej. Dostrzegł to.

– Obiecuj mi, że jej tu nie zostawisz – szarpała nim.

– Obiecuję – chwilę to trwało, zanim przemówił.

Jeżeliby tego nie zrobił, to siłą wyciągnęłaby te słowa z jego gardła.

– Patrz na mnie, do cholery, kiedy mówisz! Obiecuj, przyrzeknij!

Była nieugięta, takiej jej nie znał. Wystraszył się jej oblicza. Przyrzekł jej to.

– Masz moje słowo, ale mówiłem już, że odlatujemy stąd razem...

Zanosila się płaczem od dawna, teraz wybuchła nim niczym stopy dynamitu.

– Nie kpj ze mnie, proszę.

– Ocalę nas, zobaczysz.

– Może, ale raczej nie.

– Naprawdę go zabiłaś? – zmienił temat, czym ją zaskoczył.

– Tak, i swoje odsiedziałam...

– Kiblowałaś?

– Pięć lat, i był to koszmarne czas.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Gorszy od tego teraz?

Pokręciła przecząco głową, niczego więcej nie trzeba było dodawać.

Kilka godzin spokoju, zaszyli się w jakimś położonym na uboczu pokoiku. Przez jedne drzwi dotarli do następnych i kolejnych. W ostatnich był klucz, zamknęli nim zamek. Mężczyzna sprawdził klamkę, nie drgnęła nawet odrobinę. Przynajmniej nas nie zaskoczą, pomyślał. Usiedli na podłodze. Zjedli trochę suszonych owoców i otworzyli jedną puszkę z konserwą turystyczną. Pospolity aromat dopadł do ich nozdrzy. Mięso było obślizgłe. Dziewczynka patrzyła na nich, nie chciała jeść, nie mogła. Nie znała ich, ale wyczuwała, że wiele dla siebie znaczą. Widziała to w ich oczach, przez tę jedną krótką chwilę, byli rodziną. Troje zupełnie obcych sobie ludzi w obliczu największej w dziejach ludzkości tragedii, odnalazło wspólny język. Uśmiechali się do siebie, ale nie zewnątrz, nie ustami, śmiały im się oczy, radowali się od środka. Ten uśmiech był o wiele cenniejszy, wiedzieli o tym dobrze...

– Włączyłeś telefon? – zapytała, gładząc skórę dziecka.

– Tak.

– I co?

– Na razie nic...

– Cisza? – szepnęła.

– Tak – odparł.

Przełknęła ślinę, zaczerpnęła powietrze.

– Myślisz, że działa?

– Nie wiem, ale wygląda na to, że tak.

– To dlaczego nie odbiera?

– Nie wiem, może linie już nie działają? Może wszystko już wysiadło?

Znowu to zrobiła. Zaciągnęła powietrze do płuc, aż zakręciło jej się w głowie.

– Może światła tam na górze już nie ma?

– Może. Wszystko jest możliwe – odparł.

– Myślisz, że to zamach?

– Na pewno.

– Tylko tutaj, czy może gdzieś jeszcze? – podpytywała.

– Wydaje mi się, że nie tylko tutaj...

Zamarła.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo nikt nas nie ratuje... nikt, rozumiesz!?! – wykrzyknął jej prosto w twarz.

– Nie! – zasłoniła się przed nim ręką. Machnęła mu też kikutem przed oczami.

Długo zbierał się w sobie, w końcu jednak przemówił.

– Gdyby to był lokalny incydent, to już dawno temu, ktoś by nam pomógł. Ludzi już nie ma. Pozostały krwiożercze maszyny do zabijania, które pałętają się nam pod nogami.

– Wyginęli? – zagadnęła, opierając plecy o ścianę.

– Właśnie, a my? – wskazał na nich.

Spojrzeli na siebie.

– Też zginieemy! Zginieemy, prawda? – pytała.

Nie odpowiedział, bo nie był pewny. Nie znał odpowiedzi. Nikt jej zna i nie mógł znać także wcześniej, nikt poza Bogiem. Oni chyba jeszcze w Niego wierzyli, nadal mieli nadzieję, że ich ocali... Dziewczynka ciągle powtarzała Jego imię.

– Jahwe, prosimy cię, ocal nas!

– Prosimy. Ja proszę i oni także. To małe dziecko o to prosi – wtórowała jej kobieta.

– Tak, prosimy – dodał mężczyzna. – Jeśli chcesz Panie kogoś ukarać, to ukarż mnie, a im daruj życie...

Kłęczeli, modląc się do niewidocznego krzyża. Dziewczynka stała na wyprostowanych nogach. Wpatrywali Boga. Szukali czegoś, czego być może już nie było... czegoś, co mogło także nigdy wcześniej nie istnieć. Czyż nie szukali przede wszystkim siebie?

Dziewczynka, która przeszła drogę ślepców, krzyżem naznaczoną. I co dotąd nie zginęła, pomimo tego, że umarli jej najbliżsi. W szklanym mieście ukryta, w czeluściach mroku zamrożona. Trylogia, ich trójka i Trójca Przenajświętsza, wszystko bliskie i prawdą naznaczone. Nie jej jednak, nie jej... bo ona niczym niebiański głos, który wszędzie był pierwszy i całą Ziemię lotem ptaka obleciał, oznajmiał inną prawdę. Ile prawd być musi na Ziemi, żeby odnaleźć tę jedyną i ostateczną? Ile?

Wreszcie to zrozumieli...

Wyszedł na korytarz i zobaczył cień, który sunął po ścianie. Przygarbiony, poruszał się niezgrabnie. Pochylał się coraz niżej, wydawać się mogło, że za chwilę upadnie. Potężne plecy postaci, do której należał, świadczyły o czymś innym. Poruszał się w przeciwnym kierunku niż mężczyzna, którego nawet nie zauważył. Może także szukał ostatecznej drogi do wolności? Na krańcu ściany uniosł do góry rękę, w dłoni trzymał coś niezwykłego. Mężczyzna nie mógł tego wiedzieć, nie widział dokładnie. Co zatem trzymał w łapie nieznamy? Czy był dobrym człowiekiem? Wytężył wzrok, by to dostrzec, podszedł na tyle blisko, na ile mógł. I zobaczył, przeląkł się tym ostatecznie. W rękę potwora widniała ludzka głowa. Człapiąc, kręcił nią na boki. Trzymał za włosy, które pojedynczo odrywały się od skóry. Kilka metrów dalej zgubił swój łup, który upadając, roztrzaskał się o schody. Morderca zawył okrutnie, a dźwięk, który temu towarzyszył, wskrzesiłby nawet samą śmierć, gdyby tylko potrafiła umrzeć...

Powrócił do swoich, czy tamten także miał do kogo wracać? Myślał o nim jeszcze przez chwilę, potem zapomniał na zawsze. Przytulił mocno do serca obie dziewczyny. Poglądził po głowach, przeczesał delikatnie końcami palców ich łamliwe włosy, które za każdym razem pozostawały mu w dłoni. Ostatni raz go wtedy wspomniał, jego wynaturzone odbicie, które ślizgało się po tej cholernej ścianie. Zobaczył wtedy coś jeszcze. Zobaczył wtedy siebie...

Lustro, które odbija obraz. Obraca je sprytnie, wskazując odwrócenie. Oblicze człowieka także można odwrócić, by dostrzec jego przeciwieństwo. Czyż nie jest prawdą, że każdy ma w sobie to drugie, jakże często gorsze, nieludzkie oblicze? Czyż nie kryją się w nas zbrodniarze doskonali, którzy w chwili bezkarności, świadczą innym cierpienie? Czyż nie sprawia im to przyjemności? Szaleństwo, o zgrozo i prośba o wybaczenie, pomyślał, po czym jednym celnym ciosem rozbił potężne lustro...

– Nikt nie jest doskonały – powiedział.

– Co mówiłeś?

– Nikt, mój ojciec także nie był wzorem...

– A kim był? – zapytała.

Wzruszył tylko ramionami.

– Zostawił nas, kiedy byłem mały.

– Zostawił i odszedł na zawsze?

– Tak, zniknął bez śladu.

Zniknął ot tak, to niemożliwe, pomyślała. Szkoda, że mój stary nie posiadał takich umiejętności.

– A ty? – nadal go podpytywała.

– A ja wylądowałem aż w Japonii...

Zainteresował ją tym i to bardzo.

– Opowiesz mi o tym?

– Nie wiem, może innym razem – krzywił się.

Złapała go za poszarpaną, foliową osłonę, którą miał na ciele.

– Może już nie być okazji – nalegała.

Pochylił się nad nią.

– Jak ty się teraz czujesz?

– Coraz gorzej, nie pomagają mi już nawet lekarstwa, które znaleźliśmy.

– Dasz radę iść?

Zamyśliła się.

– Nie wiem, ale spróbuję, opowiedz mi proszę o swojej mamie.

Uniósł lekko głowę.

– Nie wiem, czy powinienem? – zawahał się.

– Proszę, opowiedz mi o niej. Chcę wiedzieć, kim była babcia Franka?

Zaskoczyła go tym.

– Franka? – zagadnął.

– Tak, naszego dziecka.

Pociągnął ją za ramię. Poczul przy tym śliski i zimny dotyk.

– Nadałaś mu imię? – nadal nie dowierzał.

Odwróciła się na pięcie.

– Tak, nadałam. Czyż nie zasłużył chociaż na tyle...

Wzruszył się natychmiast. Mokry od łez, ocierając czoło, rozpoczął wędrówkę po Okinawie.

Wpatrywała się w niego, milcząc i podziwiając. Jej zniszczone ciało dogorywało na jego oczach, a on ciągle je zlepił i naprawiał. Leczył ją, jak tylko potrafił niczym odżywcym balsamem.

Wymawiając ciepłe słowa, rozgrzewał zasmuconą duszę. Było jej wtedy lepiej, spokój zagościł w niej na dobre...

– Kim my właściwie jesteśmy? – zapytała.

– Maleńką częścią wielkiego świata – odparł.

– Jak małą?

– Prawie niewidoczną, ale jakże ważną...

– Dlaczego? Przecież świat bez nas istniałby dalej? – pragnęła to wiedzieć.

– Tak, to prawda, ale nie byłby już taki sam...

– A co by się w nim takiego zmieniło?

Uśmiechnął się do niej, odpowiedział.

– Wszystko... Kiedy rodzi się życie, to świat także kwitnie wraz z nim. Oboje czerpią od siebie pełnymi garściami. Kiedy człowiek odchodzi, to umiera wszystko, co wcześniej tak cudownie dojrzewało...

Wytrzeszczyła z zachwyty oczy.

– Czyli świat tak naprawdę umiera wraz z nami?

– Tak, i rodzi się na nowo jednocześnie – wyjaśnił.

– Ale jest już inny, prawda?

– Tak, jest bogatszy i uboższy w tym samym momencie...

Nadal tego nie rozumiała.

– To kim my właściwie jesteśmy?

– Chyba jednak wielką częścią, tego jakże małego świata – zakończył.

Okinawa i jej mieszkańcy ugościli ich najlepiej jak tylko potrafili. Przyjęli ciepłem, które płynęło z nieba i z ziemi. Gościnność rodowitych mieszkańców wyspy, zauroczyła ją całkowicie. Po tym jak jej mąż bez słowa ich opuścił, po tym jak cierpiała głód i nieprzychylnie spojrzenia innych, postanowiła uciec. Z małym dzieckiem było to wręcz niemożliwe, ale jednak się udało i ostatecznie pożegnała nieprzychylnie miejsce. Poznała obcokrajowca, zaprzyjaźnili się i wkrótce razem odlecieli. Wszystko działo się tak szybko, było cudem, który wypływał prosto z ich wnętrza. Rozumieli się bez słów, bo i języka nie znali, którym mówił partner. Żyli jednak w zgodzie, a harmonia ducha panowała w nich przez cały ten czas. Szybko się uczyła, on także, w końcu odnalazła spokój. Była szczęśliwa, ale czy zakochana? Tego nie wiedziała, bała się to sprawdzać tylko słowami. Wiedziała natomiast, że jeżeli byli sobie przeznaczeni, to zrozumie to w odpowiednim momencie. Kochała syna, tego była pewna, i to najmocniej na świecie...

Lata leciały, a on męźniał. Nauczył się karate i znakomicie posługiwać mieczem. Kiedy ćwiczył, świat, który go otaczał, poruszał się wraz z nim. Ten sam rytm, identyczna energia, tego go nauczono. Umysł miał wolny, szybko uczył się języków. Pamiętał, jak brnęli przez bagniste pola ryżowe, jak chłodna woda obmywała mu zmęczone stopy. Gładziła je, a wodorosty drażniły, łaskocząc szalenie. Dużo zwiedzali, zapuszczając się w najbardziej odludne miejsca wyspy, podziwiali jej cudowną przyrodę. Jej błękit, co z nieba zsuwał się, by połączyć z zielenią podłoża. I z lazurem, co błyskotliwie wypływał z głębin morskich, szukając orzeźwienia. Dotykał wtedy suchego ładu. Na przemian przepływał przez niego i zawracał. Ciepło dnia codziennego, całoroczne biesiady pod chmurami, przeplatane porą deszczową. Zmagania z tajfunami. Nauczył się tam wiele, poznał także prawdę o sobie. To wtedy doświadczył czegoś, co dotąd w nim nie istniało. Zobaczył jak straszliwe skutki dla ludności i dla przyrody tego kraju, miał atak atomowy sprzed wielu lat. To wtedy postanowił, że zostanie naukowcem. Czym, że jest nadzieja, która istnieje już tylko w marzeniach, dumał. Jest mitem marzycielstwa, jest spełnieniem, które zazwyczaj nie nadchodzi...

– Czy umieranie boli? – zapytała go.

– Nie wiem, ale jeśli tak, to ten ból jest chyba ostateczny...

– A czy boli samo życie?

– Nieustannie i bez końca – odpowiedział jej.

– Co zatem powoduje więcej cierpienia: śmierć, czy przeżywanie codzienności?

Dała mu do myślenia.

– Życie wydaje się być mocniejszą z boleści...

– Dlaczego, nie rozumiem? – zapętlila się.

– Bo powoduje umieranie umysłu...

– A śmierć, tylko rozdziera cielesne powłoki? – pytając, robiła zabawne miny.

– Jeżeli życie było dobre i prawe, jeżeli tylko przeżyliśmy je w zgodzie ze sobą i z innymi, także z naturą, to śmierć tak naprawdę w ogóle nie istnieje...

To jedno zdanie, które wypowiedział, było dla niej niczym cała Biblia.

– Jak to? – chciała wiedzieć więcej.

– Jest tylko bramą, przez którą przechodzimy, rodząc się po drodze na nowo...

– To co tak naprawdę mocniej boli? Powiedz proszę, bo oszaleję!?

Przytulił ją do siebie, po czym spojrzął w oczy. Który to już raz, nie potrafiła tego zliczyć.

– Wtedy bólu zwyczajnie już nie ma – odrzekł.

Stosy przeczytanych tomów i co z tego? Ile się wtedy nauczył, za mało jak widać, by uratować innych od tej zguby. Może tamci nie czytali, może ich niewiedza, była także jego winą? Teraz tulił do siebie kobietę, której prawie nie znał. Tak jak kiedyś ten, który zajął się jego mamą. Przytulił też dziecko, pogładził po ramieniu i po głowie. Zaplątał palce we włosach, tak jak kiedyś jego ojciec... Gdzie był, i dlaczego go wtedy zostawił? Nie potrafił mu tego wybaczyć, próbował, ale było to od niego silniejsze. Dlaczego jednak teraz o nim myślał?

Próbowała iść, ale nie mogła, co rusz opadała z sił. Chciał ją nieść, ale dokąd, pytała? Nie

wiedział co powiedzieć, nie potrafił jej także pomóc. Nie przestawała się uśmiechać. Kiedy wspięła się na kolejny stopień, może jeszcze jeden, powtarzała. Nie mógł tego słuchać. Odgłosy ucichły, od dłuższego czasu miał wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Dlaczego, czyżby wyczuwał nadchodzący koniec? Jedną ręką podpierał jej bok, drugą pilnował dziecka. Gładził małej dłoń. Odczuwały to obie, były wtedy jakby spokojniejsze. Szli bez końca, ciągnąc swoje niemrawe życie, które naznaczyło ich piętnem. Pragnęli w tym trwać, ale tylko do momentu, aż się obudzą, wyrwą z objęć drastycznego koszmaru. To nie był jednak sen. Zbliżyli się do okna, które było duże i sprawiało wrażenie witryny, przez którą patrzył kiedyś cały świat. Spoglądali przez nie i oni, łączywie poszukując wzrokiem czegoś ważnego. Za oknem nie było jednak nic. Wysokość oraz duże zachmurzenie, zdominowały na szaro obraz pięknego niegdyś nieba. Ziemia nie była już ani czarna, ani nawet zielona, jej już w ogóle nie było... Osnuta mgłą i zatopiona w kwaśnym deszczu, dogorywała, płacząc ludzkimi łzami niemiłosiernie. Oni także płakali wraz z nią, nie potrafiąc przestać...

- Dlaczego krzywda zdominowała świat?
- Bo ludzie tego chcą...
- Chcą tego? Jak to?
- Krzywda o wiele lepiej się sprzedaje...
- Sprzedaje się? To można na tym zarobić?
- Tak, niestety. I to nawet bardzo dużo...
- Jak dużo?
- Tyle, że wystarczy do tego, aby później zapomnieć...

Na ile można wycenić życie człowieka? Na ile, by je unicestwić? Cena była wyjątkowo niska, zaszokowało ją to od razu. Patrzyła w pustą przestrzeń, szukając punktu oparcia. Nie znalazła go, nie mogła się także unieść. Nie miała skrzydeł, nie była ptakiem. Ich też niestety nie zobaczyła, zdechły w większości prawie natychmiast. Pozostałe odchodziły powoli, pomału ruszając swoimi zakrzywionymi do wewnątrz skrzydłami. Robiły to na oczach potomstwa, razem z nimi. Płakały wtedy tak jak ludzie, ich łzy, były łzami całego ptasiego świata. Usłyszała wibracje w jego kieszeni, wydawało jej się, że słyszy radio. Jakieś szumy, niewyraźne ludzkie głosy, czym one były? Czy to nie jej umysł w chwili zwątpienia, samoistnie podsuwał takie właśnie wyuzdane myśli? Nie, niemożliwe bym się myliła, pomyślała, słysząc to ponownie. To telefon satelitarny głęboko wsunięty w najdłuższą z jego kieszeni, odezwał się do nich swoim wyjątkowym głosem. Najprawdziwszym, bo ludzkim, pomyślała. Za nim jednak usłyszała jego niezwykle życiodajne tony, to z jej ust wypłynęły inne, jakże wzruszające i przy tym ciepłe słowa. Potem zapytała go jeszcze, jakby nigdy nic:

- Wiesz, czym jest miłość?
- Zaskoczyła go tym pytaniem.
- Nie, chyba niestety tego nie wiem.
 - Jak to, przecież kochałeś swoją żonę?
 - Tak, ale teraz widzę to zupełnie inaczej – odparł.
 - Jak to? – mówiąc to, okazała mu więcej czułości niż poprzednio.
 - W tamtych czasach miłość była górnolotnym określeniem. Wtedy wszyscy się kochali,

nadużywając tego terminu...

- W tych lepszych czasach? – upewniała się jeszcze.

Uśmiechnął się zdawkowo pod nosem, po czym oznajmił:

- Teraz już nie potrafię tego stwierdzić, czy one na pewno były lepsze...

Nie mogła go rozszyfrować, ten jego lakoniczny wyraz twarzy niewiele jej przy tym wyjaśniał.

- Mocno nadużywali, wiem to, także to teraz zrozumiałam – odstoniła się w jednej chwili. –

A jaka ona jest, jak wygląda naprawdę?

Odpowiedział prawie niezauważenie, tak, że czytała niemal z ruchu jego ust.

- Jest niewidoczna w słowach, za to wyczuwalna w dotyku...

Tak dobrze znała jego myśli, tak wspañiale przy tym uzupełniał jej zdania, które

wyskakiwały na świat i brnęły niedokończone gdzieś przed siebie, utykając po chwili. On je tylko dopełniał, wygładzał, teraz to ona pokazała mu całą prawdę. Mogła mu się wreszcie zrewanżować. Była wtedy szczęśliwa, radosna i choć igrała z kostuchą, która wkroczyła na jej teren, nie zważała na to. Chciała być jak najdłużej z nimi, choćby jeszcze tylko kilka sekund...

Zasłabła, znowu upadła, musieli przez to zwolnić. Dziecko płakało, usłyszawszy nieznaną mu ruchliwość w pobliżu i syczące odgłosy. Skryło się tuż za kuchennym aneksem. Ile jeszcze apartamentów, ile pięter do nicości? Ile drogi do rajów, do piekła, czym to było, czy też i nie? Te trwogą przesiąknięte dźwięki, którymi bombardowano ich umysły bez przerwy... Potem cisza, która łagodziła, ale tylko przez chwilę. Czy one aby na pewno istniały? I ten głos, który z radia do nich dopływał, on chyba był prawdziwy? Słyszała go jakby przez mgłę niczym odgłosy walki, piskiem mordowanych przerywane. Złapała go za rękę, ścisnęła, aż paznokcie wbiły się w jego skórę.

– Skąd się biorą wojny? – wydusiła z siebie.

– Od ludzi, to tylko biznes.

– Biznes? Jak to?

Zastanawiał się jak to ująć, wszak nie było to proste.

– To bomby, które trzeba na kogoś zrzucić, żeby można było wyprodukować nowe...

– Nie wierzę! A ludzie? Co z nimi, co z tymi, którzy przez to giną?

– Nie liczą się jednostki, nie liczą się też ludzie, nic się nie liczy – dodał.

Wizja totalnej klęski zawisła nad nią na dobre.

– Coś jednak musi być, skoro tak właśnie jest?

– Są wyjątki jak widać, a to jest jeden z nich. Czasami odpowiedzi nie sposób odnaleźć...

– Może wystarczyłoby zaledwie zlikwidować pieniądze? – zaproponowała.

Przez chwilę mu to nawet pasowało.

– Nie sędzę, tego szaleństwa nic już nie powstrzyma...

Nic nie mogło jej już pomóc, w końcu do niego dotarło. Będzie musiał ją tu zostawić, czy podola zadaniu? Myślni uciekał od trudnej decyzji, która była tylko kwestią czasu. Z dużej wysokości obrazy okolicy były nieczytelne, zeszli więc niżej. Ona o to poprosiła. Chciała coś jeszcze ujrzeć, ostatni raz zobaczyć coś z tamtego świata, który był jej bliski i jednocześnie daleki. Siódme piętro, może ósme, nie byli pewni? Dalej korytarzem w lewo i za ostatnim aneksem na wprost. Kilka drzwi od sąsiednich apartamentów z klamkami powleczonymi chromem. Wcześniej jakiś segment, obok toalety, dalej biuro. Obszerne, nowoczesnie urządzone. Włoskie lampy na biurku, powyginane w esy-floresy tworzyły ciekawe rozwiązanie tego architektonicznego tworu i geniuszu nowej myśli. Tuż za tym wszystkim, było oczekiwane przez nich okno, zasłonięte, okryte żaluzjami i roletą. Skryte przed wszystkimi, jakby odizolowane. Mężczyzna szeroko je otworzył. Najpierw uchylił w bok, spodziewając się niespodzianek, których nie było. Odetchnął, uspokojony wynurzył na zewnątrz rozczochraną głowę. Był bez maski, już dawno temu postanowił ją zdjąć. Chciał poczuć powietrze, ona też tego chciała. Wystawił ją półprzymkniętą poza granicę parapetu, uniósł i podtrzymał. Mocny wiatr przeszył jej skronie. Otworzyła oczy, potem także usta. Zaczerpnęła powietrze, które wywołało kaszel. Dusila się, a on cierpliwie na to patrzył. Dziewczynka pomagała mu utrzymać kobietę w pionie, robiła co mogła. Swoimi małutkimi rączkami dźwigała ciężar całego swojego życia. Kim jesteś, ty, co życie moje zakończyłeś?, zawołała kobieta. Jej głos poszybował w nieznaną. Patrząc przed siebie, zobaczyła stary szpital onkologiczny. Z grubymi murami z czerwonej cegły odstraszał pustką i przeznaczeniem. Za nim kościół, który wylaniał się z błękitu światła. Oddalony, wysoko wznosił się ku niebu. Poszukiwał Go, głosem setek skrytych w nim istnień ludzkich, pukając do bram przeznaczenia. Wrota prawdy wciąż jednak były dla nich niedostępne...

– Czy tam dokąd zmierzam będę już wolna? – wyszeptwała.

– Tak, tam już na pewno tak – odparł ze łzami w oczach.

– Dlaczego tutaj nie możemy tacy właśnie być?

– Bo to niemożliwe...

Naprzemiennie otwierała i zamykała usta, tak jakby chciała coś jeszcze powiedzieć.

Okrutnie przy tym cierpiała.

– Ale wystarczyłoby, żebyśmy byli chociaż odrobinę lepsi, wtedy i świat byłby lepszy...

– Wystarczyłoby, ale tak nie będzie – gładził ją po czole.

Nie mogła się z tym pogodzić. Nie chciała też rozstawać.

– Dlaczego, pytam, przecież to takie proste?

– Właśnie dlatego. Czasami to, co jest w zasięgu wzroku, staje się dla nas całkowicie niewidoczne – podpowiedział.

Obdzieliła go swoim ostatnim uśmiechem.

– Ludzie nie lubią więc wolności?

– Lubią, ale tylko o niej gadać.

Skinęła głową.

– Pamiętaj, co mi obiecałeś.

– Pamiętam, o nic się nie martw...

Nie mógł patrzeć jak umiera, nie potrafił się z tym pogodzić. Widział jak gasła w oczach, jak dzielnie z tym walczyła, jak poddając się przeznaczeniu, godnie żegnała. Ból, który był w niej przez cały ten czas, teraz jakby wyparował. Odszedł, tak jak i ona... razem z nią, na zawsze. Był z nią wtedy, trzymał za rękę, którą mocno ścisnęła. Potem uścisk zelżał, odeszła bez zapowiedzi. Ostatnie, przekrwione spojrzenie, ostatnie słowo, które wypowiedziała, ostatni dźwięk, który wydobył się z jej mocno spierzchniętych ust, były skierowane właśnie do niego. Potem nie było już nic. Jeszcze bardziej go to pochłonęło, pożarło swoją wszechobecną ciemnością. Dopiero teraz dostrzegł jak bardzo była czarna, jaka nieodgadniona i niebezpieczna. Ostatnie chwile życia, potem przejście, które z ułamka sekundy uczyniło wieczność i wreszcie ostateczne wybawienie. Odeszła w spokoju, wyczuł to, kiedy go puściła. Była teraz w lepszym świecie, może nawet patrzyła na niego z góry?

Chwilę się nad tym zastanawiał, potem zaniósł ją i położył na obszernym łóżku. Rozsunął pościel, mocno przybrudzoną i nieświeżą. Przykrył ją całą, od butów, których nie zdjął, aż po czubek głowy. Jej oczy zamknęły się same, delikatnie pogładził zaschnięte powieki. Lekko nacisnął na nie opuszkami palców. Zrozumiał, czym było życie, dostrzegł to nareszcie. Ta wielka tajemnica, była zaledwie maleńką prawdą o nich samych. Ochłonął, łzy płynęły mu po policzkach. Uśmiechał się, płacząc. Ona żyła już nie tylko w jego umyśle, była także obecna tuż obok. Teraz ta mała, była jej prawdziwym odzwierciedleniem, pomyślał. Była jej darem dla niego, ich częścią, która zatraciła się na zawsze, była też prawie niewidocznym okrucieństwem ogromnej materii całego wszechświata. Odeszli, zostawili ją tam na wieki i wspomnienia, które zgasły wraz z tą chwilą.

Przyglądał się dziewczynce, patrzył w jej oczy, które wyglądały niczym wykrobane baranie gałki, wrzucone do miski z krwią. Dotknął jej skóry, która schodziła w wielu miejscach. Zobaczył paznokcie, które krusząc się odpadały, powodując bolesne wgłębienia. Rany te nie chciały się goić. Poza tym była śliczna, jasnowłosa, delikatna zapewne... Szkoda, że te czasy nie były dla ciebie łaskawe, powiedział do niej. Nic nie odpowiedziała, uśmiechnęła się delikatnie, nie narzekając ani trochę. Ten czas, kiedy byli ze sobą wystarczył, żeby się oswoiła, teraz to on potrzebował jego odrobiny, aby to do niego dotarło. Złapał ją za rękę, nauczył języka. Jeden uścisk oznaczał tak, dwa naciśnięcia, były zaprzeczeniem. Innego wyjścia nie było, jeśli mieli ocaleć, to musieli umieć się ze sobą porozumieć. Wszystkie tragedie tego świata wynikały głównie z tego, że ktoś z kimś nie potrafił się dogadać. Nie potrafił, albo nie chciał, ale i tak decydowało o tym zawsze negatywne spojrzenie na tak zbawienny przecież kompromis. Ona od zawsze była otwarta na dialog...

Minęli następne piętro, od dłuższego czasu poruszali się bardzo ostrożnie. Cały czas sprawdzali wszystko dookoła. Często oglądali się za siebie, czasami instynktownie odwracali głowy z nadzieją, że nikogo nie zobaczą. Poruszali się ciągle przed siebie, towarzyszyła im głównie cisza, słyszeli wtedy swoje oddechy. Jego przyspieszone bicie serca, doskonale wyczuwała swoim ciałem. Była dzielna, wiedział to od początku, tak bardzo pragnęła żyć. Telefon nie odbierał, czasami tylko pojękiwał żałośnie. Może sieć już nie istniała? Może zasięg się zmniejszył? Musieli wydostać się na powietrze, musieli wyjść przed budynek. Windy nie działały, klimatyzacja też. Woda ledwo wydostawała się z kranu, na wyższych kondygnacjach nie było jej już wcale. Powietrze było suche i

nieznośne, ciężko się oddychało. Niewidoczna maska pod postacią zawiesziny z pyłu, zatykała nozdrza nieustannie. Odnalazł broń, spory karabin. Był ciężki, niewygodny, nie potrafił go obsługiwać, odłożył. Potem pistolet, ale bez magazynku, dalej inny już nabity. Zabrał go ze sobą, zabrał też miecz i trochę prowiantu. Resztę ukrył tak, żeby można było odnaleźć, żeby można było tam jeszcze powrócić. Poruszali się w gęsiego, ona trzymała się jego nogawki, potem szli już obok siebie, trzymając się za ręce. Pytał o coś cichutko, ona odpowiadała dotykiem. Spodobało mu się to, czasami pytał więc bez przyczyny. Była taka jak i ona, tylko mniejsza, znowu o niej wspomniał, a miał już tego więcej nie robić... Identycznie delikatna, subtelna w każdym calu. Znowu te szmery, które pojawiły się znikąd. Nie lubili ich, bo wskazywały problemy, nie lubili problemów, bo wtedy nie czuli się bezpiecznie. Polubili ciszę, co głucho stąpała po budynku, zabierając ze sobą tych, którzy już nie mogli... Była przy tym bezwzględna, o nich na szczęście jeszcze się nie upomniała.

Kiedy wyszli na zewnątrz, zobaczyli zgłiszczą światła. Wymknęli się bocznym wyjściem, ledwo sobie poradzili. Było prawie niewidoczne, ukryte pośród schodów, które staczały się po łuku w dół. Było trochę poniżej poziomu ulicy, jakby w piwniczną wnękę wkomponowane. Dwanaście małych schodów w górę, dwanaście stopni, po których nie było już zupełnie nic. Spoglądali przed siebie, w oddali widzieli główne wejście, a obok niego tłoczących się ludzi. Nie widzieli ich twarzy, nie wiedzieli czy żyją, ale oni tam byli. Kim byli? Czy byli dobrzy? Wątpliwe, powiedział do dziecka. Zrobili kilka kroków w bok, ukryli się za sporym kontenerem, spoglądali na nich z ukrycia. Mężczyzna próbował uruchomić telefon, który nadal nie odbierał. Sprawdził baterię, świeciła. Ile jej jeszcze zostało? Czy wystarczy czasu? Wyrzucił wszystkie zegarki, bo tylko mu ciążyły, po co znać godzinę, przecież i tak niczego to nie zmieni? Przysunął się do dziewczynki, oboje kucnęli. Podniósł głowę, wodził oczami po ścianach budynku. Boże, jaki on jest ogromny, wycedziła przez zęby. Potwierdził klepinięciem. Patrzyli jak dumnie wznosi się do góry, jak pnie się ponad chmury. Piękny i niezdojany jednocześnie, nieodgadniony i niezniszczalny tak samo. Nieopodal leżeli jacyś ludzie, w dziwnych pozach, z grymasem żalu na twarzach. Nie żyli już od dawna. Minęli ich, minęli także następnych. Przedzierał się przez kordony położonych plackiem, nieszczęśliwych istnień, które skonały w oka mgnieniu. Mężczyzna omijał ich dużymi krokami, przenosząc ponad nimi wystraszoną dziewczynkę. Opierali się o ścianę budynku, ślizgając po niej spoconymi plecami. Przyłgnęli do niej, nie mogąc się uwolnić. Niczym magnes przyciągała ich boleśnie, wskazując jedyny możliwy kierunek. Teraz ich zobaczyli, teraz także odezwał się ten cholerny telefon. Nareszcie!, krzyknął. Schowaj się, bo nas zobaczą. Widzę, odpowiedziała cicho. Po raz pierwszy się do niego odezwała, usłyszał wtenczas jej cudowny głos. Zaśpiewała mu ptasim głosem, cudownym szeptem odkryła swoją naturę. Zatracił się w niej całkowicie. Nie byli to zwykli ludzie, nie wyglądali tak jak oni. Byli poobdzierani, wyniszczeni i jątrzyła się z nich krew, która wymieszana ze śluzem, zaklejała im oczy. Straszny widok, postanowili na to nie patrzeć. Tym bardziej, że jeden z nich, bez żadnego powodu i w jeden chwili, zatłukł na śmierć innego. Pozostali nawet nie zareagowali. Obrzydzenie zmieszało mu się ze łzami, tworząc mokre i słone wymioty. Telefon ponownie zadzwonił, tym razem już nie zamilkł. Pojawił się na nim komunikat, ktoś najwyraźniej próbował się z nimi połączyć? Serce mocniej mu biło, a brzuch natychmiast rozboleł, powodując wypróżnienie. Popuścił, skręcając się i dociskając zwieracze. Przyłożył do ucha słuchawkę.

– Jest tam kto? – zasapał do aparatu.

– Słabo cię słyszę, powtórz? – ktoś odpowiedział.

– Kto mówi? – ponowił.

– Nic nie słyszę, odbiór!?

– Z kim rozmawiam!?! – podniósł głos.

Szelesty, zanikająca fonia, a potem czysty przekaz.

– Halo, gdzie jesteś? Powiedz, skąd nadajesz, to po ciebie przylecimy!

Jakby wygrał szóstkę w totka, taki miał wyraz twarzy.

– Kompleks Sky Tower, tu jesteśmy – nadał wiadomość.

– Ilu was jest?

– Dwie osoby. Ja i dziecko.

– Czy ktoś jeszcze ocalał?

– Nie wiem.

– Czy są tam skażeni?

– Jacy skażeni? – klikał przyciskami, kiedy głos zanikał.

– No, napromieniowani, umierający?

Dopiero po chwili zrozumiał wyraźnie.

– Tak, jest ich tu pełno...

– A wy? – zapytał.

Jego męski głos, zabrzmiał mu tak jakoś znajomo.

– My?

Coś zachrząściło.

– Jesteście napromieniowani?

– Nie wiem...

– Macie objawy skórne, albo wewnętrzne?

– Nie – skłamał bez namysłu.

– Krwotoki?

– Nie, do cholery! – miał już tego dosyć.

– Za godzinę przyleci po was śmigłowiec, osiądzie na dachu. Będziecie mieli tylko minutę, żeby znaleźć się w środku maszyny!

– A jak nie zdążymy? – niedowierzał.

Połączenie zostało przerwane. Odzyskał jednak kontakt.

– Odleci po sześćdziesięciu sekundach!

– A my!? – wykrzyknął.

– Przykro mi, takie są procedury...

Mężczyzna się obruszył.

– Windy nie działają, tu jest pięćdziesiąt pięter!

– Nic nie słyszę, coś przerywa... Sześćdziesiąt minut, bez odbioru.

Dziewczynka pokiwała głową. Zrobiła to tak, że poczuł się o niebo lepiej. Żal i rozgoryczenie w ułamku sekundy zniknęły na dobre. Była jego dobrym duchem, różyczką, która zakwitła, gdy on całkowicie zmarniał. Była życiem zamkniętym we własnej skorupie, oddechem, co niósł się echem i przemierzał świat. Była jego, była nim, była mu wszystkim i była tuż obok...

– Chcesz tam iść? – zapytał.

– Tak, chcę...

– Na górę gór, chcesz się tam jeszcze raz wspiąć?

– Tak, bardzo...

– Chcesz tam wrócić?

– Chcę, a pan nie?

– Ja? Nie wiem już czego chcę...

– Chce pan żyć – dodała.

Wyszczерzył z zachwyty zęby.

– Skąd wiesz?

– Wiem i już...

– Jesteś pewna?

– A pan nie?

Zaskoczyła go swoją niezaspokojoną ciekawością.

– Boję się tam wracać, boję się ciemności i strachu, co ciągle we mnie narasta...

– I tych ludzi, prawda? Ich wszystkich najbardziej? Ja też się ich boję...

– Oni nie są ludźmi, to jakieś demony – oznajmił.

– Są, tylko trzeba ich dobrze zrozumieć...

– Jak to?

– Oni też chcą zwyczajnie żyć – odparła.

Słuchał jej i nie wierzył. Nie był pewny, czy słyszy ją, czy może rozmawia już tylko ze

sobą? Mówił do niej, a ona naciskała mu na rękę. Najpierw raz, potem dwa i tak jeszcze wiele razy. Poczł wilgoć, w jednej chwili rozmyta smoła zaczęła skapywać na nich z góry. Nasilając się jeszcze bardziej, siąpiła na całego. Zadarli z niedowierzaniem do góry głowy, a to, co tam zobaczyli, widzieli po raz pierwszy. Ten deszcz był inny od wszystkich, inny nawet od ich wyobrażenia o nim. Ile trzeba mieć myśli w głowie, ile magii w sobie, żeby pojąć to choćby dostatecznie? Zobaczyli wtedy czarny deszcz...

Mężczyzna osłaniał dziewczynkę małą derką, która szybko namokła, folie od zabezpieczeń wyrzucili już dawno temu. Gnali co sił, szukając kawałka dachu, małej osłony, która dałaby im odetchnąć. Drzwi, gdzie one są, tu? Nie, może następne? Znowu zamknięte, znowu... a dalej? Dalej oni, stojący w tym deszczu, ociekający krwią... Ten toksycznie żrący opad, rozpuszczał im skórę i tkanki. Komórki zlewały się ze sobą, tworząc krwawą miazgę. Wyli z przerażenia, zadzierali nosy, niuchając ten duszący żar. Umknęli im, powrócili na dawny szlak. Postanowili wspiąć się jeszcze raz na sam szczyt, na ten parszywy dach, który być może, był już tylko czystą iluzją. Odnaleźli wejście, leżały przed nim martwe ptaki. Białe, niczym świeży tynk, tak samo jasne. Stanęli na chwilę, kontrast był piorunujący. Na te rozmyte w bieli światła dziennego ptaszyska, spadały czarne niczym grudy węgla, potężne krople atomowego deszczu. To dobro, co ukazało się kiedyś światu pod postacią białych gołębi, teraz zwyczajnie już nie istniało. Były to zwykłe dachowce oraz inne latające stworzenia, na co dzień na ciemno zabarwione, teraz ostatecznie wybielone i przez opad radioaktywny uśmiercone. Utopione w szatańskim płaczu, który nieustannie je zalewał...

Ziemia odwrócona? Jak miło by było, gdyby można było cofnąć czas chociaż odrobinę, gdyby puścić go w drugą stronę choć przez chwilę? Gdyby tak zaczął biec do tyłu, jaki wtedy byłby ten świat?

Schody, wiele stopni, setki, może nawet tysiące? Prawdziwa batalia człowieka ze schodami. Czy zdążą, czy dadzą radę, czy wreszcie wytrwają? Czy także starczy im sił? Myślał i wchodził po nich do góry. Dziecko było tuż obok, także dzielnie stąpało po tym niekończącym się zboczku. Wytarł jej buzię zanim ruszyli, usunął wszystkie krople paskudnego nalotu. Rozmasował jej nóżki, delikatnymi i wprawnymi ruchami swoich dłoni pobudził w nich krążenie, rozgrzał też całkowicie. Trochę podbiegli, ale szybko opadli z sił. Następnie wspinali się kocimi ruchami, potem robili większe susy, wreszcie powłóczyli nogami. Nie chcieli stanąć, musieli zdążyć. Jeśli dotrą na czas, to przeżyją, jeśli nie, to na pewno umrą. Mieli mniej niż godzinę, a on wyrzucił wszystkie zegarki. Tu czas miał wskazywać ich ziemskie godziny, a oni nie potrafili ustalić nawet minut. Kilka pięter pokonanych bez problemu, potem gwałtowne zastopowanie. Barykada z blachy, odpadów i śmieci. Grzęzawisko niepotrzebnych rzeczy, zgniłych resztek pożywienia, ludzkich szczątków. Nie dali rady przebrnąć przez to wszystko, zawrócili. Wycofali się, ale tylko kawałek, zmieniając klatkę schodową na inną. Po drodze sprawdzili szyby wind, były zablokowane. Próbowali uruchomić dźwig, ale bezskutecznie, nawet się nie poruszył, nie zawył i nie zatrzeszczał. Milczał jak grób, pomyślał mężczyzna. Brak prądu, brak światła, znowu egipskie ciemności, zastanawiali się jeszcze. Po chwili ponownie wkroczyli w ich objęcia...

Miała za długie nogawki od spodni, szurała nimi głośno po podłożu. Mężczyzna szybko je podwinął. Zaczepił spody agrafkami, które wy dostał z głębi kieszeni. Odnalazł je niedawno, miał wyrzucić, ale zabrał ze sobą. Mogły się przydać, pomyślał. Nie pomylił się i tym razem. Poprawił ubranie, wciągnął koszulę do spodni, zapiął bluzę. Sprawdzał broń, którą trzymał blisko siebie. Przytulił dziecko, szepcząc mu do ucha, ponaglał, by wreszcie wyruszyli. Czasu mieli niewiele, musieli działać. Szybko i w górę... nogi nie nadążały za sobą, ręce ślizgały się po zimnej, metalowej poręczy, czasami dotykając ścian. Rozkawałkowane wspomnienia, miłe chwile, których mu brakowało. Tylko tak można było zapanować nad strachem, pomyślał. Tylko tak można opanować niechciane emocje i lęk przed niewiadomym. Przed ciemnością, która niosła ze sobą śmiertelne zagrożenie...

Szedł do góry, napierał na schody, macając ścianę. Wyczuwał jej równą niczym tafla lodowa powierzchnię, czasami natrafiając na wgłębienia. Uskoki i odpryski, były coraz większe. To ich sprawka?, zastanawiał się. Wiedział, że zbliżają się do miejsca, gdzie one na pewno będą. Wyczuwał je coraz bardziej. Starali się nie hałasować, próbowali dyskretnie przemknąć. Bali się.

Cisza, jak przypuszczali, nie była im dana na zawsze. Kolejny mały krok, a potem następny jeszcze mniejszy. Cichosza, powtarzał w duchu. Jeszcze tylko trochę i zobaczymy okna, może choć odrobina światła wpadnie przez nie do środka? Czuli się jednocześnie jak łowcy, którzy szukali postrzelonej zwierzyny i jak ona, pragnąca ponad wszystko uciec. W tej mrocznej, przeszklonej jaskini, pełno było wygłodniałych stworzeń...

Dziewczynka delikatnie stąpała po schodkach, a kiedy było trzeba, podbiegała, by nadążyć za mężczyzną. Ten przez nieuwagę zahaczył o metalowe wiadro, które się przewróciło. Głuchy stukot przerwał ich modły. Był na tyle głośny, że ich zdradził, wskazując pozycję. Usłyszeli za sobą dziwne szmery. Coś się tam poruszyło, coś szeleściło nieopodal... czym to było? Czy było groźne? Tego nie byli pewni. Bez wątpienia ktoś wspinał się za nimi po schodach. Wiedział, gdzie byli, doskonale znając ich położenie. Dziewczynka przylgnęła całym swoim ciałem do nogi mężczyzny, ten próbował coś wymyślić. Nie było to ani proste, ani bezpieczne. I znów ten dźwięk, który usłyszeli, jakby skrobanie po ścianie... Potem poczuła czyjąś rękę na plecach, nie wytrzymała i krzyknęła. Wstrząsnęło nim. Odwrócił się od razu za nią, niewiele zobaczył. Cholerna ciemność, pomyślał. Była jak mgła, tak samo nieprzenikniona. Dziewczynkę zarzuciło, coś nią szarpnęło, oderwało gwałtownie od jego nogi. Ktoś mocno ją za sobą pociągnął. Mężczyzna próbował ją uchwycić, ale nie dał rady. Wyciągnął rękę, macając w próżni. Wołał dziewczynkę bez ustanku. Nie odpowiadała, tak jakby jej ktoś szczelnie zasłonił usta. Natychmiast zawrócił. Rozpaczliwie badał najbliższą okolicę. Czuł się jak rzeźnik po uboju, którego pozostawiono na środku ociekającego krwią placu i zgaszono wszystkie światła. Serce mu łomotało. Jej tam niestety już nie było. Usłyszał jeszcze jej dziewiczy głos. Podążając za nim, mocniej zacisnął dłoń na rękojeści broni. Sapiąc i dysząc, wykrzyknął:

– Oddaj mi dziecko!

Coś zaszeleściło obok.

– Odejdź, po co ci one? – usłyszał bełkot w odpowiedzi.

– A tobie po co? – nie zastanawiając się, zapytał.

– Jest mi niepotrzebne...

– To dlaczego je ze sobą ciągniesz? – pytał, próbując ustalić z kim miał do czynienia.

Usłyszał szyderczy chichot i mlaskanie...

– No dobra, bo jest młode...

– Młode? – zastanawiał się. O co mu chodziło?

– I pyszne... ma ładny zapach. Na pewno jest miękkie – wyjaśnił mu cuchnący odchodami

stwór.

Nie zastanawiał się ani chwili dłużej. Musiał działać.

– Co jest miękkie, gadzino!?

W odpowiedzi usłyszał spokojny, nieludzki wręcz głos.

– To ty nie wiesz, co? Mięso, o nim przecież mówię...

Ściany, na których dominowały wcześniej rozmaite kolory, teraz były pomalowane już tylko jedną barwą. Paleta kolorów, którą operował artysta, miała wszystkie jej odcienie. Posiadała w sobie wiele czerni i szarości, stała się wręcz niewidoczna. Doskonale widział ich głębokie nasycenie. Zimna ściana, takie same schody i identyczne poręcze. Wszystko zimne i on także... atmosfera zlodowacenia na dobre zawładnęła jego umysłem. Skoczył do przodu, pomylił się nieznacznie i nie trafił, przez co upadł. Mocno się poranił, a broń wypadła mu z ręki. Usłyszał za sobą szelest, jakby drapanie pazurem o granit. Słyszał jego krwiożerczą penetrację najbliższego otoczenia, gdzie boleśnie pazurami napierał na wszystko wokół. Był to jego teren, a on go naruszył. Nie lubił tego, nie miał jednak wyboru...

Ciekawe, czego szukał? Zapewne miecza, który upuściłem, pomyślał mężczyzna. Może też pistoletu? Jak go odnajdzie, będzie miał przewagę. Nie mógł mu na to pozwolić. Zamknął oczy i wsłuchując się w myśli, zrobił kilka kolejnych kroków. Odgadł zagadkę widzenia w ciemności. Dopadł do zguby przed tamtym i jego także uchwycił... Szarpał się z nim, ten nadal trzymał jego dziecko. Zakleszczył na jej szyi szpotawę łapy, które zaciskał coraz mocniej. Dziewczynka traciła dech, chciał ją udusić. Mężczyzna nie mógł na to pozwolić, złapał go za ramiona. Były spore,

większe od jego. Nie wystraszył się jednak. Uwiesił na jego szyi, nawet tego nie poczuł. Próbował odnaleźć jego oczy, ale ich nie było. Twarz, która nie była twarzą, ani maską, czym zatem była? Zaskoczony takim obrotem sprawy, umiejętnie podciął napastnika, który runął w dół. Uderzył plecami o schody, zawył okrutnie, po czym sturlał się kilka następnych metrów niżej. Dziecko wypadło mu z rąk, poturbowało się, zapłakało. Mężczyzna wciąż szukał napastnika. Krok za krokiem, noga za nogą, przeczesał wszystko poniżej. Tamten zdążył już się podnieść i czekał na niego. Ona była już bezpieczna i choć poobijana, to jednak wolna, a on nie wiedział jak duże niebezpieczeństwo czaiło się przed nim. Jego lewa ręka dotknęła poręczy, gdzie przeszywające zimno zamieniło się w ciepło niespodziewanego dotyku. Jego ogromna łapa czekała tam na niego. Jej chropowata i gruba skóra, częściowo złuszczone, była niezwykle nieprzyjemna w dotyku. Złapał go wtedy za dłoń, o mało co, nie złamał mu tym ręki...

– Puść! – zawył z bólu mężczyzna.

– Nie! – rzekł napastnik, po czym ścisnął go jeszcze mocniej.

– Puść, do cholery, to boli!

Tamten zakwilił, ni to śmiejąc się, ni płacząc.

– Zaraz nie będzie – nadal liczył mu kości.

– Puść! – ostatkiem sił, błagał o litość.

– Powyrywam ci te chude łapy, a potem urwę jeszcze głowę... a ona zobaczy twoje wypatroszone wnętrzności!

– Spróbuj wyrwać to!? – odrzekł, mężczyzna, po tym, jak się obrócił.

– Co robisz, boli jak diabli! – skomlął, tamten, poluzowując uścisk.

– Połknij jeszcze to! – wykrzyknął jednym tchem, mężczyzna, dusząc się niczym wynurzający się na bezdechu z otchłani morskich nurek.

Precyzja była tu najważniejsza, szybkie i ściśle chirurgiczne cięcia, zakończyły spotkanie. Przeciął mu obie łopatki, potem przeciągnął mieczem aż po pachy. Tamten, zawył okrutnie. Ręce same mu poleciały od razu w dół, był całkowicie bezbronny. Mężczyzna próbował odnaleźć jego usta, których jakby w ogóle nie było. W tym miejscu, gdzie być powinny, był zlepek starej skóry i stwardniałe blizny. Jego twarz nie była twarzą człowieka, czym była, trudno to ustalić. Złapał pośpiesznie rewolwer, przyłożył mu go do krwawej, obślizgłej miazgo-czaszki, po czym wypalił! Zrobię ci normalne usta, oznajmił na koniec. Huk był spory, bryzgnęły wnętrzności i czaszka rozleciała się na niezliczone kawałki. Cząstki mózgu, które znalazły się na jego twarzy, nadal ociekały krwią zastrzelonego. Jego zwłoki osunęły się na dół...

Mężczyzna ochłonął, po czym wziął dziewczynkę na ręce. Wtuliła się w niego, przyłgnęła dosłownie do jego twarzy. Musiał ją przesunąć, bo nie mógł oddychać i nic nie widział. Pośrodku mroku, w którym utknęli, tliło się delikatne światło. Była to niewidoczna dla innych lampka nadziei, która towarzyszyła im od samego początku. Jej jasny płomień wskazywał drogę, dzięki niemu zobaczył schody. Odnalazł zagubiony kierunek, powrócili na szlak. I znów te stopnie, które dostrzegli zaraz potem... z granitu, może z tytanu, twardsze od wszystkiego, niezniszczalne i nieskończenie niedoścignione. Jakby biegnące bez końca w otchłań wolności... uciekające przed najgorszym, kryjące się przed samym przeznaczeniem...

Nogi bolały ich bardzo, ciężkie i zmęczone, zatrzymywały w miejscu. Pragnienie dokuczało, dobijając coraz mocniej. Otworzył butelkę z wodą, ostatnia, pomyślał. Podał ją dziecku, które wypilo kilka łyków. Może będą ostatnie, a może nie, zastanawiał się. I znów do góry... ile jeszcze, do cholery? Przeszli już tak wiele pięter, tyle metrów razem pokonali, czy zdążą? Może wskazana przez radiotelegrafistę godzina, minęła już dawno temu, a może czas się wydłużał? Nie wiedział, co o tym myśleć. Ciemność i cisza, od razu przyszły mu do głowy i strach, który dokleił się do nich niczym flaszka do alkoholika. Co jakiś czas, gdzieś w oddali, migwały maleńkie prześwity w uchylonych oknach. Delikatne promienie blednącego światła, które wpadały do środka za ledwie na moment, ginęły zatopione w mroku tego piekielnego miejsca. Zbiorowiska ludzkich trosk, lęków i krwi, którą przesiąknięte było niemal w całości. Niczym czarna dziura, doskonale pochłaniało wszelką dostępną jasność, nieokiełzaną ludzką wyobraźnią materię, wreszcie także ich życie...

– Zdążymy? – zapytała.
– Nie wiem, dziecko...

– Zdążymy, ja to wiem – pocieszała go najlepiej jak tylko umiała.
Wyczuwał to w jej głosie.

– Tak, a skąd to wiesz? – zapytał.

– Czuję to... Boi się pan? – zapytała niemal od razu.

– Nie – pewnym głosem odpowiedział.

Zdziwiło ją to.

– Jak to, dlaczego się pan nie boi?

– Może dlatego, że nie mam czasu, aby o tym myśleć, a może dlatego, że jestem już tym bardzo zmęczony...

Była to prawda, wiedziała o tym dobrze, kiedy mu przytakiwała.

– Rozumiem.

– Naprawdę? – teraz to on się zdziwił.

– Tak, niech się pan nie martwi, znajdziemy drogę.

Nie wierzył w to, co słyszał.

– Znajdziemy, mówisz serio? – podpytywał, masując obolały kark.

Spuściła głowę. Uniosła ją.

– Próbuję tylko pana pocieszyć...

Był jej za to wdzięczny.

– Dziecko, jesteś cudowna! – ucałował ją.

– A pan zakrwawiony! – odsunęła się natychmiast.

Ile w niej było nadziei, ile wiary i radości. Widział to i nie mógł się temu nadziwić. Skąd pochodziła, kim byli jej rodzice? Skąd czerpała ten niegasnący optymizm? I jeszcze to poczucie humoru, była niezwykła. Szybko ochłonął, zebrał myśli. Choć nie mówiła wyraźnie, to wystarczająco dobrze, żeby ją zrozumieć. Minęli następne piętro, potem kolejne. Liczyli stopnie, kroki, także przystanki. Kiedy szli, to nie czuli strachu, byli gotowi na wszystko. Kiedy zatrzymywali się, żeby nabrać sił i ustalić kierunek, to drżeli z niepewności. Cały czas blisko siebie, cały czas tuż obok, pomyślał. I znowu jakieś piętro, takie samo jak wcześniejsze, podobne do wszystkich innych... do setek, na których już byli, do kolejnych, które dotąd mijali. Krążyli niczym w labiryncie, nie wiedząc ile razy poruszali się tą samą drogą...

Dziewczynka miała małe nogi, krótkie, ciężko więc było jej się wspinać. On postawny łatwiej pokonywał kolejne wzniesienia. Starła pot z czoła, przetarła umorusaną buzię. Była umazana brudem, sadzą i krwią. Mężczyzna naślinił kawałek urwanego z koszuli materiału i wytarł jej twarz. Podziękowała, nie odpowiedział. Patrzyli w próżnię. Wiele pokoi na ich drodze, mnóstwo niepewnych zakamarków kryjących śmiertelną zagadkę, pomyślał. Przytulił ją do siebie. Zjedli jakieś resztki. Nie wiedzieli, co pochłaniali, było dobre, ładnie pachniało i smakowało nienajgorzej. Szybko przybywało im energii, zapasy pożywienia kończyły się. Napili się wody, tylko po jednym łyku. Zostawili odrobinę na później. Mężczyzna zastanawiał się, czy ono w ogóle jeszcze będzie, czy nie lepiej wypić od razu wszystkiego? Nie ruszył tego mikro zapasu. Dotąd dopóki wierzyli, nie miało to zwyczajnie sensu. Co jednak w ich sytuacji miało sens, pomyślał po chwili? Ktoś pozbawił ich świata, który lubili, ktoś zabrał im go w jednej chwili. Bez pytania. Mógł chociaż uprzedzić, tyle jeszcze mogliby zrobić...

– Widzisz? – pytał, patrząc w otaczającą ich ciemność.

– Tak – odpowiedziała.

– Co widzisz?

– Ktoś tam stoi...

– Kto to taki? – dociekał.

– Nie wiem, jest ciemno. Boję się, nie idźmy tam!

– Nie bój się, nie pójdziemy.

Chyba mu nie uwierzyła.

– Znajdziemy inną drogę? – zapytała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Może – tyle z siebie ostatecznie wykrzesał.

I tak za każdym razem, a czas nieubłaganie upływał. Nie mieli już sił, wspinaczka przysparzała im coraz więcej cierpienia. Na jednej z kondygnacji napotkali jakieś zwierzę, które przemknęło obok, ocierając się ogonem o nogawkę jego spodni. Zniknęło bez śladu. Ilu ludzi kryło się w tym mroku, ile zwierząt, czy też zmienionych tworów popromiennej egzystencji? Szczęśliwi ci, którzy już nie żyją. Cierpiący, którzy idąc w płaczu, dogorywają. Dziesiątki niepotrzebnych mebli, które po drodze minęli, drogich i stylowych. Po co to komu, myśleli? Sprzęt elektroniczny najnowszej generacji, niedziałający i wypalony. Po co i on? Drogie ozdoby, które świecąc, podkreślały urok bogatego miejsca. Ile były warte, komu potrzebne? Teraz nie było już nic! Nawet prąd nie płynął już w swoich podtynkowych żyłach, wykrwawiając się na śmierć, pomyślał. Oni mieli być następni?

– Nie mogę już dalej...

– Jeszcze trochę, spróbuj, dasz radę!

– Daleko jeszcze? – pytała, płacząc.

– Nie wiem, poczekaj, zobaczę. Może gdzieś będą oznaczenia piętra? – szukał po omacku.

– I co, jest? – dopraszała się odpowiedzi.

Penetrował ściany.

– Nie, nie znalazłem.

Jęknęła.

– Nie dam rady, niech mnie pan tu zostawi.

Podtrzymał ją.

– Poniosę cię na rękach.

– Nie da pan rady, przecież widzę, że sam ledwo pan idzie.

Zebrał się w sobie.

– Dam radę, ty też dasz, rozumiesz? Masz iść i bez sprzeciwu... Cholera, jest oznaczenie!

– I co? – zaszlochała radośnie.

– Czterdzieste siódme!

– Ile do końca?

– Chyba trzy? – nie był pewny.

Odpowiadając dziecku, przypomniał sobie kobietę, która zaprojektowała to monstrum.

Smutek ogarnął go w jednej chwili...

– Aż tyle? – westchnęła dziewczynka.

Musieli zwolnić, musieli się zatrzymać. Martwa cisza i ponura ciemność, były z nimi od zawsze. Nic wokół nie drgnęło, nic także ich nie zaskoczyło, ale to nie mogło być ostateczne. Wiedzieli, że zło, które za nimi podążało, musiało w końcu uderzyć. Czy byli na to gotowi? Mężczyzna tak, dziecko nie było niczego świadome. Dziewczynka załatwiła się nieopodal dużych rur, które zwisały z sufitu. Przykucnęła i poprosiła, żeby się odwrócił. Mężczyzna nie mógł spełnić tej prośby. Musiał ją widzieć przez cały czas, jeśli miała żyć. Jej ciało nieźle to znosiło, kiedy skóra innych dosłownie rozsypywała się na wietrze. Schodziła, tworząc ropiejące rany, bolesne dziury, które nie chciały się goić. Ona była odporna, on także jakoś to znosił. Często dotykiem sprawdzał skórę, ale niczego podejrzanego nie znajdował. Schody i poręcze w jednej chwili się skończyły. Apartamenty odeszły w niepamięć, przerażające do granic ludzkiego lęku, w których od dawna czaiło się już tylko zło. Tutaj zaś, w części biurowej kompleksu Sky Tower, atmosfera była całkowicie odmienna. Mniej było zakamarków, drzwi, wind, schodów, schowków i bóg wie czego jeszcze... Łatwiej można było wypatrzeć zagrożenie.

Weszli w głąb pomieszczenia. Idąc powoli obserwowali każdy następny centymetr ściany, którą mijali. Każdy cal podłogi, po której ich stopy wlekły za sobą zdruzgotane marszem nogi. Sponiewierane ciało. Wpatrywali się w pomroczną poświatę, która świeciła dość jasno, ledwo tłącym się kagankiem nadziei. Tutaj, blisko dachu, więcej było okien, które wpuszczały przez szyby zbawienne światło. Oślepiąło ich swoją jasnością. Wreszcie widzieli się prawie całkowicie. Spoglądali ukradkiem na siebie, i patrzyli na około niemal jednocześnie. Szli w ciągu biurek,

krzesel i szafek, które zalegały po bokach. Na jednym ze stolików zobaczyli podłączony komputer. Mężczyzna dotknął jego klawiatury, poruszył myszą. Nic, żadnej reakcji. Zamknął laptopa. Obok stały kwiaty, ich duże wazony i donice zajmowały znaczną część pokoju. Zalegały w nich, wysypując się na zewnątrz. Wspaniałe, sztuczne ozdoby, które kolorów miały więcej niż zapomniana tęcza. Z ziemi wystawały rośliny, kiedy zwiędły, nie wiadomo. Nie widziały wody od bardzo dawna. Inne kwiaty padły od zanieczyszczeń, pyłu i radiacji. Kilkaset metrów kwadratowych, tyle mniej więcej miało to miejsce.

Dalej, podobne do tego pomieszczenie, znacznie większe. I sanitariaty. Kilka męskich kabin i obok nich, jedna duża, damska. Spokój, odprężenie, nic bardziej mylnego, przeczuwali. Kiedy wydawać by się mogło, że najgorsze mieli już za sobą, niespodziewanie do nich powróciło. Bali się tego, ale było to od nich silniejsze. Niczym bumerang i niczym najtrwalszy z najmocniejszych klejów, ciągle do nich przylegało. Jakby za nimi nieustannie szło, jakby ich śledziło. Wyczuwali to, cokolwiek było. Słyszeli za sobą stukot bosych stóp i to, jak się obrzydliwie ślinią. Jak wypływająca z ich pysków, śmierdząca substancja skapuje raz za razem na wyświechtaną podłogę. Wydawało im się, że są tuż za nimi, że jak się odwrócą, wzrok spotka się z ich spojrzeniem po raz ostatni. Że w rękach trzymają broń, że mlaskają, wyczuwając ich obecność, że wreszcie ochryple charczą. A może to tylko wyobraźnia płatała im figle, pomyślał mężczyzna. Uspokoił się wtedy. Kiedy się odwrócił, one już tam były... Zobaczyli je, stojąc na środku największego z biur, trzeciej od dachu platformy...

– Boję się – wyszeptała dziewczynka.

– Wiem, ja też, zachowaj spokój – szarpnął ją delikatnie za ramię.

– Ale jak? – ledwo było ją słyszeć.

– Pomyśl o czymś miłym...

– Nie potrafię...

– Dlaczego? – zapytał.

Wstrzymała oddech, odparła:

– Bo nie mam takich wspomnień...

Zabolało go to, choć nie była to jego wina.

– To wymyśl je sobie – zaproponował.

– Mam oszukiwać?

Objął ją swoim ciężkim ramieniem, szepnął do ucha:

– Tak, jeśli to jedyny sposób...

Zbliżyły się do nich z każdej strony. Odgłosy, które wywoływały, uderzały mężczyznę od środka. Serce kłuło, w głowie panował zamęt. Wyczuwał je doskonale, po chwili także zobaczył. Spłoszyły się, bose i bezimienne. Ujrzał wyłaniające się z mroku sylwetki. Kiedy wchodziły w strefę światła, miał wrażenie, że płoną. Ich jaskrawe kombinezony mocno błyszcząły, długie lufy masywnej broni skierowane były na nich. Penetrowały wzrokiem okolice, delikatnie stąpając po flanelowych wykładzinach, które tłumiły dźwięk. Było ich trzech, dostrzegł. Postawnych i przebiegłych. Pomimo znacznego obciążenia, poruszali się z dużą zwinnością. Byli wyszkoleni. Ubezpieczali się, chroniąc tyły i flanki. Byli gotowi zadać ostateczny cios. Ubrani na czarno, tylko świecące peleryny odróżniały ich od otoczenia. Przeładowali broń. Suchy trzask zamka przeszył powietrze. Mężczyzna wyobraził sobie jak duże były naboje i jakie otwory w ciele po sobie pozostawiały. Miał broń, chciał chronić siebie i dziecko. Może mi się uda, pomyślał. Dlaczego szczęście właśnie teraz miało nas opuścić?

Zaledwie dziesięć kroków dzieliło ich od siebie... Dziewczynka przylgnęła plecami do ściany, osłonił ją swoim ciałem. Drżeli. Męka, przez którą przechodzili. Cierpienie, które nie ustępowało ani na chwilę. Bo czymże jest ból, jeśli nie zwiastunem śmierci. Czym cierpienie, jeśli nie przeżywaniem jej za życia. A może wręcz przeciwnie, wszystkie boleści potrzebne są, aby nie zapomnieć? Żeby wiedzieć i żeby tego doświadczyć. Przeżywać na bieżąco, po prostu żyć. Czyż ból nie jest przede wszystkim zwiastunem życia? Zamyślił się przez chwilę. Usłyszeli ludzki głos, który wydał im się znajomy. Komendy, które pamiętał z dzieciństwa, powróciły natychmiast. Czym byłaby pamięć, gdyby w takich sytuacjach zawodziła? Czym, jeśli nie pomocną dłonią, która nie

chciała nadejść. Jest. Pojawiła się w niespodziewanym momencie. Ktoś ją do niego wyciągnął, kiedy się tego najmniej spodziewał...

W dzieciństwie, kiedy był częstym gościem w bazach wojskowych zaglądał do wszystkich zakamarków ojcowskiego biurka. Dziwiło go jak wiele jest tam wnęk, szufladek, drzwiczek i wszelkich skrytek. Buszował w tych miejscach, rezolutnie rozrzucając papiery na wszystkie strony. Tyle było zagadek w tym meblu, tyle niespodzianek i tyleż samo radości. Gubił się i odnajdywał, odkrywając wszystkie jego mroczne strony. Ojca niestety już nie było. Okrutnika, jak go nazywał, kiedy odszedł i zawodowca, jakiego pamiętał z armii. Wojsko było dla niego prawdziwą świętością, rodzina zaś mitem, który obalał za każdym razem na nowo. Nienawidził ojca, ale i kochał. Nigdy o nim nie zapomniwał. Nawet wtedy, gdy potrzebny był mu tak bardzo...

Modlił się, a ona oczekiwała na to, co miało się wydarzyć. Stali bez ruchu, sparaliżowani strachem. Zobaczył piękne ściany, biurka i okna. Dostrzegł nadzieję, zobaczył kim byli naprawdę. Za oknami słońce, nijakie, jakby zamazane. Wypuszczało promienie, które błędziły w półmroku. Oblepione pyłem z wysoka spadały prosto na bruk. Tak jak ludzie, którzy nie wytrzymywali i wyskakiwali z okien. Krzycząc, spadali na ulicę. Umierali po woli. Odchodząc, prosili o rychłą śmierć. Ta niestety nie chciała ich słuchać. Okrutnie wtedy cierpieli.

– Kim jesteście? – usłyszał z dziewczynką.

– A wy? – zapytał.

– Opuść broń, jesteśmy żołnierzami.

– Takimi, co mordują niewinnych?

– Nie, takimi co walczą o przetrwanie...

Prawie się wzruszył.

– Jak to? – zdziwiło go to. – Opuszczam broń, nie celujcie. Tu jest dziecko!

Próbowali im zaufać. Tamci zagadnęli.

– Przylecieliśmy, by ratować. Zostaliśmy jednak sprowokowani i musieliśmy się bronić. Zobaczyliśmy płonące znaki na dachu i oznaczenia na budynku. Wkroczyliśmy, nie wiedząc, co zastaniemy. Nie spodziewaliśmy się jednak tego, na co natrafiliśmy...

– Co napotkaliście? – zapytał, ściskając dziewczynkę.

– Nie wiem, do tej pory tego nie wiemy. Wielu z nas zginęło!

– Zostaliście zaatakowani?

– Tak. To coś po kolei likwidowało nasz oddział. Postanowiliśmy się wycofać, byli jednak wszędzie. Pożerali nas żywcem...

Jak opowiadali, wywoływało ciarki na skórze dziecka.

– Jak to pożerali?

– Zabijali, raniąc okrutnie. Odrywali członki, głowy. Ciała, które jeszcze się ruszały, obdzierali ze skóry...

– Po co!? – nie wytrzymał i zasłonił dziewczynce uszy.

– Nie wiemy, czuć było spaleniznę. Zapach ludzkich włosów i opalanej skóry...

– Uciekliście?

– Cały czas uciekamy. Ostrzelaliśmy ich, wielu położyliśmy trupem. Ale one ciągle wylazą z tej parszywej ciemności. Nawet wtedy, gdy myślisz, że ich tam już nie ma...

Mężczyzna zobaczył to oczyma wyobraźni.

– Zaskoczyli was? – nadal pytał.

– Tak, skradają się... Przemieszczają prawie niezauważenie. Są wszędzie! Spotkaliście ich?

– Chyba tak, cudem im umknęliśmy – odparł nieśmiało.

– Dokąd podążacie? – zapytał oficer.

– Na dach, niebawem przyleci pomoc.

Zaśmiali się wszyscy żołnierze.

– Nikt tu po nas nie przybędzie, straciliśmy łączność.

– Przylecą, o ile jeszcze nie byli – przekonywał mężczyzna.

– Jak to?

– Nadaliśmy wołanie o pomoc, które zostało przyjęte. Mieli być za godzinę. Nie możemy

się spóźnić, nie będą czekać!

– Kiedy to było?

Mężczyzna zastanawiał się przez moment.

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że tamten czas jeszcze nie upłynął!

Zapanowała cisza, która ukazała ich niepewność.

– One tu są – przerwał jeden z nich.

– Wiem, ciągle je wyczuwam. Może damy radę? – pobudzał siebie i ją mężczyzna.

– Szykują się na nas, chcą nas unicestwić. A my nie znamy nawet drogi! – dodał inny.

– Ja ją znam, poprowadzę nas – odparł mężczyzna.

Poruszyli się nieznacznie, pozostali jednak na swoich miejscach.

– Idą, słyszę je... – przemówił pierwszy.

– Gdzie? – zapytał drugi.

– Słyszę jak skrobia, jak nadchodzą po nasze skalpy! – następny biadolił.

– Musimy się zasłonić!

– Jak? Przecież nie damy rady – spanikowali.

– Zrobimy barykadę, zabezpieczymy korytarz – zaproponował mężczyzna, choć prawie ich nie znał.

– Nie mamy na to czasu... musimy iść, helikopter? – wtrąciła się dziewczynka.

– Nie ma jak. One są na tej drodze, są wszędzie... Musimy się z nimi zmierzyć, musimy walczyć! – przekrzykiwali się wzajemnie.

Mężczyzna próbował zapanować nad sytuacją.

– Macie dużo amunicji?

– Niewiele, tylko po kilka magazynków, tyle nam zostało – odparł ostatni z żołnierzy.

Wyglądali niczym piątka piekielników, pełnych ironii i arogancji. Strach, który uwidaczniał się w zachowaniu żołnierzy, nie był odzwierciedleniem emocji dziewczynki. Ona i jej opiekun byli wyjątkowo spokojni, na pierwszy rzut oka, bo po dłuższej chwili okazywali swoje zniecierpliwienie. Mała wierciła się i ponaglała mężczyznę, ten nie potrafił jej pomóc. Szturchała go w nogę, bezskutecznie. W końcu odpuściła i ze spuszczonym wzrokiem odsunęła się na bok. Nie oddalaj się za daleko, napomniął ją. Zrobiła dziwaczną minę, po czym odwróciła się na pięcie. Zobaczył jej plecy, były tak samo czarne, jak otoczenie, identycznie nie przepuszczały ciepła. Wszystko było tam niezwykle zimne. Temperatura w obiekcie spadła o kilka stopni. Rozgrzewali się będąc w ruchu. Pocierali dłonie, rozprostowywali ramiona, jakby w geście pocieszenia. Szukali ciepła i wiary. Może był to niemy apel do samego Boga, a może prośba ta nie była dostatecznie głośna?

Zajęli flanki obszernego biura, lewą i prawą stronę długiego na kilkanaście metrów pomieszczenia. Sterta biurka, z których ułożyli zaporę, skierowana była w stronę drzwi. Mały korytarz po środku niczym aleja gwiazd w nadmorskim kurorcie, był słabym punktem, którego strzegli. Za nimi była wspaniała panorama miasta, widoczna dzięki ogromnym oknom. Kilka potężnych witryn prawie całkowicie zasłoniętych. Rolety zostały w nich opuszczone, nie przebijało się przez nie najdrobniejsze światło. Mężczyzna zapalił świecę, którą po chwili zgasił jeden z maruderów. Nie zdążył nawet ogrzać dłoni. Założyli rękawice, poprawili kurtki, buty, docisnęli maski, które mocno przylgnęły do twarzy. Doskonale przez nie widzieli połyskujące ślepie, które po chwili skryły się w nieokielzanej ciemności, tego drakońskiego miejsca. Żołnierze posiadali noktowizory, które uzupełniały podstawowe wyposażenie ekwipunku. Mężczyzna poprawił ubranie, stare spodnie z dziurami, straszły widokiem. Próbował zakleić ubytki taśmą, ale ta nie trzymała jak należy. Naciągnął prowizoryczną maskę, przetaił oczodoły. Delikatna folia od razu się odkleiła. Sterczała dziwacznie, tak jak i oni tam, pomyślał mężczyzna. Zabezpieczył dziecko, otulił grubą i szorstką narzutą. Zapanował spokój. Czekali. W ciszy i w skupieniu, przez cały czas nasłuchując. Każdy krok, którego nie słyszeli, wyobraźnią był nakreślany. Każdy szmer, którego nie było, w umysłach totalnie siał spustoszenie. Każda sekunda, która minęła, setką wcześniejszych i podobnych była potęgowana. Czas dłużył się niewyobrażenie, a myśli zbójceki uprawiały proceder. Szukając wroga, szukały jego krwi...

- Idą, słyszycie? – zapytała dziewczynka, wyściubivszy nos spod derki.
- Nie – usłyszała w odpowiedzi.
- Słyszę! – dorzucił ktoś.
- Ja też, teraz jeszcze lepiej – dodał następny, po czym przeładował potężną strzelbę.
- Są z lewej? – pytało dziecko.
- Tak, stamtąd nadejdą – potwierdził kapitan.
- Na pewno? – dopytywał mężczyzna.
- Tak, słyszę ich – odparł ostatni. – Jest ich wielu...
- Ilu? – pytał jeden z komandosów.
- Słyszę co najmniej dziesięć par nóg – odparł drugi.
- Nóg? – zastanawiał się mężczyzna.
- Tak, są bosi. Nie noszą butów – oznajmił oficer.
- Dlaczego? – Mężczyzna nie przestawał pytać.
- Łatwiej jest im się wtedy skradać. Wcześniej ich nie słyszeliśmy, przez co nas zaskoczyli,

wielu zabijając.

Ogarnęła ich zaduma, kilka sekund później, ktoś oznajmił:

– Rozdzielili się... ale tylko na chwilę. Znow idą razem, gęsiego!

Drugi z żołnierzy ciężko westchnął.

– Pierwszy to dowódca. Musimy go zdjąć – oznajmił.

– Tak, jego na początek, a potem resztę – dodał ostatni, po czym przeładował ogromny karabin. Jego okrągły magazynek mieścił w sobie niezliczoną ilość naboji.

Teraz ich głosy całkowicie się ze sobą wymieszały.

– Są kilka metrów od drzwi...

– Tak, zaraz tu wejdą...

– Czuję smród, czuję potworną zgniliznę...

– Rozpadają się, to chyba od wybuchu... Gniją i rozsypują się dosłownie na części. Do końca jednak potrafią celnie ugodzić...

Może dziesięć palców, a może osiem, nie mógł się doliczyć, słuchając odgłosów stąpania mutantów. Ślizgały się na mokrej podłodze, na którą żołnierze rozlali ciecz. Niezgrabnie powłóczyły swoimi kikutami. Badały otoczenie. Doskonale wiedziały, że obok byli ludzie. Cisza całkowicie opanowała to miejsce. Była nieznośna, bo zwiastowała nieuniknione, pomyślał mężczyzna. Pozostali też mieli tego świadomość. Wiedzieli, że za chwilę rozegra się tutaj prawdziwa kampania wrześnieowa. Jeden z żołnierzy przeżegnał się, całując medalion. Drugi wspomniął żonę i dzieci. Trzeci śmierć wieszczył wrogowi. Postanowił, że będzie bezwzględny. Mężczyzna niezdarnie przytulił dziewczynkę, po czym wyjął pistolet. Otarł spocone czoło. Pot wymieszał mu się z krwią, strach ze złością, a miłość z nadzieją... Spojrzał na nią, po czym odwrócił wzrok. Ona ciągle nie odrywała od niego swoich nieprzeniknionych oczu...

– Będziesz moim tatusiem? – zapytała niespodziewanie.

– Nie teraz! – zaszokowało go to, co usłyszał.

– Ale będziesz, powiedz?

– Później, do cholery! – krzyknął, choć nie chciał.

Nie zraziła się tym.

– Powiedz, że nim będziesz. Proszę... może już nie być później...

– Będzie! Musi być... Zobaczysz, że to nie koniec.

Spojrzała wtedy w ich stronę.

– To koniec! Jakby na to nie patrzeć, to koniec... Tam nie ma już nic – zapłakała. –

Będziesz moim tatą?

Znalazła sobie porę, pomyślał, wzdrygając się.

– Będę, ale bądź już cicho...

Przylgnęła do niego.

– Obiecujesz, że będziesz mnie kochał? – naciskała niczym prasa hydrauliczna.

Nie wytrzymał, wkurzył się.

– Co ty bredzisz!? Zamknij się już! Przecież ci obiecałem!

Weszły ukradkiem. Tak jak wcześniej, tak jak zawsze. Tym razem ktoś tam na nie czekał. Po raz pierwszy ktoś im się postawił, długie lufy wystrzeliły natychmiast, a ogień i gwiazdziste rozbłyski ogarnęły wszystko wokół. Dziewczynka zasłoniła uszy, zamknęła też oczy. Wyobraziła sobie ogromny wulkan, który niczym bajkowy smok zaciągał przeraźliwie powietrze i po chwili wypluwał je z siebie razem z masą szkarłatnego ognia. Czerwień pogrążyła ją nieopisana. Wręcz pochłonęła, paląc delikatne ciało. Pierwsi zabici runęli bez ducha na podłogę. Zasłonili drogę następnym. Ci niewzruszeni, przeszli po nich, miażdżąc ich ostatecznie. Celne strzały, precyzyjne trafienia prosto w głowę i w serce, od razu odbierały im dech. Powstrzymywały na chwilę, ale nie na zawsze... Czym były te istoty, kim może, że poza posadzką, mknęły także po ścianach? Niczym pająki, robactwo wszelakie, pełzały, szukając pożywienia. Pierwszy raz zobaczyli coś tak niezwykłego, co zmroziło im krew w żyłach. Dotąd myśleli, że obcy byli ludźmi. Teraz zwątpili w to ostatecznie.

Kolejny przyczajony, potężnie zbudowany osobnik, ominął próg. Rozglądając się na boki, lustrował otoczenie. Niuchał i macał łapami, szukając ofiar. Wyśledził wreszcie, te prawie niewidoczne sylwetki ludzi. Zaraz potem otrzymał mocne uderzenie, które zważyło go z nóg. Pocisk wystrzelony ze strzelby wbił mu się prosto w czoło. Próbował jeszcze powstać, syczał przy tym i charczał przeraźliwie. Nie dał jednak rady, bo runął na ziemię w mgnieniu oka. Następne stwory zdążyły już się dostać do środka, żołnierze rozpoczęli odwrót. Myśli, które zabłąkały się w ich umysłach, nareszcie odnalazły ujście. Zawładnęła nimi chęć zabijania. Walili w stwory bez opamiętania, co chwilę wymieniając kolejne magazynki. Siatka maskująca rozwieszona pod sufitem, a na niej one zsuwające się po woli prosto w ich kierunku. Miały szpony wyciągnięte do przodu, kły wywalone na zewnątrz paszczy i wybałuszone ślepia. Szukały świeżego mięsa. To, które im wpadło w ręce, łakomie pożerały. Mężczyzna słyszał jak wijącego się w bólu współtowarzysza morderczych szaleństw, rozerwały na kawałki, po czym pochłonęły na surowo jego zwłoki. Niektóre fragmenty ogryzanego ciała, były jeszcze ciepłe, inne zaś drgając w konwulsjach, poruszały się w ich pyskach. Żołnierze dzielnie walczyli.

– Uważaj, z lewej... jest na dziewiątej!

– Widzę, ogromne bydle... Zaraz go rozwalę!

– Obok, jest obok!? Strzelaj, do cholery! – przekrzykiwali się w tłumie.

– Za tobą! Patrz do tyłu... Będę nas osłaniał!

– Ruszamy. Ostrzeliwując się, wycofujemy. Formujemy szyk obronny. Zrozumieliście!?

– Wal w nie ile możesz!

– Oszczędzajcie amunicję!

– Wal w gnoja, zabij świnię!

– Uważaj następny, na piętnastej!

– Połknij to, zdiro! – wsunął mu do paszczy remingtona, po czym wypalił.

– Następny, tuż nad tobą. Zdejmę go. Masz gnoju, i ty ścierwo... macie, wszystkie zarazy świata... O kurwa!

– Co się stało? – wszystko jakby na moment stanęło. – Uważaj, następny tuż obok... Biorę go na siebie!

– Weź też tamtego, zabij skurwiela!

– Już po nim, tamten także oberwał! – żołnierzowi zawirowało w głowie. O mało co nie upadł, oddając kolejny, celny strzał. Jego towarzysz już się jednak nie podniósł.

– Trafili mnie, oberwałem! – krzyczał pierwszy komandos.

– Poważnie!? – pytał oficer.

– Mam dziurę w brzuchu... boli jak cholera, nie mogę się poruszyć.

Po chwili stracił też głowę, ktoś mu ją oderwał jednym pociągnięciem ręki. Potem uniósł do góry ociekające krwią trofeum i zawył w geście tryumfu niczym germański wojownik. Włosy, za które trzymał wirującą w ciemności głowę, subtelnie powiewały...

– Zabij go! – krzyknął mężczyzna.

– Nie widzę, schował się!?

– Uważaj, przegrupowują się – dodał dowódca oddziału.

– Wiem, szykują się do ataku...

Spojrzeni przed siebie, próbując ustalić pozycje tamtych.

– Jest, strzelaj! – Zauważyli jednego.

– Jest mój, już mi nie ucieknie....

Ciężko sapały, uciekając przed nimi w popłochu.

– Następny jest obok. Ilu jeszcze będzie, skąd się biorą!?

– Wyłażą z ciemności – dodał mężczyzna, po czym wystrzelił.

– Strzelajcie, do cholery!!!

Krok do przodu, a po nim dwadzieścia w tył. Potem chwila zwątpienia, następnie moment prawdy. Kolejne wystrzały. Ciała wirujące w powietrzu, upadające z hukiem na ziemię. To długie pomieszczenie, pełne sprzętów i mebli, było zbyt małe, aby ich wszystkich ocalić. Broń, którą posiadali, mogła okazać się niewystarczająca. Zrobili kółko w pokoju, dziwnie zataczając się od lewej do prawej. Potem powrócili i środkiem przedarli się przez kordon obcych, prosto do głównego wejścia. Po drodze stracili drugiego z żołnierzy. Modlił się i przeklinał świat, kiedy konał na ich oczach. Nawoływał swoje dzieci... Zanim umarł, ugodził śmiertelnie nożem jednego z tamtych. Ostrze zagłębiło się w nim prawie do połowy. Gładko weszło i utknęło. Mieli miękkie ciała, delikatne, wrażliwe na dotyk, pomyślał mężczyzna.

– Tym korytarzem? – pytał oficer.

– Tak, biegnij do samego końca – odparł mężczyzna.

– Gdzie teraz?

– Szukaj schodów, powinny być za zakrętem...

– Nie ma, do cholery!?

– Jak to? – zastanawiał się mężczyzna.

– Pomyliliśmy korytarze? – zapytała dziewczynka.

– Cholera! – zaklął naukowiec.

– Uważaj, biegną za nami! – Żołnierz wskazał napastnika.

– Tędy – pokierowała dziewczynka.

– Na pewno? – dopytywał wojskowy.

– Biegnij, nie ma czasu – potwierdził jej opiekun.

– Biegnij przodem i pilnuj małej. Będę was osłaniał!

Spojrzał mu wtedy w oczy, z których niczego nie wyczytał.

– Prosto. Cały czas prosto. Potem kieruj się na schody awaryjne. Zapamiętasz?

Żołnierz poklepał go po ramieniu.

– Zapamiętam. No biegnijcie już, czas nagli...

Stał tam niczym szeryf na środku zakurzonego podwórza. Zaszurał butem, a kurz od razu wzbił się w powietrze. Zmierzył ich wzrokiem, ocenił sytuację. Wybiło południe. Jego zegarek wskazywał jedenastą. Rozpiął kamizelkę, szukał ręką broni. Kurtka od dawna leżała na ziemi, ciężka spowolniała wcześniejsze ruchy. Od samego początku wiedział, co go czeka, ale teraz został sam i było mu o wiele ciężej. Był ostatnim sprawiedliwym. Jedynym, który pozostał. Jak to możliwe, pomyślał. Elitarny oddział unicestwiony przez zgnuśniałe stwory? Przez ludzi, którymi kiedyś były, stając się później rasą najprostszą u podstaw. Nie ma już nikogo, kto mnie wspomże, nikogo, kto o mnie wspomni, zapłakał. Przykucnął, przeżegnał się, po czym przyłożył broń do ramienia. Wycelował i czekał, a jak podeszły wystarczająco blisko, po kolei kładł je wystrzałami na ziemi, jedno po drugim. Pocisk za pociskiem, wrzeszczały jak oszalałe, padając w konwulsjach. Były coraz bliżej, już tylko kilka kroków dzieliło je od niego. Za matkę, krzyczał. Zdychajcie. Strzelał aż zabrakło mu naboju, a wtedy one zrobiły swoje... Nie zabiły go jednak, nie od razu. Powaliły na ziemię i liżąc po twarzy, ciągnęły w nieznane. Smród, który wydobywał się z ich paszczy, był niczym cichy oddech staruszka, który dogorywając na krańcu świata w totalnej samotności, oczekiwał nadejścia nieuniknionego. Był to odór samej śmierci...

Zakręt, który tak naprawdę nim nie był. Skręt, który przeradzał się w prostą, zakończoną łukiem. Uspilo go to trochę. Cały czas osłaniał dziewczynkę, ciągle ją przed czymś chroniąc. Cały

w strachu, drżał z przerażenia. Za sobą pozostawił ciemność. Jej zmory i wyobrażenia nieludzkie. Usłyszał ostatnie odgłosy. Było to wołanie pełne rozpacz, przesiąknięte żalem, doświadczony bólem. Zobaczył wtedy oficera i jego śmierć na własne oczy. Zakłuło go w sercu, spojrzął na małą. Chronił ją, nie było takiej potrzeby, tego nie wiedział. Poruszali się w stronę dachu, w kierunku następnych schodów. Ile ich było w tym molochu? Chyba miliony już przebyli, tylko one i ciemność... Były z nimi od dawna, a w niej oaza krwiożerczych mutantów, pozbawionych uczuć i okradzionych ze współczucia. Dziewczynka coraz częściej wymiotowała, o wiele szybciej łapała zadyszkę. Bolało ją całe ciało, skóra szczypała niesamowicie. On także zauważył zmiany na swoim ciele, nie był jednak pewien, czy to skutki promieniowania, czy może skrajne wycieńczenie? Jedno i drugie było wielce prawdopodobne. Rzadko jedli, mało pili i prawie nie spali. I ten stres, ciągle napięcie zarówno myśli, jak i mięśni, które mogło skutkować tylko jednym. Bali się o tym myśleć. Mieli dla siebie wiele wyrozumiałości i tyle samo cierpliwości. Czyż nie byli sobie bliscy? Był gotów w to uwierzyć. Mógł się z tym pogodzić, że jest jego córką. W gruncie rzeczy nawet w to wierzył. Zakamarki, ściany i podłogi śliskie od wilgoci, piszczały głośno przy kontakcie z rękoma bądź nogami. Badali wszystko z czym mieli do czynienia. Wszystko, czego mogli dotknąć. Sufit penetrowali wzrokiem. Na nim ujrzeli zaprawy tynkarskie, które zanikały, a także liczne skrzyżowania ciągnących się kanałów wentylacyjnych. Starali się je wyczuć, namacać choćby końcówkami palców ten delikatny zefirek, który zapewne stamtąd wypływał. Niestety na próżno. Obszerne, metalowe rynny tchnęły już tylko tajemnicą. Nie dmuchało już na nich zupełnie nic. Ani powietrze, ani gasnące dookoła życie...

– Zginęli, prawda, tato? – nazwała go tak po raz pierwszy.

– Tak, zginęli – odparł. – Umarli, odeszli na zawsze...

– A my? Czy i my odejdziemy wraz z nimi?

– Tak, także odejdziemy – odpowiedział czule.

– Umrzemy, tak jak oni? – dopytywała.

Objął ją ramieniem, przytulił.

– Tak, dziecko, każdy tak kiedyś skończy.

Dziewczynka miała nadzieję, że tak się nie stanie.

– Czy to boli? – zapytała.

Wstrzymał się z odpowiedzią, zamyślił.

– Nie wiem... czasami tak, innym razem chyba nie.

– Może i tym razem nie będzie bolało? – zagadnęła, wpatrując się w dal.

– Może...

Próbowała dosięgnąć jego twarzy.

– Wiesz tato, bardzo się boję – nie dała rady szepnąć mu tego do ucha.

– Wiem, ja też się boję, ale pamiętaj, że jestem blisko ciebie – odparł, pochylając się nad

nią.

– Ale tato, mi nie o śmierć chodzi... najbardziej boję się tego, że tak bardzo będzie bolało...

Nie wiedział jak ją uspokoić.

– Nie myśl teraz o tym, pozostaw ją za sobą, na inne czasy...

Pokiwała głową.

– Dobrze, spróbuję, ale to nie będzie proste...

Przypomniał sobie jak budowano ten kompleks, jak Sky Tower rósł na jego oczach. Okna od jego mieszkania wychodziły wprost na budowę, oddalone od wieży o kilka kilometrów, były idealnym miejscem do obserwacji. Czasami stał przy oknie i podpierając się łokciami o parapet, wpatrywał w dal. Wypatrywał postępów na budowie i zastanawiał się nad tym, co przyniesie przyszłość. Chciał zobaczyć to cudo nareszcie ukończone. Ile myśli krążyło wtedy w jego głowie, ile marzeń i tyleż samo oczekiwań. Jaka duma w nim była i radość. Promieniowała jasnym i szczerym uśmiechem, którym chętnie dzielił się z innymi. Ten najwyższy z ideałów ludzkiej myśli twórczej, wyrósł ponad chmurami dosłownie w oka mgnieniu. Genialny inwestor, który stworzył podniebne miasto, pomyślał mężczyzna. Wtedy zapragnął być w nim natychmiast, pokochał przy tym z należytym szacunkiem. Był wielki, nowoczesny, dosłownie niezniszczalny... Był

całkowitym przeciwieństwem człowieka.

– Nie mogę już dalej iść – powiedziała dziewczynka, siadając.

– Będę cię zatem nieść – odrzekł mężczyzna.

– Nie możesz, nie dasz rady, tatusiu. Jestem za ciężka...

– Przynajmniej spróbuję.

Podniosła się z miejsca.

– Pójdę jeszcze troszeczkę – oznajmiła, uśmiechając się do niego.

– Będę cię podpierał. Tak dobrze?

– Tak, dziękuję.

Ponowiła uśmiech, zauważył liczne braki w jej uzębieniu. Zmartwił się tym.

Odetchnąć powietrzem, zachłusnąć się nim i odejść na zawsze... Odejść stąd na wieki.

Zapomnieć, by być wolnym, uśmierzyć ból... Wiele marzeń, które były oddalone i niewiele szans na ich spełnienie. Zobaczyć zieleń, dostrzec ją w przyrodzie, to cud najpiękniejszy. Drzewa, które rosły dookoła. Których wiosenne liście wspaniale się rozwijały, by jesienią złocąc się, zwiewnie opadać. Czy jeszcze tam są? Czy nadal rosną w tamtym miejscu? Spróbować raz jeszcze owoców. Pachnące jabłko skosztować, zagłębić w nim usta po raz ostatni. Poczucie, jakie jest chrupiące i jak twarde potrafi być, kolorami zachwycając. Spoglądać na ptaki, które przesiadują na gzymśach i gałęziach. Podglądać je w locie. Spotkać się z najbliższymi. Panie, jeszcze raz, ostatni, a potem mogę odejść na zawsze. Wtedy będę już tylko Twój, mówił mężczyzna. Głośna modlitwa i takie samo wołanie, były niczym najstarsze z odgłosów, które od dawien zamieszkiwały ziemię. Prośba, płaczem przesiąknięta i głuche echo, które wołanie niosło, niechlubnie strącając prosto w przepaść. Zobaczyła wtedy jego łzy, mokre i obfite, w spadające krople zamienione. Płakała wraz z nim... płakali oboje. Mężczyzna i jego maleńka dziewczynka.

– Idą za nami, czuję to. – Coś ją wybiło z letargu.

– Wiem – odparł mężczyzna, zakrywając palcem jej usta.

– Są blisko, prawda, tato?

– Tak. Są już niedaleko.

– Uciekniemy im?

– Nie wiem, postaramy się. Do dachu już niedaleko.

Wierzyła w niego nieprzerwanie, od początku i aż do końca.

– Słyszę je, tato...

– Niemożliwe, gdzie? – łapał się za uszy.

– Tato, one tu są – drżała, kiedy mówiła.

Zatrzymał się wreszcie.

– Tutaj, przecież to niemożliwe...

– Możliwe, tato. One są obok nas, przez cały czas tutaj były. Czekają, aż przyjdziemy...

– Co ty pleciesz!?! – oburzył się.

Zastygła w miejscu. Nie mogła się poruszyć.

– Tato, on mnie dotyka... Czuję na swoim ciele jego zarośnięte łapy.

Strach, który go obleciał, mógł wywołać zapaść. Tak bardzo się tym przejął.

– To niemożliwe, gdzie one są? Nic nie widzę.

– Tato, widzę je. Są wszędzie. Jest ich dużo... Otoczyły nas!

Rozglądał się, niczego nie dostrzegł.

– Tylko nie krzycz, dziecko. Zachowaj spokój.

Rzuciło ją na boki.

– Nie potrafisz! Brzydzę się ich, są takie... straszne, tato!

Ostatnie piętro, pomyślał. Korytarz prowadził prosto do wymarzonego celu. Duże, rozsuwane drzwi, były otwarte. Za nimi były jeszcze jedne, metalowe z licznymi zabezpieczeniami, które prowadziły krętą drogą na sam dach. Nie zdążyli do nich dotrzeć. Dziecko zostało mu wydarte z rąk. Kiedy myśleli, że to już, i że dotarli, one podstępem osiągnęły swój cel. Kiedy mieli nadzieję, że ocaleją, pozbawiły ich jej w drastyczny sposób. Były inteligentne, nie tylko krwiożercze i bezwzględne. Wśród nich były samice z potomstwem. Były to wielopokoleniowe

rodziny. Obaliły go na podłogę i siłą wielu rąk pozbawiły czucia. Porwały małą i uciekły, bełkocząc coś o odzyskanej, bliskiej osobie. Kilku z nich pozostało przy nim. Jaki mu los szykowały, wolał nie wiedzieć. Oswobodził się dość szybko, odgarnął ich nieprzyjemne uściski. Siłą swego miecza oderwał je od siebie, jednym precyzyjnym cięciem. Ich wiotkie i nieokrzesane łapy pospadały na dół. Piszcząc, umknęły w nieznaną. Wyłoniły się raz jeszcze z otaczających go ciemności i ponownie po chwili zatopiły we mgle. Pozostał wtedy zupełnie sam...

Różne myśli kłębiły się w jego głowie. Wydzierały stamtąd boleśnie niczym kłęby waty poupychane głęboko w pluszowego niedźwiadka. Szaleńczy taniec, pełen dramatów, rzucał nim na boki, odbijając od ścian bez ustanku. Czas, który już dawno temu skończył się prawie całkowicie, jemu nadal dodawał animuszu. Musiał działać, musiał zareagować. Iść dalej, czy wrócić i jej szukać? Nie zastanawiał się długo. Ruszył w stronę dachu. Może jeszcze go dorwę, pomyślał. Potem wróćę po nią, choć nie wiem jak ją odzyskam, ale wróćę... Potknął się o donicę z fikuśnym kwiatem, wpadł w jego liście. Pokłął się boleśnie, długie kolce rośliny nieprzyjemnie rozorały mu ramię. Pozbierał się. Cały czas myśląc o dziewczynce, szukał właściwego przejścia. Już kiedyś tu przecież był... Było to całkiem niedawno, kiedy, nie pamiętał. Nie był w stanie sobie tego przypomnieć, nie potrafił wyobrazić. Pogubił się całkowicie. Zrozumiał, że czas był nieubłagany. Tak samo go postarzał, ponaglał do działania, ostatecznie pochłaniał i grzebał... Na co dzień z zegarkiem na ręce, każdego dnia wszystko o czasie i na czas, a teraz? Skończył się wyścig, zakończył etap, czy także czas? Biegł, gubiąc drogę i odnajdując ją ponownie. Wszystko wyglądało znajomo, było prawie identyczne. Podłoga zlewała się ze ścianami, a sufit z korytarzem, który kończył się uchylonymi drzwiami. Może to te?, ciągle miał nadzieję. Pragnął, by te marzenia nie były kolejną porażką. Przebiegł przez dużą wnękę, potem przez ciasne drzwi. Były otwarte, spore wahadło kiwało się rezolutnie na framudze. Skrzypiało, pocierając o metal za każdym razem. Były to ich resztki, które kiedyś jakoś wyglądały, teraz sterczały tam niczym kikut weterana po najkrwawszej z wojen. Odepchnął je ręką, posypały się od razu. Ze zgrzytem opadły na podłogę. Zakurzyło się, wszystko na chwilę zniknęło. Czerń zmieszała się ze światłem, a jej poblądłe dotąd skupienie, rozgorzało na nowo. Porażony słońcem, zasłonił oczy. Skąd nadeszło, zastanawiał się, oczarowany. Odnalazł drogę i dach... Do jego szczytu, ostatnie schodki. Małe, maleńkie, ale jakże duże jednocześnie, po przejściu tysięcy innych, podobnych. Dotarł, czy jednak zdążył? Ziajał jak pies, którego od dawna nie widział. Czy dał radę, tego nie był pewny. W końcu tam dotarł... Boże, czy się nie spóźniłem!?, wykrzyknął, przebiegając przez ostatnią z granic...

Dzień i noc od zawsze obecne. Od pradawna rządzące na ziemi. Teraz nareszcie razem, pomyślał. Blacha zatrzepotała mu pod nogami, wiatr o mało co nie przewrócił. Gęsty pył zatykał szpary w masce ochronnej, utrudniając widzenie. Dźwięk nieba, był tam obecny, ucieszył się mężczyzna. Nie ptaki to były, nie rycząca burza, czy też walący zewsząd deszcz... Tym razem dźwięk ten, był o tysiącokrotnie przyjemniejszy. To potężne ramiona, które unosiły się i opadały, to dusza, która życiem tchnęła od razu. Ożywiła i jego. To potęga myśli człowieka, ratunek i zguba jednocześnie. To wreszcie wielki blaszany sokół, co odlecieć nie mógł, bo oczekiwał powrotu piskląt. Prężył się i napinał, odchodząc w próżnię. Odlatywał w pustkę. Mężczyzna oniemiał, ogłuchnął w jednej chwili. Instynkt na szczęście go nie zawiódł. Kolejne susy, które zrobił, ukazały mu w całej okazałości tę cudowną ptaszynę. Wielki śmigłowiec szykował się do startu. Pilot po raz ostatni spojrzął na boki i przed siebie, wtedy ich oczy spotkały się na dobre. Te palące na proch spojrzenia, ukazały zapomniane wspomnienia. Przeszłość ożyła na nowo. Na opak im wszystko zagrało, pomyślał mężczyzna, i pod prąd popłynęło, by spotkać się raz jeszcze...

– Nie odlatuj, przeklęty! – krzyknął.

– Spóźniłeś się, tak jak kiedyś – odparł, zaskoczony spotkaniem pilot.

Mężczyzna machnął ręką.

– Znowu uciekniesz? – wołał z wyrzutem. – Znowu odleczisz bez pożegnania, jak kiedyś!?

– Wiesz, że tak nie było. Wiesz, że nie miałem wyboru.

– Nieprawda, zawsze jest jakieś wyjście. Ty stchórzyłeś, teraz też jesteś tchórzem! –

krzyczał, zaszokowany ich niespodziewanym spotkaniem.

– Synu, co mogę zrobić, żebyś mi wybaczył?

Synu, jak to nienaturalnie zabrzmiało, pomyślał, zanim odpowiedział.

– Uratuj dziecko, które porwali. Zabrali mi ją, wyrwali z rąk!

– Kto tam jeszcze pozostał? – zapytał, wyłaniając głowę z kokpitu.

– Nie wiem kim są, ale na pewno nie są to ludzie...

Pilot nie zareagował na uwagę.

– Mam was na radarze, cały czas widziałem jak się przemieszczaliście.

Zaskoczył tym mężczyzną.

– Jak to? – wybełkotał. – Na jakim radarze?

– Telefon, z którego nadałeś SOS! Sygnał, który emituje, przez cały czas go widzę. Gdzie go masz?

Mężczyzna oniemiał, odparł po chwili:

– Wsunąłem małą do kieszeni.

Tamten się uśmiechnął.

– Módl się, żeby go nie znaleźli, i żeby jej nie wypadł!

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Jak ją odnaleźć? – w końcu przemówił. – Mów, albo odlatuj!

– Masz! – usłyszał. – Tu są wszystkie parametry, jest niedaleko.

Mężczyzna z zaciekawieniem oglądał mini cacko.

– Odleciś? – zapytał.

– Powinienem, kończy mi się paliwo!

– Odleciś? – ponowił, jakby nie słysząc wcześniejszej odpowiedzi.

– Nie, poczekam. Nie marnuj już czasu, idź i szukaj tego dziecka...

Nie mógł w to uwierzyć, nadal nie potrafił pojąć tego, co właśnie zobaczył. Uzbrojony po zęby przez własnego ojca, gnał niczym nieszczęśnik spragniony wendety na spotkanie z wrogiem. Nowoczesna maska, którą dostał, z filtrami przeciwpyłowymi i z wbudowanym noktowizorem, lekka i niezwykle wytrzymała, była wspaniałym zabezpieczeniem. Dwa pistolety, karabinki Skorpion i Uzi, oraz ogromna ilość amunicji, ciążyły niesamowicie. Nowy mundur, który założył, wzbogacony o pasy i specyficzną uprząż, które doskonale lokowały akcesoria. Pilot przekazał mu także wysokoenergetyczne odżywki i czystą wodę, po spożyciu których błyskawicznie zregenerował siły. Miecz o ostrzu tak śmiertelnym, że aż przekrwionym pozostałościami po trofeach, wsunięty do pochwy, zawisł na jego plecach. Pokonał kolejne metry dachu i nie oglądając się za siebie, ponownie zniknął w niebezpiecznym przejściu. Powrócił na schody, które być może dla niego, prowadziły już tylko w jedną stronę. Pozostawił za sobą warkot maszyny, słowa zniechęconego ojca i blask słońca, które przedarło się przez gęstą zawiesinę z dymu i popiołu zaledwie na moment. Kiedy wpadł w ciemności, ono także zniknęło...

Obiecał, że poczeka, ale ile były warte jego słowa, zastanawiał się mężczyzna. Dobrze go znał, nie miał jednak wyboru, szczególnie po tym, co powiedział mu ojciec na powitanie, kiedy zapytał o resztę świata. Modlił się teraz w ciszy i w ciemności, a delikatne światło latarki, penetrowało najbliższą okolicę. Nie wytrzymał, zagrzemiał. Poczeka, może choć raz do cholery nie zawiedzie! Kolejna ściana, taka sama wydawać by się mogło, jak wszystkie inne, teraz w blasku rozproszonego światła, ukazała wszystkie ubytki. Była podziurawiona, prawdopodobnie kulami. Całe pomieszczenie i kolejne także, wyglądały jak po wielkiej bitwie. Tu zaczęły się na nich, kiedy przylecieli. Nie mieli żadnych szans, pomyślał. Była to walka na śmierć i życie, gdzie śmierć zwyciężyła. Rozejrzał się dookoła, zastanawiał nad czymś przez chwilę. Ci co od razu nie zginęli, uciekali zapewne w tym kierunku, prosto w paszczę lwa. Tam było ich więcej, tych krwiożerczych stworów. Dobrały się do nich ostatecznie. Na suficie zobaczył ślady pazurów, poniszczony tynk zwisał niechlujnie. Potłuczone lampy, ubite klosze i rozsypane na podłodze, strzelały pod jego butami. Ciężkie, wojskowe trapezy, powodując hałas, oznajmiały, że nadchodzi. Minał trzy korytarze, dwa zakręty. Jeden w lewo, a drugi w prawo, i kolejne jeszcze drzwi. Dotarł do schodów, które prowadziły na dół. Delikatnie i pomału stawiał kroki, lustrując cienką strugą światła latarki każde zagrożenie. Wszędzie panowała grobowa cisza. Zerkał co jakiś czas na przyrząd, na którym dostrzegał poruszającą się, małą kropeczkę. Patrzył wtedy na nią i dziękował. Korytarz, na który

wkroczył potem, nie był jaśniejszy od poprzednich. Zatrzymał się na chwilę, bo sygnał urządzenia zaczął słabnąć. Zerkał na boki i przed siebie, dostrzegając szyby zdezelowanych wind. Jeden po drugim, były obrosnięte brudem i pokryte pyłem. Nie wyglądały ciekawie. Obok imitacja jakiejś rośliny. Sztuczne kwiaty, pomyślał. Tylko to mogło jeszcze ocaleć. Przebił się przez gęste liście palmy, odsuwając je na bok. Były sztywne w dotyku i choć miał na rękach rękawiczki, to doskonale to wyczuwał. Były sprowadzone z Chin, tak było najtaniej. Dalej dostrzegł sofy i fotele, które dość sprawnie ominął, szklany stolik, na którym zalegały gazety i stojący obok dystrybutor z wodą. Ta, czerwona od środka, nie nadawała się do picia. Płyn, który w niej zalegał, bulgotał nieapetycznie. Sprawdził wszystkie wnęki i zakamarki piętra, na nic się to jednak zdało. Kilka razy miał wrażenie, że ktoś czai się obok, że zaraz na niego skoczy. Była to tylko jego wyobraźnia. Cisza, głucha i całkowita. Taka, która zabijała po kawałku i to od dawna. Nienawidził jej, tak jak kiedyś. Nienawidził hałasu. Teraz sam już nie wiedział, które z nich było gorsze? Dotarł do schodów, następnych i kolejnych, tutaj były aż trzy klatki. To aż trzy kolejne zejścia, załamał się. Którą wybrać, nie wiedział. Zaglądał niemal do każdej. Do dwóch, bo trzecia była zamknięta. Tam, gdzie wpatrywał się w czerń, nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Wydawało mu się, że musi przedostać się przez ostatnie, zamknięte wrota. Czy była to właściwa droga? Czy one potrafiły zamykać drzwi na klucz? Skoro nie były ludźmi, czy były aż tak sprytne? Z pewnością, skoro wcześniej zaskoczyły wyszkolony, elitarny oddział. Szarpał się z klamką dość długo, próbował otworzyć zamek prowizorycznym wytrychem. Podważyć zawiasy, wszystko na nic. Wskaźnik odbiornika poszukującego sygnału telefonu dziecka, dawał czytelne znaki. Zaczął walić w te drzwi, postanowił je wysadzić. Odsunął się do tyłu i chowając za murem, wypalił z granatnika. Potężny huk i uderzenie, które rozniosło masywne podwoje, dały sygnał tamtym. Stwory przegrupowały się, niektóre zawróciły. Teraz śliniąc się i okropnie charcząc, rzuciły się w jego stronę. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, bo już tam na nie czekał...

Wpadły niczym tornado, niszcząc i rujnując wszystko. Szukały go, pragnęły zemsty. Drewniane stołki pękały w ich łapach niczym leśne igliwie pod butami dzieci. Przebierały ruchliwie trzewikami, grzebiąc we mchu ostatnie ślady. Były prawie niewidoczne, tak samo wiotkie, jakby spróchniałe. On o tym wiedział, rozgryzł je dawno temu. Seria z karabinu, długa i kąśliwa, położyła na ziemi pierwszych trzech. Pozostali zerwali się do ucieczki. Chcieli wiedzieć skąd padają strzały, nie było to możliwe. Kolejna seria położyła pokłosem następnych. Leżąc na sobie, mówiły coś w niezrozumiałym języku. Podszedł bliżej i poświecił im latarką w oczy. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Dostrzegł zło absolutne...

Głowa, która nie była już głową i oczy, które niczym ślepie diabelskie połyskiwały zewsząd. Kły, które szarpały, rozrywając na części. Pożerały się, gryzły, wyrrywając z pysków, co popadnie. Skóra im schodziła, a włosy częściowo wypadły. Tam, gdzie jeszcze były, stwardniały, zapętlając się na sobie. Nie dłonie i nie palce, tylko szpony z zakrzywionymi do wewnątrz pazurami, pomyślał mężczyzna. Niesamowicie to wszystko wyglądało. Kim byli ci nieludzie, co ludźmi kiedyś musieli być? Co ich aż tak zmieniło? Zwierzaki pluły własną krwią, która tryskała na wszystkie strony i śliną, która białą substancję z siebie wydzielala. Skomlały przerażone, strasząc tym pozostałych. Wystraszyły też dziecko, które prowadzone w nieznaną, wyrywało się co rusz. W mocarnym uścisku schowane, pozbawione wolności, wydawać by się mogło, że prowadzone na zatracenie. Małą przekąską zostać mogło. Tak bardzo się wtedy bała, myśląc o tym, a on był już blisko niej, zabijając kolejne bez zastanowienia...

– Tato! – wreszcie krzyknęła.

Usłyszał jej głos, który przeszył go na wylot.

– Gdzie jesteś, dziecko!?! – próbował nawoływać, ale ona go nie słyszała.

– Tato, błagam cię, pomóż mi! Tato, gdzie jesteś? Odleciałeś beze mnie!?

Walka na śmierć i życie, to wyniszczająca wojna, w której nie było ani zwycięzców, ani pokonanych. Nie było już nic, tak jasno mu to wtedy powiedział. Koniec świata, to niemożliwe, pomyślał. Musi walczyć, musi iść dalej, dotąd, aż ją odnajdzie. Póki ona żyje, póty jest nadzieja, a do jej końca droga daleka i wyboista. I znów schody w dół... takie same, które setkami wcześniejszych straszły, kiedy szedł pod górę. Za mną piekło Hadesu, wymamrotał. Zmory

wymordowanych ludzi, co nimi nigdy nie byli. Krew, pot i łzy. Pragnienie miłości, które odsuwało zemstę daleko do tyłu. Jego zemstę. Idę po ciebie, jeśli mnie słyszysz!, zawył okrutnym głosem, jakby nie swoim. Uwolnił się od nich, zabił je, wciągając w zasadzkę, tak jak one postąpiły z żołnierzami. Prowadzony już tylko przez wiarę i szukający nadziei, oczekiwał wybawienia. Nie liczył na przetrwanie. Po rozmowie z ojcem wiedział, że nie było ono nikomu pisane. Po co więc jej szukał? Pamiętał o obietnicy. Słowo dane kobiecie tuż przed jej śmiercią, było teraz szczytem jego najwyższych pragnień i celem ostatecznym...

Zszedł trzy piętra. Odrzucił zużyty sprzęt, pozostawił automaty. Dwie potężne lufy sterczały teraz tuż przed nim, wyczuwał obecność wroga. Podchodziły do niego, wiedział o tym. Okrążyły go, nic nie mógł na to poradzić. Było ich kilka, jedno większe od drugiego, wszystkie pochylone i śmierdzące. Każde niemrawe, ale tylko na pierwszy rzut oka. Zabijały wcześniej wielokrotnie, pożerając żywcem zdobycz. Karmiły się cudzą krwią. W swoich łapach trzymały zaostrzone, obusieczne kosy. Potężne sztylety i stare strzelby, czy były nabite? Dźgały nożami wszystko na co wpadły, bez zastanowienia. Były pełne agresji. Ryczały przeraźliwie, nieczystym głosem oznajmiając wielkie niezadowolenie. Zasłonił na chwilę uszy, by tego nie słyszeć. Oczy pozostawił jednak otwarte. Dostrzegał każdy ich ruch, widział czym były. Obraz ten był koszmarem, którego zapewne już nigdy nie zapomni. Wkroczył pomiędzy nich, rozpętała się walka... Małe światełko jego latarki skakało po wszystkich ścianach niczym świetlik, który uciekał przed próbującą go pożreć modliszką. Wraz z tym padały kolejne strzały i następne ciała, które lądowały z hukiem pod jego nogami. Przyłożył jednemu z nich pistolet do skroni, zdążył zaledwie na niego spojrzeć. Wypalił bez zastanowienia, resztki wnętrzości zalały mu całą osłonę na oczy. Starł pozostałości mózgu ze swojej maski i spojrzał po raz ostatni na nie. W momencie wystrzału zobaczył w tych ślepiach błagalny głos, jakby słysząc ludzkie jęczenie. Zwierzę nie prosiło go o litość. Błagało o śmierć i o jak najszybsze uwolnienie. Kiedy zdychało, leżąc w kałuży krwi, dziękowało za ocalenie, tak to odczytał. Wyjął miecz i stanął naprzeciwko największego z nich. Ostatniego, który jeszcze pozostał. Mierzyli się wzrokiem, spoglądali na siebie spod ogromnych masko-helmów, które mieli na głowach. Szykowali się do skoku. Mężczyzna zgasił swoją latarkę, zamknął też oczy i spróbował go sobie wyobrazić. Chciał go dostrzec tak, jak kiedyś nauczył go tego mistrz. Mrok opanował ich ciała w jednej chwili, umysły były nimi oblepione już od dawna. Chyba od zawsze, pomyślał mężczyzna. Teraz ukazały mu całą prawdę, dostrzegł drugą naturę człowieka. W smrodzie i w stęchliźnie okropnego miejsca, wyczuwał także lekkie orzeźwienie. Wszystko falowało mu przed oczami. Zobaczył całe swoje dotychczasowe życie. Zobaczył siebie z perspektywy ogromnego zwierciadła, monitora życia, który był niezwykle dokładny. Zobaczył jak... umiera. Nareszcie, ostatkiem sił dopowiedział.

Tato, gdzie jesteś?, usłyszał jej głos. Nie wiedział, czy nie był on już tylko wspomnieniem? Ocknął się z zadumy, zapalił latarkę. Promień jasnego światła, objął zasięgiem okolicę. Rozświetlił ją na nowo, jakby ogrzał. Zrobiło mu się lepiej, cieplej było też na duszy. Skapująca woda, której krople ześlizgiwały się po rurach obok jego nogi, była przejmująco zimna. Okna, w których grube i gęste rolety odcinały dopływ światła, trzeszczały złowieszczo. Ściana, na której kiedyś wisiała ogromna szklana półka, teraz wystawały z niej zaledwie małe haki. Było ich kiedyś więcej, ale powypadały. Resztki szklanej obudowy, walały się po całym pomieszczeniu. Podłoga splamiona odchodami i zgniłym pożywieniem, straszyla, odurzając. Tłamsił w zarodku pozytywne myśli, niszcząc je od środka. Jego skóra znacznie się wybieliła. Nie zobaczył w tym wszystkim jego, nie dostrzegł zmutowanego oprycha, który jeszcze przed chwilą stał tuż obok. Pomyślał wtedy, że wreszcie, to się skończy, że albo zabije, albo zginie. Tamten jednak zniknął. Odszedł, albo uciekł, może w ogóle go tam nie było? Mężczyzna zobaczył pod sufitem makabreski, które zrobiły. Esyfloresy. Wspinały się po nim, w końcu zniknęły. Nadal istniały, pomyślał. Śledził je wzrokiem. Wodził po nim ręką, kiedy odeszły. Zaciskał pięści, krzyczał. Rytm do ataku wybijał im jego głośny płacz. Nadal żyły, powtarzał drwiąco. Ponaglał do dalszego marszu. Syczały w oddali. Kpił z nich, miotał się, oszalał... Ciął mieczem, napierał z odwagą i haratał już tylko puste przestrzenie... Zobaczył wolność. Oczyma wyobraźni ujrzał zagubione dziecko, które zaplątane w dziwaczne kokony, leżało w półmroku. Dostrzegł śmierć blisko siebie i nadzieję, która powróciła.

Schylił się, a ona tam była...

Oswobodził małą z kokonów i z długich zwojów nici pajęczych. Wydostał z tego, przecinając kilka najmocniejszych. Obslizgł i kleiście otaczające, za nic nie chciały puścić. Stoczył drakońską walkę, w tle dostrzegając sylwetki. Zapewne strażników tego miejsca, pomyślał. Dotąd schowane, teraz nieśmiało przesuwające się na boki, śledziły każdy jego ruch. Były tak blisko. Wziął dziewczynkę na ręce i próbował unieść, ale nie dał rady. Odzyskała wtedy przytomność. Majaczyła coś o wielkich jajach, z których wyłaziło coś strasznego. Podał jej adrenalinę, potem jeszcze napoił. Szedł uparcie dalej, ciągnąc ją niewprawnie za sobą. W końcu go rozpoznała, szczęście wymalowało się na jej twarzy. Nigdy tego nie zapomni. Mieli dziesięć pięter do dachu. Aż tak daleko musiał się po nią zapuścić, zaszlochał. Aż tak nisko zniosły ją te cholerne maszkarę. Podał jej jedzenie, potem odział w kombinezon. Stała wreszcie na nogi. Próbowła iść, ale przewracała się. Za długie miała nogawki, które zaczepiały o przeszkody. Zawinął je natychmiast, podciągnął do góry. Spojrzała na niego, uśmiechnęła się. Zauważył to. Ile był warty ten uśmiech, pomyślał. Może majątek, którego i tak nigdy nie odzyska. Było mu to potrzebne. Mocno tęsknił, tak bardzo się do niej przyzwyczaił. Nareszcie ją odzyskał, ale czy ocaleją? Czy wymkną się po raz kolejny, czy śmigłowiec jeszcze nie odleciał, czy wreszcie starczy im sił? Dławił się własną śliną, kiedy ją przelykał. Parł do przodu. Noga za nogą, kolejne zakręty i korytarze, które przebył. Szyby wind i schody ewakuacyjne, których nie ominął. Następne piętra, które pokonali, dysząc jeszcze bardziej. Zdobyli je niczym najwyższą z gór. Z trudem, ale do szczytu było jeszcze daleko. Siły, które na chwilę powróciły, były u kresu, a wiara, którą dawno temu utracił, odżyła na nowo. Po raz enty zresztą i niewiadomo który, czy aby i nie ostateczny? Tyle myśli kotłowało się w jego głowie i w jej maleńkiej główce. Były to dwa tęgie umysły, które dzielnie stawiały im opór. Barykada z ran, które bólem powodowały zapomnienie, odsuwała od nich widmo upadku. Odpychała bolesne wspomnienia, stając się zaporą w postaci umysłu, który przenigdy się nie poddał. Splunął przed siebie. Dostał śliną po oczach. Zamknął je. Zobaczył szarość zmieszaną z czernią, życie ze śmiercią i pył z popiołem. I ich w tym wszystkim, otoczonych zewsząd przez zło najgorsze... I ponownie do góry, noga za nogą, potknięcia i upadki. Znowu krzyczał, kiedy musiał ją podnosić. Za nimi słabnące okrzyki i przeszywające szelesty, gdzie ciarki przechodziły po skórze. Bez przerwy się przy tym odwracali...

– Nie mogę już dalej – prosiła żeby ją zostawił.

– Możesz, idziemy...

– Nie chcę...

Nawet wtedy na nią nie popatrzył.

– Będziesz iść! Jeśli się nie ruszysz, zaciągnę cię tam za włosy!

Niemal się obrazila, wyszeptała:

– Dlaczego? Zostaw mnie tutaj, co ja ci zrobiłam?

Mocniej ją wtedy pociągnął.

– Pojawiłaś się w moim życiu – krótko odpowiedział.

– Tylko tyle? – zapłakała.

– Dla ciebie to tylko tyle, dla mnie, to znacznie więcej...

Nie zrozumiała.

– Ile więcej? – zapytała.

Oslabił uchwyt.

– Dla mnie to wszystko – odrzekł. – Ruszamy, złap się plecaka...

Śmigłowiec ledwo doleciał do dachu. Gęsty pył zmieszany z popiołem stworzył nieprzenikloną mgłę. Ciężka zawiesina opanowała niebo nad miastem. Czy wylądował? Czy jeszcze tam był, martwił się mężczyzna. Dziecko od dawna już tylko o tym myślało. Dlaczego wrócił?, zapytała. Nie odpowiedział. Nie znał słów, którymi mógłby to opisać. Łzy spływały mu po twarzy. Dostrzegła, choć starał się to ukryć. Była niezwykle spostrzegawcza, pomyślał. Zaborcza i rezolutna. Od małego chciała chyba mieć dla siebie dosłownie wszystko, zaśmiał się pod nosem. Prawdziwa baba, skomentował jej egoistyczne zachowanie. I znów do góry. Musiał ją zapędzać siłą, bo odmawiała marszu. Wyła z bólu, a on nie odpuszczał. Budynek wyglądał jak jedno wielkie

pobojowisko. Miał zdewastowane pomieszczenia, poniszczone sprzęty i meble. Odpady były wszędzie. Dziewczynka przez cały czas była obok niego, ciągle sprawdzał, czy się gdzieś nie oddaliła. Nie chciał żeby ją znowu zabrały, żeby porwały tak samo, jak wtedy. Teraz nie potrafiłby już tam wrócić, nie tym razem, nie starczyłoby mu sił i zapewne czasu. Umarłby z żalu, skonał ze zmęczenia i tęsknoty. Kim była, przecież nawet dobrze jej nie znał? Była dzieckiem bożym, pomyślał. Namiastką życia, które pomału odchodziło w zapomnienie. Nie chciał na to pozwolić, nie potrafił z niej zrezygnować. Dobrze wiedział, że jeśli poprzez swoje wielkie cierpienie nie była głosem bożym, to Bóg zapewne nigdy nie przemówił...

– Jeszcze trochę, dasz radę! – zapewniał ją.

Słaniała się na nogach.

– Nie dam rady, tato. One są już za nami, znowu je czuję...

Odwrócił się za siebie, ale niczego nie dostrzegł.

– Wiem, dziecko. Zbliżają się do nas, a potem oddalają. Ciągłe zmieniają strony.

– Zaatakują nas? – zapytała, podpierając się o ścianę.

– Nie wiem, to możliwe. Wiesz, że musimy być na to gotowi.

Ciągłe zagrożenie, było niczym schizofrenia, która siała w umyśle spustoszenie. Miała już tego dosyć.

– Boję się, tato. Cała się trzęsę.

– Ja też się boję, przede wszystkim o ciebie, bo chcę żebyś tam doszła...

Kiedy mówił, miała wrażenie, że nie interesuje go jego los.

– A ty? Nie chcesz tam dotrzeć, tato?

– Mnie już nie ma – odparł.

– Nie mów tak! – krzyknęła i złapała go za rękę.

– Wiem to, dziecko. Czuję, że mój czas nadchodzi.

Zastanawiała się jak go pocieszyć.

– Dasz radę, tato! – razem z nim płakała, kiedy wymawiała te słowa.

Przystanął. Rozglądał się.

– Idź już – poprosił. – Biegnij, szkoda czasu – zebrał się w końcu w sobie. – Przecież musimy tam dotrzeć...

Zareagowała niespodziewanie.

– Tato! On znowu na mnie oddycha, słyszę jak bije mu serce...

Wiedział, że były gdzieś w pobliżu.

– Zamknij uszy, skarbie i nie patrz na nie!

Jakby zobaczyli swój końcowy przystanek.

– Nie patrzę – odpowiedziała. – Ale on znowu łapie mnie za rękę... tato, on mnie gdzieś ciągnie!

Były blisko, zaciskały wokół nich pętlę. Omijał je dotąd skutecznie, właściwie wybierając drogę. Intuicyjnie unikał zagrożenia, ale wiedział, że to nie będzie trwało wiecznie. Metalowa zasuwa od ostatnich na ich drodze drzwi, połyskiwała w blasku światła latarki chromowanym odbiciem. Dostrzegł skórę na fotelach i flausz na sofie, kiedy ją mijał. Potem wpadając na korytarz, ominął wąską poczekalnię, wyłożoną ciemną glazurą. Dalej przeszedł przez kolejne i następne jeszcze biuro, bojąc się dotykać czegokolwiek. Byli już niedaleko. Wiedział o tym, wtedy one znowu się pojawiły. Wylazły skądś w jednej chwili, ryczały straszliwie. Piekliły się. Dlaczego nie wcześniej, pomyślał mężczyzna. Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego pozwoliły im dojść aż tak daleko? Puścił dziewczynkę. Wyciągnął miecz i choć nogi odmawiały mu posłuszeństwa, złapał za rękę, wydobywając ostrze. Jego klinga błysnęła w blasku delikatnego światła, które dopiero po chwili ujrzeli. Było to słońce, które co jakiś czas wylaniało się z mroku, przebijając przez ogarniające je chmury. Zaświeciło teraz pełnym blaskiem. Ciepłem swym niosło życie, dawało także nadzieję. Na krótko. Najważniejsze, że tam było, nie zapomnieli o nim. Pamiętali, a świadomość tego, ciągle dodawała im sił. Takich jak oni, mogły być tam setki. W mieście tysiące, walczących o swój ostatni oddech...

Błękitne obłoki, które nad nimi wisiały, piętrzyły się na niebie i na nowo zanikały. Pod

postacią białych chmur płynęły w nieznaną. Kiedy się zbroił, przemawiał do niego ojciec. Kiedy zaciskał paski od uprząży, zakładał buty i maskę, powtarzał mu, co zobaczył. Kiedy wybierał broń i kiedy się posilał, ojciec głośno mu tłumaczył. Dotarło to do niego dopiero później. Wtedy, kiedy już po nią schodził. Słowa ojca jakby w nim ożywając, ukazały mu całą prawdę. Czy mógł mu znowu zaufać, czy powinien? Po co ojciec miałby kłamać? W tej sytuacji i tak by niczego tym nie osiągnął, nie tak jak kiedyś, pomyślał. Przecież dobrze to musiał widzieć, skoro wykonał jeszcze cztery inne kursy po wybuchu.

Kiedy ojciec powiedział, że miasta już nie ma, to mu nie uwierzył. Wybuch, który uniósł do góry obydwa centralne mosty, po chwili rzucił je prosto w nurt piętrzącej się rzeki. Pękły niczym plastikowe zabawki pod stopami skaczącego po nich dziecka. Woda natychmiast zalała Katedrę, niszcząc ją i jej dwie ogromne wieże. Urząd Wojewódzki, który był niedaleko detonacja zmieliła na proch, a potem to, co z niego pozostało rozmyła, opadającą na to wodą. Muzeum Narodowe i Biblioteka Uniwersytecka, te dwa potężne gmachy w jednej sekundzie wyparowały. Centrum miasta przestało istnieć, a fala, która się do niego wdarła utopiła w oka mgnieniu tysiące niewinnych osób. Większość z nich wcześniej się spaliła. Nawet tego nie poczuli, znikając na zawsze. Dosięgła ich niszczycielska siła tam, gdzie akurat stali. Potężny, śmiertelny grzyb wyłonił się z obłoków nieba niczym mityczny feniks z popiołów. Zabrał ze sobą ludzkie dusze, które oszczędziła fala uderzeniowa. Dobił to, co dogorywało. Najstraszniejsze było jednak coś innego, nie był to jedyny atak w tym czasie. Bomba nie była miejscowym incydentem, odosobnionym przypadkiem ataku szaleńca. Podobnych wybuchów w kraju i na świecie, było wtedy znacznie więcej...

– Puść mnie! – krzyczała, dziewczynka. – Tato, on mnie ciągle trzyma!

– Gdzie, nie widzę!? – zmagął się z niewidocznym wrogiem.

– Tato, on mnie gdzieś ciągnie...

– Kto taki, tutaj nikogo nie ma!? – odparł, rozglądając się na boki.

– Jest, czuję go – płakała. – Znowu mnie ciągnie do tej czarnej pieczary... Tato, nie pozwól mu na to!

Majaczy, pomyślał.

– Skarbie, tutaj nikogo nie ma, to tylko moja ręka!

Nie dawała wiary.

– Nie tato, on tu jest... słyszysz, jak za nami idzie? Jak przebiera tymi swoimi owłosionymi łapami!?

Wysłuchiwał się przez moment, ale niczego podejrzanego nie usłyszał.

– To tylko my! To my tak hałasujemy, dziecko. To nasze buty tak dźwięczą – próbował ją uspokoić.

Była nieugięta.

– Nie tato, mylisz się, one tu są – odpowiedziała. – Chcą nas pożreć i wierz mi, nie pozwolą nam stąd odejść...

„Wchodźcie przez ciasną bramę! Bo szeroka jest brama i przestronna ta droga, która prowadzi do zguby, a wielu jest takich, którzy przez nią wchodzi. Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia, a mało jest takich, którzy ją znajdują!”^[1]

Strach powrócił na nowo. Byli na to gotowi. Wiedzieli, że ich czas nieubłagane uciekał. Nadchodził koniec. Wszystkie drogi, kręte i szerokie, którymi dotąd zmierzali, zapętlily się jeszcze bardziej. Wyzwoleni z jarzma opętania, pewnie stawiali maleńkie kroki. Szli, szukając jedynej ścieżki. Marzyli, śniąc o upragnionej wolności. Niewidoczna dla nich była i niedostępna, choć tuż obok, bo pod stopami. Uwierzyła mu nareszcie, a on ją ocalił. Zrozumiała to, kiedy i tę drogę ostatecznie odkryli, błakając się wcześniej bez ustanku, patrząc na śmierć i ją zadając. Doświadczyli męki, zło najokrutniejsze zniewolili, pojęli jego naturę. Maleńkie światełko w tunelu, które zobaczyli oczyma wyobraźni. Miniaturowa zapalniczka i jej niezwykle płomień w tej ogromnej wieży. Delikatne promienie słońca, które od czasu do czasu wpadały przez nieliczne prześwity, wskazywały szlak, chowając się w poświacie gęstej mgły i unoszącego się prochu ludzkiego. To wszystko prowadziło ich do ostatecznej z bram, wskazując wrota końcowego

wybawienia...

– Tato, czy Bóg istnieje?

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Bo nie mam kogo, bo tego nie wiem. Bo może znasz odpowiedź?

Spojrzał na nią, uśmiechnął się przez łzy.

– Nie znam dziecko, nikt jej nie zna, ale wszyscy to wiedzą...

Uniosła głowę, szukając jego wzroku.

– Jak to? – pragnęła wyjaśnić. – Kto taki?

– Wszyscy, którzy wierzą.

Nie zrozumiała, zapytała:

– Ci co mają jeszcze nadzieję, tacy jak my?

– Ci także – potwierdził. – Ci przede wszystkim.

Pląkała tak jak i on. Mówiła do niego, a płynące łzy, skapywały po brodzie prosto na ziemię.

– Tato, Bóg tak naprawdę jest przecież obok nas!

– Tak, dziecko, jest i był także wcześniej. Przez cały ten czas...

Złapała go za rękę, zawołała:

– To Jego wtedy wyczuwałam, tato. Chronił mnie przed tymi maskarami, a ja głupia, bałam się Go tak bardzo...

– Był z tobą i nadal jest, bezustannie spogląda na wszystko z góry – tłumaczył z pokorą dziecku.

Dziewczynka w skupieniu go słuchała.

– To dlaczego nic nie robi? – zagadnęła.

– Robi, wiele – odparł. – Ale oni o Nim zapomnieli, wygnali Go z serca...

– I powrócił? – oczekiwała jednej tylko odpowiedzi.

Wstrzymał się przez chwilę z odpowiedzią, potem oznajmił:

– Tak, dziecko. Zawsze powraca!

– Tato, już się nie boję – zapewniała go. – Nareszcie odnalazłam drogę...

– To dobrze, dziecko. Cieszę się za nas oboje...

Nie spuściła głowy, wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej starała się ją unieść.

– Wiesz co? – wyszeptala. – On jest tu z nami i wierzy w nas naprawdę mocno...

Poprawił jej włosy, schował pod maską, która od razu wszystko skryła. Pogładził po plecach, które zgarbiły się jeszcze bardziej. Przytłoczył ją, przygniótł masywnym ciałem, choć ona to wytrzymała. Tak bardzo szukała jego ciepła, tak mocno przy tym pragnęła nie zginać. Teraz nareszcie miała na to szansę. Wciągał ją na górę budynku, pchając i ciągnąc na przemian, a kiedy już nie mogła, dodawał otuchy. Kiedy rozpierała ją energia, studził niekontrolowane emocje. Wrywała mu się wtedy, gnając mocno do przodu. Teraz także wstąpiły w nią nadludzkie wręcz siły, poczuł tę moc, razem jej doświadczyli. Małe drzwi, prawie niewidoczne, skryte przed nimi i przed całym światem. Przeszli przez nie niezauważenie. W jednej chwili zobaczyli tak jasne światło, że ich poraziło. Zamknęli szybko oczy, a ono nadal świeciło, przebijając się przez zamknięte powieki. Parzyło, oświetlając właściwy szlak. Zrozumieli wtedy wszystko. Pojęli naturę i piękno nieopisaną doskonałości...

– Tato, tutaj go nie ma!? – krzyknęła, wychodząc na dach.

– Odleciał, sukinsyn, wiedziałem!

Wiatr o mało jej nie przewrócił.

– Tato, co teraz zrobimy!?

Mężczyzna nie odpowiedział, nadal się złościł.

– Zwiął, tak samo jak kiedyś. Jak wtedy, gdy uciekł od odpowiedzialności...

Nie wiedziała o czym mówił.

– Co z nami będzie, zginiemy?

Jakby jej nie słyszał.

– A ja mu uwierzyłem, głupiec ze mnie. Zaufałem mu, pomimo wszystko...

Nie wytrzymała dłużej.

– Tato, zrób coś, proszę!
– Powinienem przewidzieć, że pęknie, i że znowu mnie zostawi... a niech cię! – wyzywał się na ojcu, zapominając o dziecku.

– Słyszysz, tato. Jakby windy ruszyły! – oznajmiła.

Ocknął się wreszcie.

– Słyszę, jadą do góry.

– Jadą po nas? – nie wierzyła.

– Na to wygląda. Nie mam pewności, ale tak mi się wydaje.

Schowała się za nim.

– Tato, a kto jest w środku?

Popatrzył na nią.

– Nie wiem, dziecko. Na pewno nikt dobry – odpowiedział.

Przylgnęła do niego całym swoim ciałem.

– Jest coraz bliżej – wskazała na szyb windy. – Słyszę jak ociężałe się porusza...

– Musi być przeładowana – dodał, po czym czule ją objął.

– I jakieś głosy słyszę... wiele dziwnych słów, jakby nieładnie je wypowiadali – mówiła pod nosem.

Nie mógł zebrać myśli.

– Odejdź stamtąd natychmiast! – wykrzyknął. – Słyszysz, odsuń się!

Wystraszył ją tym.

– Gdzie, tato? – zapytała błagalnym głosem. – Tutaj nic już nie ma – wskazała na otaczającą ich, podniebną pustkę. – Tylko pękający dach i huczące na wietrze, potężne anteny. Nic więcej...

– Pourywane kikuty, nie anteny. Pozostałość po tamtych czasach, wspomnień. Wraz z nimi odeszła też i łączność. Kiedy spadały w przepaść, upadło ludzkie porozumienie. W jednej chwili wszystkie ziemskie języki spaliły się raz na zawsze...

– Słyszę je, tato. Ciągłe się do nas zbliżają – przerwała ciszę.

– Tak, są już pod nami. Zamknij oczy, kochanie.

– Boję się tato...

– Wiem, ja też się boję...

– Bardzo? – znowu do niego przylgnęła.

– Tak, najbardziej na świecie – odparł. – Kiedy otworzą się drzwi – wskazał je – i kiedy tu wejdziesz, obiecaj mi, że nie będziesz tam patrzeć!

Cała się trzęsła ze strachu.

– Tego nie mogę ci obiecać, tato. Nie wiem, czy wytrzymam...

– Obiecaj, proszę! – nalegał.

Znowu płakała.

– Obiecuję – powiedziała niewyraźnie. – Przynajmniej się postaram.

Pogładził ją po głowie, ucałował.

– A teraz pomyśl o czymś miłym – zaproponował.

– Tato! – wykrzyknęła, odsuwając się od niego. – Ja nie mam przecież takich wspomnień, zapomniałeś już!?

– Przepraszam – kajał się. – Chociaż się postaraj...

– Dobrze, spróbuję – obiecała. – Tato, słyszysz?

– Tak, słyszę je... wyczuwam, jak paskudnie dyszą...

– Nie to, tato. Nie o to mi chodzi. Wsłuchaj się w serce. Spójrz tam, zobacz!

Popatrzył we wskazanym kierunku.

– Nie do wiary... – wyszeptał, pozostając z otwartymi ustami.

Zachłysnął się śliną z radości. Zachłysnęli się wolnością oboje.

– Tak, tato! – podskakiwała ze szczęścia. – Metalowy ptak powrócił!

Dzień, który zanikał pod naporem nocy, był ich jarzmem. dzielnie stawiali opór, a on przenikając przez jej ciemną poświatę, na nowo powracał. Walczył z nią do ostatniej, jasnością wypełnionej minuty, pomyślał mężczyzna. Mgła poczęta z ludzkiego lęku i zrodzona z jego

obumarłych szczątków, które wraz z wybuchem wzbily się wysoko w przestworza, była zabójcza. Niebo opanowały chmury radioaktywnego, czarnego deszczu, który zalewając świat, niszczył go w jednej chwili. Słońce, które zawsze było w pobliżu, teraz jakby zasnęło, otulone powłoką ludzkiego strachu. Było bezsilne. I bezmiar nicości, którego już nie zobaczył. Morze pustki, przepełnione łzami śmiertelników, które rozlało się na wszystkie strony. Zatopiło przy tym wszystko, co żyło. Zabijając ostatecznie, choć tamto już dogorywało. Dzieła zniszczenia dokonał szalejący w przestworzach wiatr, zasypując to bagno, górą zatykającego dech popiołu...

Mężczyzna stojąc na granicy dachu spoglądał na krążący wokół niego śmigłowiec. Cały czas trzymał za rękę dziecko, które miało zamknięte oczy. Dziewczynka bała się spoglądać w stronę drzwi. Dotąd widziała tam tylko zło. Uścisk jej małej rączki wciąż nabierał mocy. Ścisłała go teraz najmocniej, jak tylko potrafiła. Słyszac odgłosy maszyny i wraz z jej kolejnymi nawrotami, drżała coraz mocniej. Trzy podejścia i wszystkie nieudane. Czy wyląduje, zastanawiał się mężczyzna. Czy uda mu się osiąść na tym podniebnym lądowisku?

Wtedy, gdy pomyślał, że to już koniec, ojciec się pojawił. I choć nie wierzył, że powróci, to uczynił to. Zrobił to w imię zadośćuczynienia, a może chciał być tylko człowiekiem, zastanawiał się. Kim zatem był jego ojciec? Kiedy był mu potrzebny, nie było go, a teraz pojawił się tak niespodziewanie. Po co wrócił? Po co, skoro nie był już w stanie niczego naprawić!? Znowu namiesza mu tylko w głowie, wściekł się mężczyzna. Helikopter krążył ponad nimi, musieli przykucnąć, bo podmuchy, które wywoływał, były zbyt silne. Otworzyli oczy, wpatrując się w jego podłużne kształty. Był uzbrojony w pociski, które wystawały z wyrzutni. Zapomnieli o cierpieniu. Ten blaszany kolos, który tak przeraźliwie wył i przypominał wyglądem atakującą ważkę, zwał z nóg. Ich też w końcu powalił. Upadli wtedy na kolana. Niektóre elementy dachu przeleciały niebezpiecznie blisko... tuż nad ich głowami.

Dziewczynka mówiła coś, ale mężczyzna nie słyszał. Widział jak niemrawo poruszała mocno spierzchniętymi ustami. Była spragniona, on także, ich oczy zaś, były pełne trwogi. Nie było w nich natomiast rozpaczy, pozostała po niej ostatnia łza, którą uronili niemal jednocześnie. Maszyna opadała na dach po raz kolejny. Schodząc w dół, lekko przechylała się lewym bokiem w ich stronę. Zobaczyli kabinę pilotów, gdzie za sterami siedział jego ojciec. Dostrzegł ich, po czym zsalutował. Oddał hołd, dumnie pokładającym się przed nim ludziom. Dźwięki wydobywające się z wirnika maszyny, wprowadzały ich w letarg. Potężne jej śmigła, trzepotały ponad nimi. Śmigłowiec zawisnął tuż nad ich głowami. Delikatnie się opuszczał niczym kosmiczny pojazd na nieskończenie długiej windzie, która była wykonana z niezwykle wytrzymałych nanorurek węglowych.

Odległe drzwi, przez które przeszli niedawno, zapełniły się roslymi postaciami. Nie straszny był im dzień, którego zwykle się obawiali. Ich porażające pyski natychmiast zniewoliły patrzącego na nie mężczyznę. Bestie szybko opuściły przejście i pewnie wkroczyły na uginający się pod ich stopami dach. Kiedy mężczyzna po nim szedł, zaledwie skrzypiał, kiedy dziewczynka maszerowała, cudownie szeleścił. Teraz jednak ten odporny na wszystko dach zapadał się pod ich bosymi i zniekształconymi odnóżami, z których wyłaniały się długie i ostre jak brzytwa pazury. Dziewczynka nie patrzyła tam. Nie wytrzymując dłużej, znowu zaczęła płakać. Jej potworny krzyk, który temu towarzyszył, rozszedł się echem...

– Wsiadajcie, na Boga! – krzyknął pilot, osadzając maszynę tuż obok nich. – No już, nie mamy czasu!

Mężczyzna jednym ruchem ręki podniósł małą z zimnego podłoża i dosłownie wrzucił do kabiny. Spojrzał na ojca, ten ukryty pod maską, nie zdradzał żadnych oznak niepokoju. Wpatrywał się w nieosłoniętą twarz syna, który nie spuszczał z niego wzroku. Ojciec doskonale widział jego przepełnione żalem spojrzenie. Nie dostrzegł w nim jednak nienawiści, to go uspokoiło.

– Zabierz ją ze sobą, to twoja wnuczka – krzyknął do pilota. – Zaopiekuj się nią, nie tak jak mną się opiekowałeś. Jesteś mi to winny!

Pilot znieruchomiał.

– Dobrze – odparł wreszcie. – A ty, nie lecisz z nami? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie mogę, zostanę tutaj.

– Zginiesz! – wykrzyknął ojciec.

– Możliwe – odparł spokojnie mężczyzna.

– Nie pozwolę ci na to – mówiąc to, puścił drążek sterowniczy, gdy gestykulował. Maszyna się zachwiała.

– Musisz. Zostaw mnie w spokoju, już raz to zrobiłeś – odparł, uchylając się od przelatującego w pobliżu głowy koła. – Nie pozwolę ci znowu na to, rozumiesz!?

Dziewczynka spojrzała na mężczyznę, który doprowadził ją aż tak daleko. Tak wysoko nie była nigdy przedtem. Wpatrywała się bez ustanku w jego oczy, próbując coś z nich wyczytać. Były jak martwe, pomyślała. Jej zadumę przerwały słowa pilota.

– Nie odleczę bez ciebie, synu!

– Musisz! Zrób to, do cholery – odparł mężczyzna, jak się już wyprostował.

– Dlaczego? – tylko to jedno słowo wydostało się wtedy z ust jego ojca.

Spojrzał ponownie w jego oczy, zasalutował i odpowiedział:

– I tak byś nie zrozumiał, no leć już, bo oni... nadchodzą.

Wiele myśli przetoczyło się przez ich głowy w tej krótkiej chwili. Pilot uchylił osłonę hełmu i spojrzał na syna. Dopiero wtedy ich spojrzenia spotkały się na dobre. Oczy młodszego z nich od razu się rozpogodziły, starszy natomiast zaczął płakać.

– Błagam cię, leć z nami! – krzyczał do syna.

– Już ci powiedziałem, że nie.

– Jak cię mam przekonać?

– Nie potrafisz.

Zamilkli obaj. Pilot zamknął na chwilę oczy.

– Wybaczysz mi, synu? – wydusił z siebie, niemal błagając o to.

Zagłuszający wszystko hałas, który otaczał ich zewsząd, nie był w stanie już temu zapobiec. Nawet wzmógłony ruch powietrza, który wywoływał odrywający się od podłoża śmigłowiec, nie potrafił pozbawić go pewności. Nie wytracił z równowagi, tak jak wcześniej. Jego zaduma była krótsza niżli oddech, który wykonał, wynurzając się niegdyś z niezmiernych morskich głębin...

– Wybaczam ci – odparł, wypuszczając powietrze z płuc. – Matka już dawno temu to zrobiła.

Pilot odetchnął.

– Leć z nami, wszystko się odmieni, zobaczysz – zaproponował, obejmując prawą ręką dziewczynkę.

Uśmiechnął się wtedy do niej, ukazując w jednej chwili, całą swoją naturę. Już go nie lubiła. Patrzyła na niego z pogardą, nie przez oszpecenie, którego doświadczył, tylko przez charakter. Skóra schodziła mu z twarzy w wielu miejscach, a oczy błyszczały...

– Nic już nie będzie takie jak kiedyś, dobrze o tym wiesz – odparł mężczyzna.

– Jesteś, synu, człowiekiem małej wiary – usłyszał w odpowiedzi.

Nie zareagował na ten zarzut, nie podjął rękawicy. Nie zareagował na kolejne zaczepki, nic więcej już nie powiedział.

– Powiedz, synu. Kochasz mnie, bo ja ciebie kocham – nadal nie przestawał go namawiać, żeby wsiadł do środka.

– Dziwna była ta twoja miłość – odparł ojcu, patrząc w oczy.

Ten natychmiast spuścił głowę. Jeszcze raz spróbował.

– Powiesz mi, tato? Ostatni raz?

Ile razy wołał go w myślach, płacząc po nocach. Poszukując ojca, napotykał jedynie jego cień, który i tak szybko się rozmywał. Marzył o tym, że kiedyś go odnajdzie, i że wreszcie się spotkają. Tak bardzo chciał mu wtedy powiedzieć, tato. Teraz tamto na nowo powróciło. Nie tak jednak, jak miało być...

– Dobrze, tato – przełamał się w końcu i powiedział to.

– Dziękuję, synu – usłyszał w odpowiedzi.

Kiedy wznosili się do góry, przez cały czas wodził za nimi wzrokiem. Nie spuszczał ich z oczu dotąd, dopóki nie zniknęli w oddali. Zanim to się jednak stało, zrobili jeszcze jedną rundę, tuż

nad jego głową. Pomachał im wtedy, nie dostrzegł twarzy. Oni natomiast doskonale go widzieli. Dziewczynka przez cały czas płakała, a towarzyszący jej za sterami helikoptera opiekun, nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Uśmiechnął się do małej, pospiesznie odwróciła wzrok. W głowie samotnie stojącego pod nimi mężczyzny, kłębiły się ostatnie słowa ojca, które wypowiedział przed odlotem: „To nie były jedyne bomby, synu, które wybuchły. Na całym świecie i w tym samym niemal czasie, odnotowano kilkadziesiąt podobnych eksplozji. Nie byliśmy więc odosobnieni...”

Wiele myśli krąży w ludzkich głowach przez całe życie. Tysiące, setki tysięcy, może nawet miliony... Dzięki nim powstają cudowne marzenia, które ludzie potem realizują. Są niczym nieograniczone, bezustannie bombardują ludzki umysł. Pobudzają świadomość, dają nadzieję, ożywiają wreszcie wiarę. Czasami tworzą jednak wypaczony obraz, który nijak ma się wtedy do rzeczywistości...

KONIEC

[1] „CIASNA BRAMA” – PISMO ŚWIĘTE / EWANGELIA WG. ŚW. MATEUSZA

